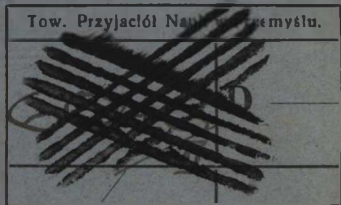


Tow. Prayaciół Nauk w Przemysłu.

604 ± 6
π

D

Tow. Przyjaciel Nauki i Rozwoju.



ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY
KRZYŻ

☆☆

BOGOWIE GERMANJI

GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA

J. II

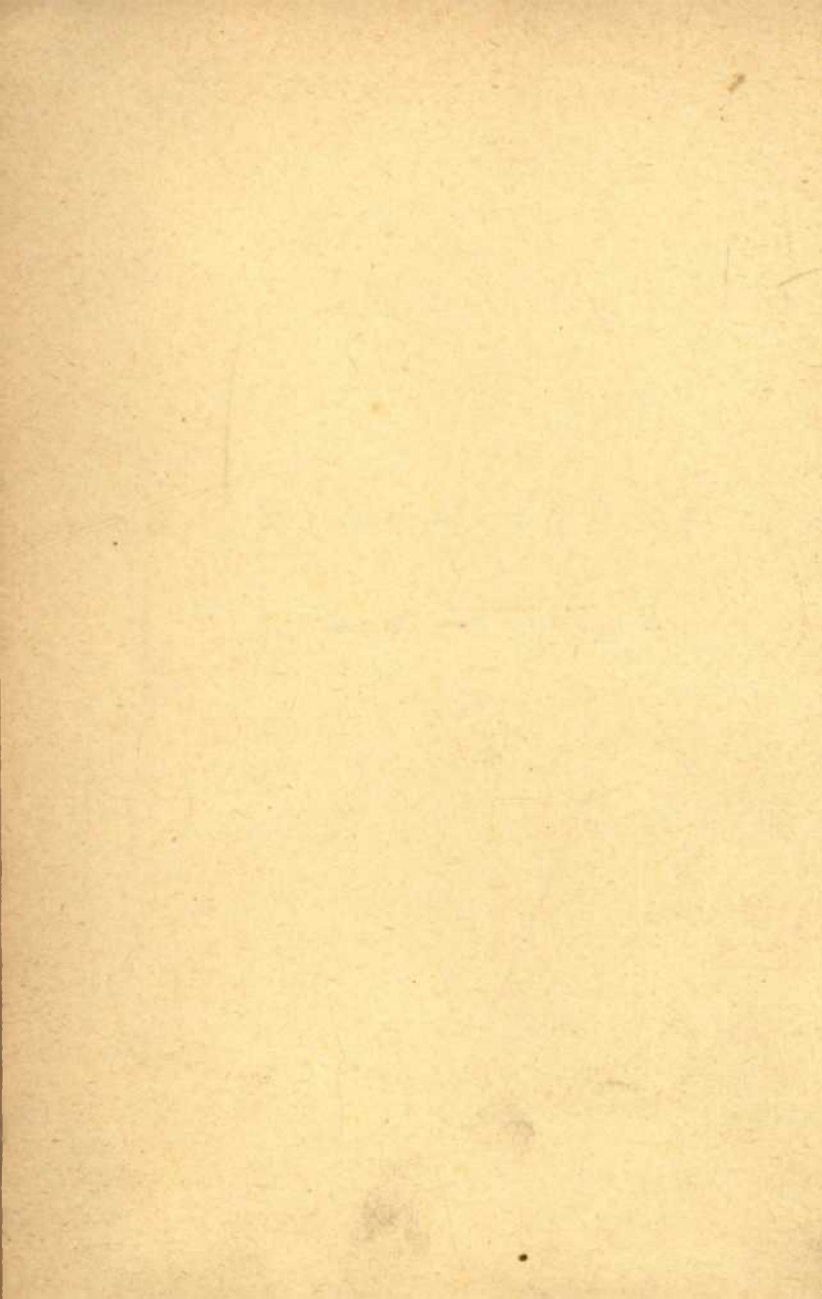
95

Q

Ż Ó Ł T Y K R Z Y Ż

* *

Bogowie Germanji



ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY KRZYŻ

* *

Bogowie Germanji



NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

A. 19010/2

1 — 3 tysięcy
Ponadto oddito 100 egz. nume-
rowanych na papierze piórkowym w drukarni
„Polskiej Macierzy Szkolnej“
w Warszawie
ul. Elektoralna 18
1933



1000171620

Liter 13a

BIBLIOTEKA
UMIĘ
GŁÓWNY

K. 1160/56/926

I

Podpułkownik d'Arland, szef II oddziału Głównej Kwatery zbiegał w podskokach z monumentalnych schodów Apollina, mijał nie patrząc ordynansów, sekretarzy i nie odpowiadał na ich pozdrowienia. Nie oddał nawet honorów generałowi Missel, który z trudem dźwigał w górę swą otyłość. Generał zatrzymał się i długo sapał w podziwieniu. Podpułkownik przystanął na chwilę w westybulu przed wielkim urzędowym barometrem, popatrzał bezmyślnie na sprężyny, na strzałki i napisy, zaklął i wypadł na dwór.

Z przegrzanego, suchego wnętrza pałacu zanurzył się odrazu w przenikliwym chłodzie mgły marcowej. Minął kolumnę szarych zbłoconych samochodów z zabryzganymi szybami, minął posterunek przeciwlotniczych karabinów maszynowych i szedł wgłąb parku, chrzęszcząc szybkimi krokami po żwirowanej alei. Śpieszył się, jakgdyby za wiekowymi lipami, gdzieś za stawem czekał nań na umówionem miejscu ktoś niewiadomy, który ukoi jego troski i wypowie jakieś słowo jedyne, przemądre, magicz-

ne i nieprawdopodobne, po którym jasne się stanie wszystko w tej niepojętej zagadce wojny.

Duch wielkiego cesarza błąkał się we mgle parku, wypłoszony ze swego pałacu przez pół tysiąca sztabowców, którzy wraz ze swemi mapami, telefonami, maszynami do pisania zapchali wszystkie salony i komnaty historyczne aż do ostatnich ubikacyj na mansardach. Dyplomowany podpułkownik d'Arland, fanatyczny wyznawca doktryny napoleońskiej, w ten ponury poranek zamarzył się i uromantycznił — wprost ze zgryzoty — i niemal, niemal że spodziewał się w tym parku jakiegoś bliżej nieokreślonego objawienia... Na rozległej polanie we mgle, na tle dymu, ścielącego się po ziemi, dostrzegął krępą postać cesarza, grzejącego się u polowego ogniska...

Nie — to żołnierze półbaterji przeciwlotniczej z D. C. A. Wielkiej Kwatery czuwali w pobliżu swych zapatrzonych w niebo zenitówek, obstående kołem nędznie tlejący stos mokrych gałęzi.

Duch Napoleona był zapewne o tej porze w innej stronie parku.

Podpułkownik skręcił w prawo i zamasyście pomaszerował ku stawom. Wyrwał się ze swego biura w godzinach służbowych po dwugodzinnej konferencji z kolegami z III oddziału (operacyjnego). Były to dwie godziny zwady, złościwości wzajemnych i docinków, z których niejeden przekroczył granice, dozwolone między oficerami z bractwa wtajemniczonych, czyli dyplomowanych. Tamci skar-

żyli się, że nie mogą pracować, gdyż nic nie wiedzą o nieprzyjacielu. Ci z pierwszego piętra pałacu, z dawnych apartamentów cesarza i cesarzowej, oficerowie gabinetu Pétain'a naciskają ich ustnie, telefonicznie, a wreszcie na piśmie — z piętra na piętro (skandal!)... W powietrzu wisi wielka ofenzywa niemiecka — kto tego nie wyczuwa, nie jest człowiekiem wojny — kraj przebiega dreszcz trwogi, Paryż burzy się, parlamentarzyści ze strachu stają się bezprzykładnie bezczelni... Rezerwy stoją w drobnych grupach, rozwleczone na tyłach wzdłuż całego frontu, niema żadnego planu przeciwnatarcia, ani nawet przygotowanej obrony, gdyż od dwóch miesięcy brak jakichkolwiek informacji o zamiarach nieprzyjaciela. II oddział Wielkiej Kwatery nie jest powołany do rozsiewania swoich subtelnych przypuszczeń, ani do układania traktatów spekulatywnych o domniemanej ofensywie wiosennej, opartych na fikcjach... Gdzie są fakty?

Właściwie było ich o wiele za dużo.

Szafy i półki II oddziału trzeszczały od nawału segregatorów, skorowidzów, zestawień, kartotek, grafik. Do biura napływały z pocztą trzy razy dziennie setki pękatek kopert, a każda z nich wytrząsała ze siebie mnóstwo cienkich arkusików maszynowego pisma. Powódź faktów, faktów i jeszcze raz faktów zalewała zapracowanych oficerów, cienkie arkusiki przez cały dzień boży i późno w noc szeleściły im w uszach. Ten przeklęty szelest prześla-

dował szefa nawet we śnie, z nim zasypiał, z nim się budził co rano. Ogrom faktów, a właściwie...

Nieprzeliczona rzesza agentów, kontragentów, szpiegów, wywiadowców, fanatycznych patriotów, szlachetnych idealistów, cichych bohaterów, genjuszów świństwa, aferzystów, oszustów, szantażystów, spryciarzy, zbrodniarzy wszelkich narodowości roiła się w kraju i zagranicą, za frontem na tyłach nieprzyjaciela, u sojuszników i w krajach neutralnych. Koperty — raporty ze wszystkich końców świata zbiegały się w oznaczonych centrach i z Genewy, z Bernu, z Kopenhagi, ze Stockholmu szły do II oddziału Ministerstwa Wojny, a stamtąd do Wielkiej Kwatery.

Kosztowało to miliony, niejeden świstek zapisany w połowie bibułkowej ćwiartki wart był tysiącfrankowego banknotu, ale trzy czwarte jeżeli nie dziewięć dziesiątych tych szpargałów zawierały stek kłamstw, sfabrykowanych specjalnie na sprzedaż, a w najlepszym razie były to przypuszczenia, plotki, rzeczy źle podsłuchane, przeinaczone lub dokumenty kupione za wielkie sumy u nieprzyjacielskich kontragentów lub wykradzione im za ich wiedzą. Te zdobycze „fachowej roboty sztabowej” były właśnie najniebezpieczniejsze, gdyż wprowadzały w błąd swą ścisłością.

Fakty, fakty...

Głowa pękała, gdy trzeba było z nawałnicy faktów wyławiać okruchy prawdy, lub bodaj prawdopodobieństwa. Potworna machina wywiadu szła

całym rozpędem, pożerając w swych nienasyconych paleniskach całe paki banknotów i zwały czeków na wszystkie banki świata. Jej misterna, na „naukowych podstawach” utkana sieć zagarniała automatycznie w odmetach wojny połów olbrzymi, ale w tej samej sieci wikłali się bezradnie wszyscy, którzy gatunkowali, oceniali krytycznie ten plan.

Podpułkownik dyplomowany d'Arland, już niemal od roku wiedział, że wiedząc tak niesłychanie wiele, w istocie nic nie wie. To cenne doświadczenie zdobyte z trzech i pół lat wojny światowej tań w sobie zazdrośnie, a wśród zwierzchników i kolegów z Wielkiej Kwatery i z Ministerstwa słusznie pozyskał miano „króla wywiadu”.

Teraz ta sława zaczynała się jakgdyby psuć, choć nigdy jeszcze mózg jego nie pracował sprawniej i może w tej właśnie doskonałej sprawności leżało całe zło. Dawniej był mniej krytyczny względem swych materiałów i zdobytych faktów, teraz stał się bodaj zanadto wymagający. Powielokrotnie wywiedziony w pole, gdy rzeczywistość obalała jego ultra logiczne hipotezy i rewelacyjne plany, odtworzone z mnóstwa rzeczy drobnych lub ułamkowych, gdy w toku prac nagromadziło się całe wstydlive archiwum zdrad, wsyp, szantażów, zbrodni i kolosalnych oszustw, wywołanych przez najbardziej zaufanych faworytów, agentów wspaniale wynagradzanych i, niestety, niedosięgalnych potem dla naj-sroższego, a nawet najlżejszego i wogóle żadnego ukarania ani „utopienia” ich wobec władz nieprzy-

jacielskich, gdyż spoczywali oni na laurach w krajach neutralnych — podpułkownik d'Arland w nic już nie wierzył i nie ufał nikomu.

Ale praca trwała i rozkwitała, budżet jego wzrósł stokrotnie w porównaniu z pierwszym rokiem wojny, zatrudniał on coraz więcej oficerów w swoich biurach, coraz to rozrastała się sieć agentur, znikła ostatnia resztką przesądów, mnożyły się afery zbrodnicze, kolosalne prowokacje i genjalne fałszerstwa. O tej porze podpułkownik we własnym sumieniu nazywał sam siebie człowiekiem bez czci i wiary — była to walka wszystkimi środkami o zwycięstwo, czyli o wszystko. W rezultacie nie miał nic.

Nadchodziła wielka, ostateczna, rozpaczliwa ofenzywa niemiecka, gra na śmierć i życie. Za miesiąc, za dwa tygodnie, za tydzień — a może jutro, o godzinie X zagrzmie ogień huraganowy tysięcy dział i żelazny taran zmasowanych dywizyj niemieckich uderzy w jakimś punkcie sześćsetkilometrowego frontu.

Gdzie uderzy?

Już zginęło wielu lotników francuskich i angielskich z pośród tych, którzy dokonywali lotów wywiadowczych na głębokie tyły nieprzyjaciela na całej przestrzeni frontu od Lombardsyde do granicy Szwajcarii, od szeregu zimowych miesięcy z okopów co noc wychodziły tysiące patroli jedynie dla chwycenia „języka“. Raporty, fotografie lotników, protokoły zeznań jeńców gromadziły się w karto-

tekach, z różnowartościowych ułamków i kawałków rekonstruowano pracowicie rzekome plany zamiarów przeciwnika i wrysowywano to w mapy. Tą drogą ściśle fachową zagadnienie główne doprowadzone zostało do absurdu.

Spostrzeżono niebawem, że liczba szczególnie podejrzanych odcinków frontu (kategoria A) była zbyt poważną na to, ażeby z nawału informacji można było wyłowić bodaj cień jakiejś realnej koncepcji.

Zawiodły wszystkie metody. Nie utrzymała się również teoria, oparta na absolutnym braku ścisłych danych o przygotowaniach nieprzyjaciela — jakoby Niemcy wogóle wyrzekli się ofensywy wiosennej. Dowodów na to przytaczano mnóstwo. Ale kraj żył w ustawicznym niepokoju, we trwodze oczekiwania.

Gdy wódz naczelny i Wielka Kwatera nic nie wiedzieli o czasie i miejscu ofensywy, w masie narodu nurtowało uparte, głuche przecucie ciosu. Niewiadomymi drogami od frontu, od stolicy do najdalszego zakątka Francji przenikała wieść-groza o jakimś ostatecznym nieszczęściu. Szły przez kraj legendy o nowych potwornych machinach wojennych, o straszliwych, nowowynalezionych gazach, o działach, niosących na sto kilometrów, o nowych milionach Niemców, zwolnionych ze wschodniego frontu, by w zdwojonej masie uderzyć na Paryż... Każdy i wszędzie przeklinał wiarołomną Rosję, która zesła z placu boju, wszyscy czcili i miłowali

rozpaczliwie i bałwochwalczo Amerykę, choć ta nie dała jeszcze ani jednego żołnierza na zagrożony front. Przemięła jakoś ciężka zima, a teraz strach wzmógł się i zatrząsł skołataną Francją — nadchodziła nowa wiosna, przybывало dnia, obsychały pola, nabrzmiwały pączki na drzewach...

W parku pałacowym w Compiègne zakrawało w tych dniach na zimę. Po przewlekłych deszczach usłała się gęsta, mroźna mgła i stała murem już od trzech dni, zatrzymując wszelką działalność na froncie. Milczały baterje, nie wyjeżdżali lotnicy. Starodawne drzewa stały jak widma, ginąc wierzchołkami we mgle, tu i ówdzie majaczyły posągi odziwniałe, lub wyłaniały się niespodziewanie jakby inne, jakgdyby wyrosłe nie na swoim miejscu. Podpułkownik mijał placówki ochrony Wielkiej Kwatery, porozstawiane w parku, sterczące śmiesznie i niepotrzebnie. Te najstarsze roczniki z „territoriale” w pełnym uzbrojeniu polowem i w hełmach wyglądały na znudzonych i zatroskanych pocziwców, przebranych za żołnierzy dla niezrozumiałego urągowiska. W pokraczności swoich postaci zdawali się wstydzic samych siebie i wyczekiwać tylko zmiany, żeby czempredziej skończyć tę komedję, przywdziać kaszkiety i melony i zpowrotem stać się ludźmi. Podpułkownikowi d'Arland w tej złej godzinie i sprawy wielkie i rzeczy małe — wszystko pospołu wydawało się dziwnem, głupiem, irytującym.

Był bankrutem i wiedział, że już się nie ode-

gra. Tyle nadludzkiej pracy, tyle genialnych świństw drugooddziałowych i w wyniku doświadczenia czterech bez mała lat, w dobie wielkiego przełomu, u schyłku wojny nie jest w stanie niczego się dowiedzieć, ani odgadnąć, ani wymacać... A jak było dawniej? Mniej więcej tak samo...

Więc wojna idzie na ślepo?... Więc kierowanie wojną jest mytem? Gdzie się podziała nieśmiertelna, anielska sztuka wojenna? Jej żelazna logika? Jej doktryny? Gdzie czasy boga wojny, Napoleona?

Odrązu puścił się gęsty, pierzasty śnieg. Powietrze zaroilo się od wielkich, ciężkich płatków, które rodziły się tuż nad głową, wypadając z mgły i śpieszyły ku przemokłej ziemi, żeby na niej rozplynać się i zniknąć. Ten taniec śniegu opętał go natarczywą wizją, głupią, przykrą i jakgdyby znajomą. Uroiło mu się, że słyszy szelest każdego płatka śniegu, sunącego powietrzem. To były niezliczone, niewyczerpane, cieniusieńkie kartki maszynowego pisma, raporty i instrukcje, instrukcje i raporty, praca jego życia, jego nędza, jego zmora...

Za osłoną śnieżycy zamajaczył zarys posągu czy żywego człowieka po drugiej stronie stawu... Skroś migotliwe, pokrętne drganie płatków śnieżnych przebijało znajome widmo. Kapelusz stosowany, przekręcony wpoprzek, postać pochylona ku przodowi, ręce wtył... Duch Napoleona ukazał się i wnet rozplynał się we mgle, w zamieci śnieżnej.

Podpułkownik d'Arland zawrócił w miejscu. Nareszcie coś o sobie wiedział. Wiedział za późno,

ale raz na zawsze! Dosyć tego! Ani dnia dłużej! Zidjociał po sztabach, po tych Wielkich Kwaterach. Pod koniec wojny odkrył, że cała sprawa rozstrzyga się — tam. Na polu walki. Na froncie.

Za nic nie mógł już wrócić do swoich biur, do swoich kartek, do swoich szpiegów... Otrząsał się z obrzydzenia.

— Na początek obejmę bataljon... Po paru miesiącach pułk... Najlepiej — 219 strzelców pieszych...

— Panie podpułkowniku, szukamy pana wszędzie... Dopiero żołnierz z D. C. A. powiedział mi...

— Co jest?

— Jakaś pilna sprawa, pan major Duval rozesał nas alarmowo we wszystkie strony... Przywaliło ich dwa pełne samochody.

— Co za jedni?

— Z Amiens — Angliki...

W drugiej godzinie dyskusji podpułkownik d'Arland, zniecierpliwiony do ostateczności, użył niešťęśliwego zwrotu, który w przekładzie zmęczonego tłumacza wypadł jeszcze ostrzej. Generał Donaldson zerwał się na równe nogi, wysztywnił się, demonstrując w całej okazałości swój chorobliwie długi szczupły wymiar. Za nim powstali natychmiast major Tripp i kapitan Boyden.

— Jeżeli przedstawione przeze mnie dokumenty, dowodzące niezbitcie, że wchodzi tu w grę samo istnienie armji angielskiej, są przyjmowane lekceważąco, a dla nas wręcz obraźliwie, nie pozostaje

mi nic innego, jak apelować wprost do generała Pétain'a, przed którym złożę jednocześnie kategoryczny protest a zarazem umotywowane zaskarżenie... kompetencji II-go biura francuskiej Wielkiej Kwatery w rozstrzyganiu o sprawach tej wagi.

Gdy tłumacz skończył, łagodząc za tym razem tekst generała, podpułkownik d'Arland zmusił się, przybrał na zdręczoną twarz wyraz najprzychylniejszej poczciwości i, objąwszy w pół wysztywnionego generała, przeproszał go, tłumaczył się przemęczeniem, wreszcie udało mu się posadzić go z powrotem w fotelu. Za nim usiedli natychmiast major Tripp i kapitan Boyden.

Plan decydującej ofensywy niemieckiej, zdobyty cudem przemysłności wywiadu angielskiego, opiewał — na niewiadomy dzień miesiąca marca — uderzenie, tak zwane w tajnej nomenklaturze konwencjonalnej niemieckiej Głównej Kwatery „Mars-Północ“ i „Mars-Południe“. Zamierzał on okrążenie armji angielskiej od południa i ni mniej ni więcej, tylko przyparcie jej do morza, czyli zniszczenie jej i zabranie rozbitków do niewoli. Plan, uchwalony w listopadzie zeszłego roku na wielkiej konferencji w Mons jest już od Nowego Roku wprowadzany w życie w zupełnej niewiedzy i poza cieniem przypuszczeń ze strony obu sojusznicznych Wielkich Kwater. O tej porze we Flandrji już stoją główne siły natarcia, zmasowane z niesłychanemi ostrożnościami wraz z kolosalną artylerją, amunicją i wszelkim materiałem bojowym. Dyrekcja

głównego ataku pójdzie na Doulens - Abbéville, na Arras - St. - Pol po obu brzegach Skarpy i na Bethune. Jeszcze dzisiaj muszą być ruszone rezerwy strategiczne, jeszcze dziś ma być opracowany plan obrony. Jednej chwili niema do stracenia...

Autentyczność planu? Później w razie zawodu będzie czas na krytyki i rekryminacje, teraz trzeba działać, działać! Autentyczność? Anglja drogo zapłaciła za uzyskanie tego planu. Nie mówiąc o olbrzymich pieniądzach, Anglja poświęciła dla tego celu najprzedniejszych swoich agentów w Niemczech, którzy wpadli w ręce wroga. Organizacja wywiadu angielskiego jest zrujnowana na długo, może do końca wojny. Plan nosi wybitne cechy niemieckiej roboty sztabowej.

— Oczywiście, w takich razach inaczej być nie może... Plan wygotowali Niemcy i jak widać z dużym nakładem pracy... Ale brak dowodu na to, że rzeczywiście zamierzają wprowadzić go w życie. Dopuszczam nawet, że to może być plan zupełnie autentyczny, ale oddawna porzucony i sprzedany agentowi dla oszukania nas, gdy tymczasem na innym odcinku...

— Tymczasem?! Tymczasem tracimy najdroższe godziny! Panie pułkowniku!

— Panie generale, tak nie można!

— Ależ daję panu słowo honoru!!

— A ja daję panu moje słowo honoru, że dokumenty tak dalece autentyczne i tak precyzyjnie

wykończone nigdy nie wpadają w ręce nieprzyjaciela....

— Dlaczego?

— Nie mogą wpaść! Poprostu są zbyt dobrze strzeżone.

— Ale gdy najtajniejszy plan jest w toku wykonania, znają jego treść dziesiątki, potem setki, a wreszcie tysiące ludzi.

— Treść? Owszem, kilka wytycznych miejscowości odcinka, domniemane objekty natarcia, pewne liczby i niewiele więcej. Ale cały tajny akt?... Po tym braku subtelności odrazu można poznać Niemców. Przesolili.

— Innemi słowy pan podpułkownik twierdzi, że jestem zbyt naiwny!...

— Bynajmniej, panie generale. Zresztą w marcu i to po takich deszczach na tamtejszym terenie ofenzywa w tak kolosalnych rozmiarach i według załączonego planu jest niemożliwością. Pan generał wyobraża sobie, co się dzieje naprzykład o tej porze w zapadlinie naszej milej Lys? A zryte pociskami stare pobojuwiska Flandrii? Bagno nie do przebrnięcia! I Niemcy wiedzą o tem tak dobrze jak my. Nie warto się denerwować — mamy czas.

Ostrożnie wkradł się adjutant, pochylił się do ucha szefa i zaszeptał. Podpułkownik pomyślał przez chwilę, uśmiechnął się.

— Prosić!

Nareszcie coś w rodzaju wybawienia od piły angielskiej. Wkroczył stary generał Dubreuil i od

samego progu roztoczył wrzawę tubalno-jowialnego gadulstwa, grzmiącego śmiechu, nowinek paryskich, anegdot. Jego poczwarna angielszczyzna, ogromny brzuch i naiwna poczciwość zburzyły powagę konferencji. Podpułkownik d'Arland wypooczywał. Wreszcie, wypaliwszy pierwszego papierosa, stary uspokoił się, zamilkł, uczynił się urzędowy.

— Dobrze, że zastałem tu pana generała, mam pewną sprawę, ale ściśle poufną — dodał, rozejrzawszy się wokoło.

Oficerowie angielscy i francuscy powstali.

— Tak, tak, moi panowie, pan generał pozwoli swoim odejść na małą chwilkę, nieprawdaż?... Pan tłumacz również, ruszaj sobie chłopcze, ja cię zastąpię jako tako.

Generał Dubreuil starał się mówić szeptem, ale jego nieposkromiony bas sprawiał, że głos jego rozlegał się grzmiąco z tą tylko zmianą, że dudnił głucho, jak gdyby generał wlaźł do beczki. Na szczęście drzwi od poczekalni były szczelnie obite grubym materacem. Generał przerzucał się z francuskiego w osobliwą swoją angielszczyznę i co chwila porykiwał śmiechem. Na wielkiem, czerwonym obliczu jaśniał tryumf.

Wreszcie wy dobył i okazał, trzymając wysoko w dwóch palcach, niewielką zmiętoszoną kartkę, zapisaną szczelnie po obu stronach drobnutkiem pismem szyfru.

— Co to jest?

— Co jest? Mamy ich w garści! Otrzymane dziś rano przez umyślnego z Genewy. Ale musimy się strasznie śpieszyć! Ostateczna nieodwołalna data wielkiej ofensywy wyznaczona na 25 marca godzina piąta rano minut dwadzieścia.

Podpułkownik d'Arland potarł sobie czoło, poczem nacisnął zbyt mocno kurek od syfonu, stojącego zawsze pod ręką, i zabryzgał cały stół. Wypił pełną szklankę wody.

— Mamy zatem przed sobą dwanaście dni czasu...

Podpułkownik spojrzał na zegarek, obliczał przez chwilę...

— Panie generale, czasu mamy znacznie więcej, proszę doliczyć z dnia dzisiejszego do północy siedem godzin pięćdziesiąt minut, co łącznie z rzekomą godziną X stanowi na naszą korzyść trzynaście godzin minut dziesięć.

— Pan się puszcza na docinki?! Dobrze, przyjmuję z podziękowaniem pańskie trzynaście godzin i idę dalej, gdyż oczywiście nie może mieć pan pojęcia, skąd pochodzi ta karteczka.

— Wiem, wiem...

— Czyżby?

— Ależ od grudnia zapowiada mi pan swoją „godzinę cudu“. Nareszcie nadeszła. Winszuję...

— To zupełnie co innego!

— To samo, panie generale! Genjalna E. E., Diana łowczyni, która idzie tylko na najgrubszego zwierza. Ustosunkowana na najwyższych szczy-

tach konferuje z cesarzem Karolem, jest kochanką pańskiego znakomitego kolegi z Berlina, przyjmowana w głównej kwaterze cesarskiego Kronprinza, z którym też spała, ale on nic nie wiedział...

— Ha - ha - ha!!

— Więc spała z jego szefem sztabu generałem von der Schulenburg i wyciągnęła mu plan wiosennej ofensywy. Oczywiście miał go pod poduszką...

Generał śmiał się, pewny swojej karteczki, i czekał aż podpułkownik umilkł i wychylił drugą szklankę wody.

— Dlaczego pan dzisiaj taki zły? Zdenerwowany?

— Dlaczego? Choćby dlatego, że tu obecny generał Donaldson przyniósł mi właśnie drugi plan wiosennej ofensywy. Uważa pan generał? Tego samego dnia i o tej samej godzinie! Tego mam doprawdy dosyć! Jak to mogło wypaść tak niemożliwie, tak fantastycznie?! Albo obaj panowie zechcieli i byli łaskawi urządzić mi przedwcześnie prima aprilis, albo też sam djabeł zadrwił sobie z obu Wielkich Kwater...

— A jeżeli oba plany są identyczne? — zaniepokoił się nagle generał Dubreuil.

— Widzę, że jestem panom niepotrzebny — usztywnił się zapomniany Anglik — a zatem, nie pozostaje mi nic innego, jak udać się na pierwsze piętro.

— Ależ generale!! Co znowu...

W toku dalszej rozmowy generał Dubreuil przyłączył się do zdania podpułkownika — dokument angielski jest po mistrzowsku opracowany, ale wyraźnie podsunięty. I to z nader subtełą tendencją. Wywiadowi angielskiemu sprzedaje się plan wymierzony wyłącznie przeciwko frontowi brytyjskiemu. Owo osławione „wrzucenie do morza“ jest obawą dość ugruntowaną w bezpośrednim otoczeniu marszałka Douglas Haig'a. I ta wysoce podejrzana szczegółowość dokumentu... Ni mniej, ni więcej, tylko najtajniejszy akt Głównej Kwatery niemieckiej in extenso dostaje się w ręce nieprzyjaciela! To niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. I jeszcze raz niemożliwe!

— Jakże się przekradł przez granicę taki plik papierów? Czy nie polecono prosto policji granicznej przepuścić pana X cało i zdrowo? Żeby za wszelką cenę wprowadzić w błąd nieprzyjaciela?

Anglik był oburzony.

— Panowie, u nas generał szef II Oddziału nie zajmuje się techniką przemykania dokumentów. Ale wiem, że nasza agentka, młoda Niemka, miała wypisane wszystko na skórze na plecach chemicznym atramentem.

— Chciałbym widzieć te plecy. To musi być coś kolosalnego.

— Niema na świecie takich pleców!

— Panowie Francuzi, gdy w grę wchodzi ciało kobiece, wpadają w humor, choćby to niezbyt lico-

wało z powagą czasu i tego miejsca... Muszę jednak zaznaczyć, że tekst dokumentu zajął nietylko plecy wymienionej osoby, ale i jej brzuch oraz... łądźwie. Odczytywane to było u nas i fotografowane w ciągu dwudziestu godzin.

— Oczywiście, na zmianę...

Anglik nie zrzekał się swego dokumentu i jasne było, że przysporzy on jeszcze niemało korowodów obu sprzymierzonym dowództwom. Narazie pochłonęła go całkowicie zdobycz francuska, zasłuchany był, gdy generał Dubreuil czytał odcyfrowany tekst doniesienia z odnośniami komentarzami. Uważał pilnie i podpułkownik d'Arland, notując.

— ...Mamy tu najdoskonalszy wzór strategicznego zaskoczenia. Dnia 25 marca o godzinie piątej minut dwadzieścia, trzydzieści pięć dywizyj niemieckich uderza na najspokojniejszym, zupełnie nieznacznym odcinku, na wschodnim krańcu ich wschodniego wgłębienia linii frontu na odcinku St. Mihiel...

— Verdun?!

— Tak jest, właśnie Verdun — jak się to panu podoba? Naturalnie Niemcy odrazu forsują Mozę, odcinają nas i w ciągu dwóch dni niszczą, czyli zabierają do niewoli nasze jedenaście dywizyj frontu i za jednym zachodem parę dywizyj rezerw. Urok niezwyciężonego Verdun! Wiemy, co to znaczy dla kraju i dla armji... Cios straszliwy! Jednocześnie — ażeby wprowadzić jaknajwiększy zamęt w nasze głowy kierownicze — dokonywuje się ol-

brzymi manewr odwrotowy, cofnięcie całego frontu na odcinku siódmej, pierwszej i trzeciej armji, czyli tak zwany w Nibelungjadzie ich sztabowego języka manewr „Gudruny“. Samo zdobycie tego słowa z najtajniejszej nomenklatury Głównej Kwatery niemieckiej dowodzi, jak źródłowe są moje informacje. Co to jest „Gudruna“? Oto trzy armje cesarzewicza następcy tronu cofają się i zajmują dawno wybudowaną i przygotowaną pozycję „Hunding“ — czyli linję La Fère - Rethel - Varennes - Clermont en Argonnes. Panowie rozumieją, co się tu święci? Dość rzucić okiem na mapę. Łatwo obliczyć, ile dziesiątków dywizyj zwalnia takie wyprostowanie frontu. Na łuku Verdun stoi piętnaście dywizyj niemieckich, gdy na nowej linii frontu po ofensywie, czyli na cięciwie łuku wystarczy im, powiedzmy, i dziewięciu. Przybywa jeszcze sześć dywizyj wolnych. Rozumiem ten manewr jako, primo: uderzenie natury moralnej — utrata Verdun dla nas to ciężkie zgnębienie, zdobycie Verdun dla nich to chwała i podniesienie wszystkich niemieckich serc! Secundo — idzie im nadewszystko o skrócenie frontu, o zwolnienie wielkich mas, które wraz z temi, które nadeszły i wciąż jeszcze napływają ze wschodu, pozwolą im później uderzyć rozstrzygająco. Albowiem jest rzeczą stwierdzoną, że Niemcy wyczerpali wszystkie swoje zasoby w wolnym materiale ludzkim i biorą już rocznik 1919. To, co wiemy narazie — to dopiero kampanja wstępna do olbrzymiego planu zakończenia wojny przed nadejściem

głównych sił amerykańskich. A my — z tą ćwiartką papieru w ręku — rozwalimy im piękny wstęp i zepsujemy cały plan.

Generał Donaldson był nieco oszołomiony i poniekąd uwierzył w tezę francuską, ale niemniej uporczywie trzymał się swojego dokumentu. Co bowiem oznacza zwycięska ofenzywa z dyрекcją na Bailleul-Hazebrouck? Przerwanie prawego skrzydła armji brytyjskiej, oderwanie go od reszty wspólnego frontu i okrążenie rozbitej armji w odwrocie. Na tyłach morze, na lewym skrzydle — morze. Gros armji angielskiej kapituluje. Niemcy osiągają Boulogne i Calais i natychmiast tworzą dwie wielkie bazy dla łodzi podwodnych. Poza ciosem materialnym i moralnym na kontynencie Anglicy tracą kanał La Manche i cała łączność kraju z frontem musi być przeniesioną na dalekie porty oceanu. A tego już Anglja nie wytrzyma.

Generał Dubreuil obiecywał mu jak dziecku, że zabierze się niezwłocznie do poważnego przestudjowania jego planu, że jednak specyficzna logika wojny na jej schyłku wykazuje niezbitcie momenty, przemawiające na korzyść tego, co jest dopiero wstępem do wielkich dziejowych decyzyj. To nie usuwa bynajmniej możliwości, że w dalszym biegu rzeczy okaże się, że uderzenie okrążające ku morzu będzie właśnie istotnym celem tej ofenzywy niemieckiej. Narazie sparaliżujemy ich pierwszy rozmach i tem samym usuniemy grozę, wiszącą nad Anglją...

Podpułkownik d'Arland nie brał udziału w dyskusji. Pisał.

— Panie podpułkowniku, pan notuje? Proszę pamiętać, że w konkluzji pułkownika Wetzel, szefa biura operacyjnego niemieckiej Głównej Kwatery jest wyraźnie zaznaczone...

— Ach, więc pańska piękna E. E. spała jeszcze i z tym pułkownikiem... Co do mnie, to nic nie notowałem, panie generale. Piszę motywowane podanie o zwolnienie mnie z Wielkiej Kwatery i o przeniesienie na front.

II

Mgła i deszcze przedwiosenne zawisły nad całym obszarem nizinnej krainy, którą spływają leniwie pokrętne wody górnych biegów rzeki Skarpy, rzeki Skaldy, rzeki Sambry, rzeki Sommy, rzeki Ser-ry, zwały sinych chmur stoją nad płaskim wododzia-łem, który kieruje ich nurty ku morzu Północnemu lub do oceanu.

Pustka, jak w ziemi porzuconej przez ludzi, wszędzie martwy spokój. W nieskończoność ścielą się stare z przed roku, z przed dwóch, trzech lat po-bojowiska, ziemie zabite przez wojnę. Ślady i szczątki umocnień polowych, pokręcona, powikłana sieć nawpół zasypanych, nawpół połyskujących wodą chodników i rowów dobiegowych, omotanych pajęczyną drutów. Szerokie nie do ogarnienia wzrokiem pasy okrągłych lejów po granatach, pełne naciekłych wód deszczowych. Ścięte, podruzgotane pociskami pasma lasów, sterczące nagimi pniami, bez konarów i gałęzi. Rozorane, rozwalone drogi, zgłiszcza i ruiny wsi, wysadzone mosty.

Wszędzie porozrzucone szczątki broni, hełmy francuskie, hełmy angielskie, hełmy niemieckie, sto-

sy pordzewiałych, ośniedziałych łusk po wystrzelonych pociskach, zdruzgotane armaty, rozsądzone jaszce, wrosłe w ziemię pokręcone samochody, opuszczone furgony ze szkieletami padłych koni u dyszla.

Wszędzie poniewierają się zbutwiałe rzemienie, ładownice, tornistry, strzępy podkutych butów żołnierskich, szmaty i łachy porzuconej przegnitej odzieży.

Gdzieniegdzie trup zapomniany napróżno domaga się grobu w świętej ziemi okropnem spojrzaniem bezdennych oczodołów w nagiej czaszce, podziurawionej przez kule. Co krok — to kopiec, obrośnięty zeszlęmi badyłami, rozległy spłaszczony kurhan z usypanej ziemi z wyniosłym pochyłym krzyżem z deską, gdzie czas stał napis i cyfrę, które niegdyś mówiły ilu poległych, czyich i jakich wrzucono tu do dołu w pośpiechu odwrotu lub natarcia.

Dalej idą przestrzenie kraju, które ominęła pozoza bitew. Nie było tam ruin, zniszczenia, mogił. Stały nienaruszone miasteczka, wsie, farmy, ocalały drogi, mosty, drzewa. Ale martwo stały się pola zdziczałe, kędy od roku, od dwóch, trzech lat nie wychodzili oracze ani siewcy. Niezmierna kraina odbieżona od ludzi, wygnanych przez wojnę precz, na poniewierkę, na zatracenie...

A dalej znów z nowym nawrotem na ziemi przerytej pociskami zwaliska murów, sterczące kominy, potrzaskane, obłamane, opalone martwe drzewa, zasieki, rowy, barykady, oplątane drutem kol-

czastym. Znowu okopy, znowu leje, znowu mogiły. Ale przez rozkopane pola, przez wyrwy i usypiska ziemi prowadzą wzorowo utrzymane drogi, tory kolejek dojazdowych. Wszędzie kable telefoniczne, tablice drogowskazów. Wzdłuż dróg i torów szeregi czarnych, prowizorycznych baraków, wielkie hangary, budki posterunków... Zresztą pusto i bezludnie.

Stąd już słyhać pogrzmot dział od linii frontu, drogą zrzadka przemknie motocyklista, na ulicy wsi, dokoła samotnej farmy ukaże się na chwilę gromadka żołnierzy, zadymią kominy — to strefa przyfrontowych etapów XVII-ej, II-iej i XVIII-ej armji—grupy Jego Królewskiej Wysokości Luitpolda, następcy tronu Bawarskiego. Panuje tu cisza i spokój. Zastój na froncie — brak ruchu i na etapach.

Lotnicy nieprzyjacielscy, snujący się wzdłuż frontu, bliższych i dalszych etapów, obniżając lot z powodu uporczywej mgły, wznosząc się i ginąc w chmurach, gdy są naciskani przez eskadry myśliwskie przeciwnika lub ostrzeliwani przez zamaskowane stanowiska obrony przeciwlotniczej, w swej uporczywej śmiertelnej pracy od całych tygodni nie dostrzegają nic godnego uwagi w zasięgu tej części frontu. Krążą nad zaroślami, nad lasami, zaglądają w każdą zapadlinę terenu, przepatrują pilnie grupy baraków, wsie i miasteczka, ścigani, okrążani i ostrzeliwani co dziesiąty docierają na głębokie tyły, do stacyj węzłowych, ale pominawszy codzienne transporty zaopatrzenia czternastu korpusów armji,

ewakuację chorych i rannych, drobne stałe roboty koło naprawy dróg i snujące się wiecznie samochody sztabowe — w niczem nie mogą urozmaicić swego codziennego meldunku:

— Na obszarze etapów trzech armij Luitpolda Bawarskiego spokój i beczynność...

— Żadnych zmian, godnych zaznaczenia...

— Wyjątkowy spokój...

— Zadziwiająca stagnacja...

Spełniwszy zadanie dnia, uchodzą ku swoim, kluczą, wymykają się pościgowi, toną w chmurach, wyłaniają się, walczą, wracają lub nie wracają.

Zacina deszcz, mgły gęstnieją. Przedwczesny zmierzch przyćmiewa ziemię.

Wówczas, jak na słowo zaklęcia, budzi się do życia pusta, nieruchoma i bezludna kraina.

Jak z pod ziemi wyrastają na wszystkich drogach, prowadzących w stronę frontu, czarne kolumny piechoty, kompanje, bataljony, pułki, dywizje... W prawidłowych odstępach, odrębnymi szlakami, o marszrutach i etapach, obliczonych co do minuty, ciągną tysiące furgonów, tysiące samochodów ciężarowych, kolumny amunicyjne, wozy sanitarne, reflektory, sprzęt lotniczy, sprzęt radiostacji, pontony, przeróżne maszyny wojenne, zapasy.

Łomocą po drogach setki baterij polowych i najcięższych, miotacze min, miotacze ognia.

Z miast, miasteczek, ze wsi, z baraków i hangarów przydrożnych, z lasów, z kęp zarośli, z parków magnackich, z sadów samotnych farm, z pod

starodrzewia alei, z za żywoplotów, ze starych okopów, z za każdego zaklęnięcia terenu wychodzą o zmierzchu ludzie nocy, zbierają się w zwarte gromady i w gęstej pomroce prą z północy na południe w całym pośpiechu, z całym wysiłkiem, by przed świtem jutra przebyć wyznaczoną drogę i o brzasku dnia z powrotem wsiąknąć w ziemię, zniknąć.

Gdy w górze, zdaleka zawarczy po nocy niewidzialny motor, za każdym razem na pierwszy jego odgłos gasną ostatnie skąpe światełka ślepych latarek, kolumny przystają jak wryte. Zamiera ruch na torach kolejowych, na gościńcach, na polnych drogach, na szlakach, na ścieżynach. Armja nocy dba o swoją tajemnicę, bo w tej tajemnicy — zwycięstwo.

Tak noc po nocy wypełzają z ukrycia setki tysięcy ludzi, odbywają swoją drogę i kryją się w ciągu dnia, śpią, odpoczywają. Przemysłnie, chytrze maskują się. Staje się cud, że znikają dla oka obserwatorów nieprzyjacielskich nieskończone ich tabory, tysiące dział. Własni lotnicy krążą w ciągu całego dnia, czuwając nad ściśłem wypełnieniem rozkazu:

— Zniknąć! Nie być!

Za dnia na dalekich tyłach linje kolejowe, stacje węzłowe i przystanki są opuszczone i senne. Dopiero ze zmierzchem nadchodzą pierwsze pociągi, które czekały gdzieś w przestrzeni na tę chwilę i po nocy i przez całą długą noc marcową wre praca wysiłona w gorączkowym pośpiechu. Co noc

setki pociągów wyładowują na wszystkich stacjach ludzi, konie, nieprzebrany materiał bojowy. Z głębi kraju, z dalekich punktów koncentracyjnych, z kadr, z obozów wyszkolenia, z koszar rekruckich, ze szpitali, z urlopów napływa powodzią szara masa żołnierska, gnana rozkazem, i wsiąka w noc, wsiąka w przestworze ziemi francuskiej.

Idą z ochotą, idą z tępą rezygnacją, idą z przekleństwem w duszy.

I ci, co zachowali zdrowie i siły, i ci zdręczeni i wyczerpani, którzy trzymają się na nogach jedynie niemiłosiernem, stalowem wejrzeniem oficera.

I ci, którzy po wielekroć przeszli już wszystko, i ci, którzy wyruszają po raz pierwszy i nic jeszcze o wojnie nie wiedzą. Idzie najmłodszy przedwczesny rocznik, ci, których matki, wyprawiające mężów na bój w roku czternastym, dziękowały Bogu, że synkowie są jeszcze za mali i że wojna obędzie się bez nich. Ale i oni doczekali się swojego dnia chwały. Młodzieńcze, cienkie, nawpół dziecięce głosy wyśpiewują w nocnym marszu ochocze piosenki, starzy żołnierze wtórują im głuchem milczeniem.

Zresztą, kto wie...

I za tym razem obiecywano, że to bój już ostatni, nieodwołalnie rozstrzygający. Wmawiano w nich w rozkazach dziennych, w pouczeniach urzędowych, w czytankach, że nigdy jeszcze armja niemiecka nie rozporządzała tak olbrzymią masą uderzenia, ani tak potężnym materiałem bojowym. Powiadomiono ich, że w ataku weźmie udział dziewięćdziesiąt dy-

wizyj, a sześć tysięcy pięćset armat, trzy tysiące siedemset miotaczy min oszczędzą piechocie strat i wyręczą ich w dużej mierze. To była prawda. Jeszcze nigdy w dziejach tej wojny nie miały Niemcy takiej swobody ruchów, gdy odpadła Rosja, gdy zmiażdżona jest Rumunja, a Włochy aż do końca nie dźwigną się po jesiennej klęsce pod Caporetto. I to wszak prawda...

Nieprzyjaciel będzie najzupełniej zaskoczony. Dzięki zabiegom Głównej Kwatery i demonstracyjnie nieukrywanych poczynaniom i przygotowaniom na innym odcinku spodziewa się on natarcia gdzieindziej i tam podciągnięte są jego główne rezerwy. Jedno uderzenie całą siłą niemieckiej żelaznej woli, niemieckiej żelaznej pięści i droga do Paryża będzie otwartą. A Paryż — to zwycięstwo, koniec wojny i... o, słowo nie do wyblągania, nie do wyrozumienia, słowo nie do wiary — pokój...

W pogwarze głosów, w pomroce nocnego marszu w ściśniętych kolumnach wierzący przekonywali sceptyków, młodzi starych. I czem bliżej byli frontu i trzeciej pozycji okopów, od której zaczęła się strefa bojowa i pas koncentracji wszystkich sił ofensywy, tem bardziej ugruntowywało się jednak w żołnierzach dopuszczenie myśli o ostatecznem zwycięstwie.

Kiedyż, na Boga, miało ono nastąpić, jak nie teraz, w czwartym roku wojny?

Kiedy wydarte i rzucone są w grę ostatnie siły i zasoby narodu, jego ostatnia krew?

Kiedy nie dalej jak za parę miesięcy stanie na froncie milion Amerykanów?

Kiedy głód, nędza i rozpacz toczą nieszczęsne plemię niemieckie?

Kiedy wytrzymać i znieść tego, co jest, już niepodobna?

Z rozpaczki budziła się wiara. Rozumiał każdy i rozumieli wszyscy, że za tym razem muszą zwyciężyć. Innego ratunku niema. Jeszcze raz w rozterce, w udręczeniu duszy, w wyczerpaniu reszty sił trzeba okazać moc wytrwania, trzeba wydobyć ze siebie męstwo. Chwilami zrywał się w masie nawet zapał.

Pewnej nocy, gdy ściśnięte kompanje piechoty, odrabiając swój forsowny etap, brnęły w deszczu i błocie, od czoła kolumny zaczęto wołać — „prawa wolna!”

W szeregach zagadano, zaszepiano.

— Feldmarszałek!...

— Nasz stary!...

— On sam!...

Od przodu czołowych kompanij pułku zrywały się okrzyki. Bokiem drogi zwolna posuwał się samochód bożyszczą narodu — naczelnego wodza. Po obu stronach na stopniach maszyny stali żołnierze z kagańcami. Mijały go czwórka za czwórką, z pod głębokich hełmów łyskały ku niemu zapatrzone oczy. Głos głęboki, dobroduszny, ojcowski.

— A dokąd to idziecie, chłopcy?

— Do Paryża, Ekscelencjo!—wyrwał się któryś z najmłodszych.

— Nach Paris! Nach Paris!!

Zagrzmiały kompanje w uniesieniu, w zapomnieniu wszystkich trudów, cierpień, zawodów, jak-gdyby zamąciły się im czasy.

Tak wołali, idąc w wielkie boje na tej ziemi francuskiej nad Sommą, tak wołali we Flandrji, w Szampanji, pod Verdun.

Tak samo wołali ongiś, pradawno, może przed stu laty, może na jawie, może w obłąkanych snach — gdy po raz pierwszy parli naprzód wiośną tej wojny — w roku tysiąc dziewięćset czter-nastym.

Dopiero o godzinie trzeciej po południu ukazał się komunikat Ministerstwa Wojny, wyjaśniający zagadkę bombardowania stolicy. Przez pół dnia najprzedniejsi specjaliści armji francuskiej twierdzili jednomyślnie, że pociski idą z powietrza i że absurdem jest przypuszczenie, jakoby mogło istnieć działo, którego efekt sięgałby z linii niemieckich aż do obwodu miasta Paryża.

Dowództwo wojsk lotniczych przeczyło temu kategorycznie. Najgórniesze osiągalne strefy atmosfery były wolne od aparatów nieprzyjacielskich w tym samym czasie, gdy padały pociski. Lotnicy dokonywali cudów, wznosząc się całemi eskadrami,

walcząc z wyżynem rzadkiem powietrzem i przekraczając o setki i tysiące metrów maksymalny pułap, dopuszczalny dla ich aparatów oraz i dla wytrzymałości organizmu ludzkiego. Nigdzie nie można było wykryć śladu lotników nieprzyjacielskich, a pociski padały na miasto regularnie co 15 minut.

Około południa wśród uczonych artylerzystów dokonał się rozłam i po południu przeważała już partja szaleńców, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi dopuszczali istnienie działa i pocisku, donoszących na 125 kilometrów. Ci upierali się przy swoim niepomni na niezłomne prawa balistyki, na granice działania środków wybuchowych, na granice wytrzymałości najcięższego działa i wszystkich kombinacyj stopów brązu i stali. Praw wiedzy i logiki broniła przeciwko nim opinja rzeczoznawców metalurgów i konstruktorów z zakładów Creuzot, którzy w toku wojny dokonali epokowych odkryć i wynalazków i sprawili, że artylerja francuska stała się pierwszą na świecie.

Monstrualne działo niemieckie pozostało nadal teoretyczną i techniczną niemożliwością, jednak dwudziestocentymetrowe pociski jego wybuchały wciąż we wszystkich dzielnicach Paryża. Był to fakt brutalnej rzeczywistości, trudny do zaprzeczenia.

Szkody i straty w ludziach były narazie niewielkie, ale panika wzrastała. Nadewszystko przerażała fantastyczność owej niewiarogodnej „Berty“ i metodyczna uporczywość jej działania.

Na początek strzelają rzadko, a nuż otworzą —

kto ich wie — huraganowy ogień na Paryż i stolica Francji legnie w gruzach?

Kto im zabroni zasypać miasta pociskami gazowymi — swoim Żółtym Krzyżem, który dusi i żre ciało do kości? Błękitnym, Zielonym Krzyżem, od których nie bronią żadne maski?

Jak zaopatrzyć całą ludność w ubrania nieprzenikliwe, w maski ochronne?

Może to tylko ostrzeżenie? Może nastąpi jakieś horrendalne ultimatum, godne Hunnów?

Uciekał, kto mógł. Dworce i przyległe ulice zapchane były tłumem rodzin bogatych, zamożnych i dostatnich, czekających swojej kolei i, pomimo surowej kontroli i wielkiego pogotowia policji, zrywających się do szturmów odchodzących pociągów. Ludzie ubodzy, ludzie przytwierdzeni do miejsca musiem życiowym, zanim przywykli do nowego nieszczęścia i oswoili się z Grubą Bertą, przesiadywali po piwnicach, a nadewszystko uciekali z górnych pięter.

W szerokich masach ludności stolicy strach przed Bertą osłabiał wrażenie ofensywy. Zresztą, wymierzona ona była wyłącznie przeciwko frontowi angielskiemu... Zresztą w komunikatach Wielkiej Kwatery, które ukazywały się po dwa razy dziennie, nie było jeszcze nic zatrważającego... Zresztą, Niemcy byli jeszcze daleko i parli wyraźnie na zachód... Zresztą po ulicach roiło się od żołnierzy amerykańskich, a gwiazdzisto-pasiaste chorągwie powiewały wszędzie...

Dopiero, gdy na szósty dzień walki poranny komunikat ogłosił wzięcie Noyon i zagrożenie linii Oise'y, przez miasto przebiegł dreszcz trwogi. Noyon — to droga do Paryża! Przyszły pogłoski o doszczętnem zbombardowaniu Wielkiej Kwatery w Compiègne. Spłonęły najważniejsze mapy i plany, bez których nie można prowadzić oporu... Połowa Głównego sztabu zginęła, reszta ranni... Któż będzie kierował walką?... Wreszcie — Pétain zabity. Władze kompetentne zaprzeczały wszystkiemu, ale wszak tak bywało zawsze...

Tego samego dnia od Gare du Nord przez Bd. Strasbourg, przez Bd. Sebastopol, przez oba mosty, przez Bd. St. Michel, przez cały Paryż aż do Montrouge przeprowadzono ogromną kolumnę kilku tysięcy jeńców. Widok przeciągającej ulicami takiej masy pokonanego, pojmanego, porwanego wprost z pola walki wroga sprawił, wedle raportów urzędowych, doskonałe wrażenie i odrodził psychikę w masach ludności. W pewnej mierze było to słuszne, tem bardziej, że konwój jeńców oraz kordony policji, idące gęsto po obu stronach kolumny, pilnowały doskonale, ażeby nikt z tłumu gapiów nie zagadał do nich ani słowa. Ale w okolicach Hal Centralnych jakaś Madame Angot, urodzona snąc w prowincjach zabranych, zdołała parokrotnie zaczepić w przemarszu Boszów w ich rodowitym języku. Odszczekując się policjantom i żołnierzom konwoju, pytała uporczywie:

— Gdzie was wzięli?

Bosze przeważnie milczeli, ale od czasu do czasu z kolumny padała odpowiedź.

— Gdzie was zabrali?

— W Argonnach...

— Soissons...

— Verdun...

— Chemin des Dames...

— Verdun...

Madame Angot miała dosyć.

— Merde!!

— Co oni gadają? Co oni gadają? — pytano dookoła.

— I bez ich gadania wiedziałam, co są za jedni. Naciąganie i tyle. Pokazują nam wiecznie samą starzyznę! Po całej Francji ciągną tych samych na pokaz dla głupiego narodu, niby że to wciąż bierzemy jeńców! Merde!...

— Zamknij pani jadaczkę, bo do paki!

— Wszystkich pan nie wsadzisz, niedoczekanie pańskie, panie sierżancie! Wszyscy i tak wiedzą, o co idzie...

— Wszystkich nie wsadzę, tylko panią jedną. Marsz za mną! Do komisarjatu!

— Widzicie go? Jeszcze czego?! Odczep się pan, pókim dobra!

— Idź pan lepiej na front, nie tu wojować z babami!

— Byk zatracony...

— Mort aux vaches!

Na to z nieba w szalonym rozpędzie runął prze-

rażliwy zgrzyt — jęk — świst. Tłum prysł na wszystkie strony, do sklepów, w bramy kamienic, pod ściany. Pękła kolumna jeńców i rozsypała się po całej szerokości bulwaru. Wielu padło na ziemię. Policjanci, ratując sytuację, gwizdali gorliwie.

Przeleciało, poszło dalej zawzięte, wściekłe wyście pocisku. Wnet przez wrzawę ulicy, po przez historyczne zawrodożenie kobiet, przez nawoływania, przez śmiech, przez wrzaski żołnierzy, sprawiających do porządku kolumnę jeńców, przebił się i zawisł w powietrzu ciężki, przeciągły pogrzmot.

— W ratusz trafił!

— Nie, dalej, dalej.

— Gdzieś koło Panteonu!

— Boże, zmiłuj się nad nami...

Senator Guillet Goudon z trudem dźwigał się z ziemi, długo stękał i wzdychał i długo oporządzał ubranie, unurzane w błocie jezdni. Melon jeszcze przed chwilą nieposzlakowany i senatorski był fatalnie rozdeptany przez kogoś w ucieczce, a parasol przepadł bez śladu. Senator, zaznawszy tęgiego stracha, wnet ochłonął i poczuł w sobie miłe odświeżenie sił, jakby ocknęło w nim się coś z dalekiej młodości i coś przypominającego niemal męstwo, gotowe i na dalsze niebezpieczeństwa.

Naturalnie, oczywiście, to nie było nic, ale niema mocniejszego, szlachetniejszego impulsu dla podupadłej woli, jak groza śmierci. Śmierci bojowej! I dobrze, że nas wzięli pod obstrzał swego djabełskiego działa. Przelotne raidy aeroplanów nie har-

towały woli. Od raidów broniły nas mgły, deszcze, noc, wreszcie do pewnego stopnia nasze reflektory, eskadry powietrzne, działa przeciwlotnicze. Teraz jesteśmy wystawieni na cel bez żadnego sposobu ratunku. Wałą i wałą. Pozostaje nam tylko bohaterstwo wytrwania. Paryż potrzebował tej próby. Niechże wałą jeszcze! Nie każdy odradza się na poczekaniu, przeważnie ludzie czynią to z opóźnieniem, zwłaszcza ludzie kierowniczy. Inna rzecz, gdyby to miało trwać dłużej, wola może się przehartować i zawieść. Obawiam się, że nasi panowie znowu pouciekają do Bordeaux, może nawet nie tak daleko, jak za pierwszym razem, ale zawsze... Do diabła, niech już lepiej przestaną z tą „Bertą“...

III

Tryumf.

Jak Niemcy długie i szerokie, grzmą fanfary zwycięstwa. Uroczystości, trąby, sztandary, modły dziękczynne, defilady, obchody, pochody. Dzień szczęścia przyszedł wraz z pierwszym kwietniowem słońcem i ciepłem. Po ciężkiej, beznadziejnej zimie, po tylu niedotrzymanych zapowiedziach lepszej odmiany, w przygnębieniu, w głodzie i nędzy, gdy poza oficjalnymi dozorcami opinii olbrzymia większość narodu zwątpiła już o wszystkim i pragnęła tylko końca tych okropności, naturalnie „bez aneksji i odszkodowań“. Ale gdyby za cenę końca Wilson i Co zażądali... Gdyby wyznano szczerze w uczciwym plebiscycie niemieckiej duszy, zarządzonym w ciągu minionego koszmaru tej strasznej, ostatniej zimy... Pożegnano by dawno nietylko Metz i Strasburg. Tak czuła i myślała masa narodu. A sfery rządzące państwem i wojną uczyniłyby tę ofiarę znacznie wcześniej, gdyby nie było dobrze wiadomo, że w strasliwej walce na śmierć i życie wróg nie poprzestanie na ustępstwie z ziemi spornej, a zażąda poddania się, ruiny i na długie, długie lata zatracenia wielkości

i honoru cesarskich Niemiec. Trzeba było zwyciężyć.

Przez całą zimę gotowano się do tej ostatecznej walki w niezmiernem, rozpaczliwym wysileniu. Żołnierz, żeby wyżyć i przetrzymać na froncie, skazywał na głód żonę i dzieci, ojca i matkę. Ludzie marzli i wymarzali, wymierali na osobliwe niemoce i gorączki, a węgiel szedł do fabryk amunicji, do stoczni, do hut wojennych i na pożarcie dla wiecznego pogotowia floty. Dziadował i dygotał z zimna naród cały, przyobleczony w ersatze, w strzępy i szmaty, a żeby żołnierz na froncie mógł przetrzymać. Szli w szeregi starzy ponad przepisane lata, a z nimi roczniki przedwczesne. Wyganiano ze szpitali rannych niedoleczonych, powoływano koślawych, ułomnych, niemocnych. Gromadzono się niebываłą w tej wojnie, przez całą zimę wykuwano taran, który wiosną miał uderzyć i skruszyć wroga. Biada, jeśli się to nie stanie...

I stało się. Przez genjusz wodzów, przez męstwo żołnierza, przez poświęcenie całego narodu i za sprawą i zrządzeniem Boga Niemieckiego.

— Zniszczona jest na zawsze żywa moc armji brytyjskiej i już się nie podźwignie...

— Wyłamane są szczyrby we froncie francuskim i rychło — niedługo czekać — armje nasze runą przez nie i zaleją Paryż, zaleją Francję...

— Nie zdążą Amerykanie...

Prasa patriotyczna, pieniąc się z zachwytu, wyliczała kilometry, zdobyte wgłęb i wszere, wymie-

niała zagarnięte miasta, ich znaczenie strategiczne i bogactwo, rachowała na setki tysięcy jeńców, sumowała armaty, czołgi, kolosalne zapasy.

A teraz podziękuj Bogu i raduj się, ziemi niemiecka...

Na tarasie ratusza miasta Mannheimu przygodnie sklecona orkiestra ze wszystkich sił dęta i dmuchała w swe instrumenty, chcąc grzmieniem trąb uczcić kolosalny przełom w losach narodu. Ale jedni byli za starzy, inni zbyt młodzi, by odpowiedzieć godnie zadaniu tej chwili. Byli wyniszczeni długą, głodową zimą i zbyt zdrętwiali w zastarzałym przygnębieniu, żeby odrazu uderzyć w ton radości. Nikłe były nawet te miejsca, które w nutach oznaczono — fortissimo. W pewnych momentach tego koncertu wiatr przemagał trębaczy i zabierał precz całą muzykę. Wielki tłum słuchał w skupieniu i z głębi serca chciał się radować zwycięstwem swej armji i swoim szczęściem — ale snąć odwykł od uniesień i nie potrafił nic wyrazić. Napróżno w przerwie między Beethovenem a Wagnerem sam pan burmistrz perorował z balkonu. I jego nie było słyhać. Wyniszczony stary człowiek o obliczu zgnębionem raz na zawsze przez ciosy wojny — stracił był wszystkich trzech synów — miotał się na wyżynie, wytrząsając rękami, i napróżno usiłował wydobyć ze siebie radość i przekazać ją słuchaczom. Wyglądał raczej na obłąkanego.

I tu było tak samo, jak wszędzie. Ludzie chcieli wierzyć i chcieli się cieszyć, a jakoś nie mogli... Niepodobna było nie uwierzyć, gdyż zwycięstwo było ogromne i zbyt oczywiste nawet dla zgorzkniałych do gruntu, zakamieniałych sceptyków. Ale śnać żądano zbyt wiele — cudu, końca. Tłum śpiewał, powiewały sztandary, tłum wołał — Hoch! — a ponad placem Ratuszowym unosiła się melancholja.

Nadzwyczajny dodatek!

Może Anglja ugięła się pod klęską i żąda odrębnego pokoju?

Może cesarz ustąpił przed wolą narodu i powołał parlamentarny gabinet?

Może to z powodu zwycięstwa amnestja dla zbuntowanych marynarzy z Kiel, z Emden i Wilhelmshaven?

Rozchwytywano różnokolorowe bibulaste świszki żółte, sine, czerwone. Grubym, pięknym gotykiem wytłoczony był dekret cesarza z 6 kwietnia. Pierwszy generał-kwatermistrz generał Ludendorff otrzymał Wielki Krzyż orderu Żelaznego Krzyża... Marszałek Hindenburg — wielki Żelazny Krzyż ze Złotą Gwiazdą z zaznaczeniem w dekreście, że to najwyższe odznaczenie było przyznane wodzowi armji tylko raz jeden w dziejach Niemiec, mianowicie otrzymał je był bohater narodowy, nieśmiertelny Blücher 26 czerwca 1815 roku — za zwycięską bitwę pod Waterloo.

Rita baronowa von Tebben Gerth zamknęła

na klucz oboje drzwi od gabinetu męża i stanęła pośrodku wielkiego pokoju. Nie odwracając głowy rzucała po bokach ukradkowe trwożliwe spojrzenia, ale wszystko było w spokoju. Pradziad męzowski, generał artylerji pruskiej, Ireneusz baron von Tebben Gerth nie przeszywał jej złem spojrzeniem, tkwił obojętnie w złotych ramach i nie patrzył. Zawieszona nad kominkiem głowa antylopy z kręconemi rogami nie pobudzała do płaczu swemi żalósnemi oczami pełnemi skargi. Nie narzucało się, nie gnębiło za tym razem brązowe popiersie Bismarka, stojące na półce bibliotecznej.

Za oknami między nagiami konarami alei nadbrzeżnej przemykał się mętny wezbrany nurt Renu. Na rzece spokój, woda po ostatnich deszczach podniosła się tak gwałtownie, że pod jednym z mostów zabrakło kilku centymetrów wysokości, żeby przepuścić bodaj holownik. Po tamtej stronie dymy z kominów „Badische Anilin und Soda Fabrikation“ unosiły się wprost ku niebu, jak z miłych bóstwu wojny świec ofiarnych.

Rita ostrożnie podchodziła do męzowskiego biurka, usiłowała nie spojrzeć na portret, zawieszony na ścianie między oknami, nawet przymrużała oczy. Z zakłopotanym, przekornym uśmieszkiem wślizgnęła się w głęboki fotel skórzany, rozłożyła papier i koperty. Przez głowę jej przepływały półmyśli, półobrazy, półmelodje, imiona, miejsca, czasy, momenty senne, zjawy minionej nocy, rzeczy własne, tajemnie zmyślane, jakieś sprawy

wielkie, a nieistniejące, które nastęrczały się natarczywie i domagały się szybkiego rozważenia... Otrząsała się z zamętu, zdążając do czegoś jedyne-
go, ale na drodze myślenia wyrastały wciąż nowe przeszkody irytująco błahe, a niektóre były straszne...

...Sternik Gebeschuss stał nad nią tuż wsparty ciężko o biurko i szeptał swoją mową blaszaną i zgrzytliwą dalszy ciąg o losach załogi U.C.17. Wychorował się i wreszcie przypomniał sobie wszystko, co było. Z panem lejtenantem zetknęli się na powierzchni i przez jakiś czas trzymali się razem, unoszeni na fali... Pan lejtenant gadał szybko, szybko i nakazał mu zapamiętać i (jeżeli wyjdzie cało) powtórzyć, ale pan lejtenant wnet zdrętwiał z zimna, trzęsło go i z reszty już niepodobna było nic wyrozumieć. Uderzył wicher, śnieżyca i rozdzieliło nas, a potem wnet i ja zacząłem drętwieć...

— Ależ, na Boga, co on powiedział?

— Rzeczy były różne, pani komendantowo, ale grunt w tem, że kazał mi zapowiedzieć pani komendantowej, że on, to jest pan lejtenant napewno wróci do domu prędzej czy później.

— Więc cóż?! Co ja z tego wiem?... Nic!

— Ja myślę, że to dużo znaczy, bo jak pan komendant tak obiecał, to napewno powróci. My go znamy, on już jest taki.

— Skądże on nieszczęsny wróci? Z tamtego świata? Z głębin morza?...

— Z Anglii powróci, pani komendantowo, z niewoli! Wojna musi się kiedyś skończyć.

Zresztą wszystko to jej się przyśniło. Najgorzej, że obudziwszy się nie pamiętała wiele z tego, co opowiadał Gebeschuss. Właściwie zostało tylko jedno, Fell kazał jej powiedzieć, że wróci. Rozpisała listy do sztabu morskiego w Wilhelmshaven, do vice-admirała Michelsena, głównego komendanta łodzi podwodnych, i do kilku kolegów męża. Prosiła o wyszukanie sternika i podanie jego adresu. Po tygodniu otrzymała zwrot dwóch listów, pisanych do kolegów męża, ze wzmianką na kopercie, że obaj adresaci od dwóch miesięcy nie powrócili z morza do odnośnych podstaw operacyjnych i uchodzą za zaginionych. Po trzech tygodniach otrzymała pismo ze sztabu morskiego, że podoficer nawigacyjny floty wojennej Gebeschuss za wybitny udział w buncie marynarzy w Kiel osadzony został w „Wik“, w morskiem więzieniu śledczym i stanie przed sądem wojennym. Natychmiast napisała do niego, posłała mu pieniędzy i czeka na odpowiedź.

Sen opętał ją. Równocześnie i jednakowo wierzyła i nie wierzyła w to, żeby Fell mógł wyjść cało. Ileż razy zasiadała do tego biurka — chyba czyniła to codziennie, zazwyczaj przed obiadem. Długie godziny wysiadywała nad papierem z piórem w rękę, nawet umaczaniem w kałamarzu... Ale nie pozwoliła sobie ani razu napisać bodaj pierwszego słowa. Trzymała się na wodzy. Było to tak, jak-gdyby igrała z rzeczywistością, jakby w jej mocy

było stwarzać fakty i odwoływać je. Mogła uratować Fella i osadzić go w angielskim obozie jeńców. Mogła go zostawić własnemu losowi i pogrążyć go w śmiertelnej przepaści morza. Wszystko zależy od tego jak napisać. Męczyła się i nie umiała zacząć.

Tu nie wolno było omylić się, brał strach, żeby złem lub niezręcznym słowem nie uroczyć losu... Co począć?

Zdaleka zaszemrało coś, jak łagodny poszum morza. Jak westchnienie starej lipy, której listowie odczuwa najłżejszy powiew... Wsłuchiwała się całą duszą. Z najcichszego poszeptu wysnuwały się i ginęły w milczeniu strzępy melodji. Z niezmiernej dalekości, z końca świata ktoś usiłował przemówić do niej. Przestrzeń niweczyła ten głos, zabierała słowa. Na szczęście wokoło była cisza. Głośniejsze... Słabiej...

Nareszcie odezwała się pierwsza uchwytna myśl. Wysnuł się znajomy motyw, zrodził się kędyś i przyszedł do niej. Gdy go poczuła w sobie, przeszył ją ostry sztych radości. To on... Fell daje znak życia!

— W tym frazecie muzycznym zawiera się nasze szczęście, cały nasz los. To było stworzone dla nas. Słuchaj, Rito! Słuchaj! Rozumiesz?

— Ona jest piękna, jak ty, Rito. Tak samo mądra, dobra, szlachetna. I tak samo niepojęta... Widzę ją jako kształt — w twojej postaci! Ona ma twoje oczy, twoje włosy, twoją duszę...

„Niedokończona Symfonia“...

Rozkwitała, zasnuwała świat, kołysała serce przesłodką melodją klarynetu z *Andante con Moto*.

W czasach nieszczęścia Rita unikała „Symfonji“, którą umiała na pamięć i w różnych nastrojach różnolicie przetwarzała po swojemu. Starła się o niej nie myśleć, tłumiła jej głosy, odzywające się w niej niekiedy w zadumie, w rozżaleniu, przez sen... Za nic nie pozwoli jej odżyć, jeżeli sądzono jest, że Fell nie ma już wrócić.

Teraz chłoneła czar i szczęście ukochanej melodji, witała w sobie wiarę, wracała do życia. Wszak przyszła sama, snąc poznała swój czas...

Porywczco wzniosła głowę i promiennymi oczami w zachwyceniu zapatrzyła się w portret męża. Jakże dawno go nie oglądała!... Teraz jej wolno. Bez rozpacz, bez łez, bez tej okropnej krzywdy w sercu będzie mogła z nim przebywać i czekać wiernie, spokojnie. Będzie liczyła dni, zacznie czytywać gazety, rozmawiać z ludźmi, żeby wiedzieć co się dzieje na świecie i zgadywać, kiedy skończy się wojna.

Pisała szybko, w natchnieniu. Co chwila odrywała się od pisania i długo patrzyła w oczy męża. Wówczas na jej zbolałej twarzy, napiętnowanej nieszczęściem, budził się dawny, pradawny uśmiech. Odwykła od niego, był jej nowy i drogi, ale bolał ją ten uśmiech, powracający z wiecznej zda się zaguby. Teraz będzie inaczej, wszystko inaczej!

— ...Widmo nieszczęścia zgnębiło mnie, starło na proch. Pomąciły się we mnie myśli, sądziłam o rzeczach niestłusznie, myliło się wszystko w mej głowie. Straciłam zdolność odgadywania prawdy,

ustały wizje, które przez czas i przestrzeń sięgały zawsze niechybnie aż do Ciebie. Cios mnie powalił i na długo, długo zatraciłam się, byłam niczem, nie byłam sobą — Twoją Ritą...

...Teraz wiem o Tobie, Fell, ach, tak cudownie, tak wyraźnie!... Dookoła skaliste wzgórza, kępy wiecznozielonych dębów, srebrzysty potok... W dolinie wśród płaskich wrzosowisk miasteczko, czerwone mury, dwie wieże kościelne, za miastem czworobok długich baraków, ogrodzonych drutem. Na pustym kwadracie wewnętrznego podwórza gdzieś ocalały niewydeptane pasma wrzosów. Grupy naszych biednych oficerów przechadzają się zwolna, krokiem znudzonym. Nie mogę jeszcze odróżnić Ciebie, jeszcze niedobrze widzę... To musi być gdzieś na odludziu, daleko od morza, daleko od kolei. Może w północnej Szkocji?

...To Ty?!

...Biedny mój, ukochany!... Takiś smutny, wychudły, pochylony... Fell, podnieś głowę, spojrzysz w dal, wytęż wzrok — to ja na Ciebie patrzę, tu ja na Ciebie czekam! Wiedz, że nic nas nie rozdzieli, że nic Ci więcej nie grozi. Gdy ja odzyskałam moją dawną władzę widzenia tego, co w dalekościach utajone i umiem przeniknąć naprzód to, co ma być, bądź spokojny! Czekaj wytrwale, bo minie wojna i niewola — naszym będzie szczęście!

Pisała jednym tchem, nienasycona tą pierwszą z nim rozmową. Prawda tego była tak oczywista, że żadna myśl rozsądna, żadna ostrożność nie mąciły

radości. Jakże wszystko to było proste — wszak inaczej nie mogło być...

Dopiero gdy adresowała kopertę do Genewy do Biura Jeńców przy Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu, ręka jej zaczęła drżeć, a do duszy wionęło zimno. Zimny realizm tego biura, obojętni urzędnicy, sprawdzający nazwiska jeńców i skorowidze obozów we Francji, w Anglii, w Austrii, w Niemczech, we Włoszech, w Rosji, w Turcji, w Bułgarii... Tysiące obozów! Miljony jeńców! Porwie jej mistyczne pismo nieczująca martwa machina i poniesie w świat. W tym świecie wszystko wymierzone i sprawdzone w brutalnej, nagiej istocie ludzi i rzeczy. Jakgdyby wydawała na wrogi osąd najdroższą tajemnicę serca... Zawierzała obcemu światu swoją sprawę świętą — na szyderstwo i zdeptanie...

Może jeszcze zaczekać?...

Wpatrywała się w oczy męża badawczo, błagalnie. Krzepiła się, wątpiła. Zanurzała się w dawnym, obmierzłym, wydierała się jak z pomroki ku jasnemu słońcu. Wówczas Fell uśmiechnął się do niej w dobrem, wesołym porozumieniu.

— Nie bój się, małeńka, wszystko będzie dobrze...

Zamarła, roztopiła się w tym uśmiechu mężowskim, nareszcie ukojona, szczęśliwa.

Z zadumy i zamarzenia wyrwał ją gwar ludzki, za oknem ozwał się i nadchodził szybko grzmot

kroków wielkiej gromady. Czuła za szybami rozfalowaną masę ludzką, tłum poruszony. Co za ludzie, dokąd idą? Czego oni od niej chcą?

Zerwała się, stanęła w oknie. W dole nadbrzeżną aleją kasztanów całą szerokością chodników i jezdni walił tłum. Nad tłumem rozwinięte sztandary. Poznała — to robotnicy z zakładów chemicznych „Badische“ — czyż znowu był strajk?

Ktoś zastukał do drzwi. Podbiegła, otworzyła w przykrej obawie, że to znowu dr. Helm... Zresztą, dobrze, że nareszcie przyszedł, on jej nigdy nie przeszkadza.

To był ojciec. Stary profesor Wager jakby się odmienił, w obliczu jego zastygło jakieś zakłopotane rozradowanie. Jakby dawna posępna maska chciała z niego spaść, a trzymała się jeszcze. Jednak po twarzy przebiegało coś jak tchnienie młodości.

— Zajrzałem do ciebie, bo ty nawet nie wiesz...

Z ulicy uderzył raptem dziki wrzask tłumy, aż szyby brzękły, zerwał się jeszcze raz i zamarł w rozproszonych pojedynczych wołaniach.

— Hoch Kaiser!...

— Hoch Hindenburg!...

— Hoch die pariser Kanone!...

Nikła trąbka zagrała pobudkę chrapiąco — fałszywie.

— Co się stało? Czemu oni tak strasznie krzyczą?

— Rito, wielka radość.. Bóg nareszcie wejrzał na nasze nieszczęście. Olbrzymie, decydujące zwycięstwo! Armja angielska zniszczona. Droga do Paryża leży otworem...

IV.

Po długich wywiadach, które nie dały jednak nic określonego, po głębokiem rozważeniu wszystkich szans, van Trothen postanowił osobiście zobaczyć się z panią Gretą von Senden, jedyną agentką, która ocalała z pogromu centrali wywiadu angielskiego. Sam ten fakt był już nieco podejrzanym, ale świetne rekomendacje tej osoby ze strony Ministerstwa Wojny i kategoryczne ponaglenie od generała Dubreuil, który objął świeżo jedyne kierownictwo zjednoczonego wywiadu anglo-francuskiego, skłoniły go do narażenia się na tę ryzykowną próbę.

Spotkanie wyznaczył w bardzo rzadko używanym rezerwowym punkcie konspiracyjnym pierwszego stopnia na dalekiem berlińskim przedpieklu, gdzie, pomimo że spędził w Berlinie dwadzieścia lat, nie był jeszcze nigdy. W Schmargendorf, za gazownią, na Nordenreustrasse na schodach między pierwszym a drugim piętrem czekał łącznik i wprowadził go przez ciemny korytarz do salonu, szczelnie zapchanego starymi gratami, zawieszzonego słowiańskimi kotarami. Wyłysiałe dywany, galerja okropnych oleodruków, bukiety sztucznych kwiatów...

W powietrzu wisiał kurz i smród zastarzałej stęchlizny. Pod jaskrawą karykaturą portretu starego Wilhelma w ażurowych ramach, wycinanych laubzegą, siedziała młoda osoba uśmiechnięta z papierosem w zębach. Jej smukłe kształty, krótko ostrzyżona głowa i bezczelny uśmiech zdradzały jakby przebranego chłopca, jakich wielu włóczyło się w tych czasach po Friedrichstrasse w okolicy dwor 1.

— Witam...

— Moje uszanowanie panu!

— Zapytam na początek — czy pani jest kobietą? Przecież ja to muszę chyba wiedzieć?

— Jestem kobietą, ale jeżeli pan się chce osobiście przekonać? Cóż...

Rozejrzała się z grymasem odrazy po tym podłym salonie.

— Jeżeli pani ma u mnie służyć, musi pani natychmiast porzucić ten skandaliczny styl. Pani zwraca uwagę. Ubierać się mniej krzycząco! Jak pani patrzy?

— Ależ, panie szefie, na tem polega mój główny chwyt, ja się nie obracam po salonach, tylko między oficerami, w koszarowych kwaterach, po knajpach, po spelunkach!

— Niech pani zachowa wszystkie swoje chwyt, ale niedopuszczalne są skandale uliczne! Pani styl prowokuje policję obyczajową. Takie rzeczy są mi zupełnie niepotrzebne. Wczorajszą noc przesiedziała pani w komisarjacie na Melchiorstrasse. A gdyby

pani miała przy sobie coś takiego? Często pani bywa pijana?

— Nie znoszę alkoholu!

— Więc kokaina? Eter?

— Owszem, panie szefie, do tego się poniekąd poczuwam...

— Ma pani dobre poparcie, więc przyjmuję panią narazie tytułem próby. Na dawnych warunkach.

— To niemożliwe! Tembardziej, że pan Jakób Storhus, płatnik angielski, z powodu chwilowego wyczerpania się kredytu zaległ mi za dwa miesiące. Teraz siedzi jak cała reszta i nie wyjdzie już na świat boży. Jabym prosiła o podwojenie dawnej płacy. Jestem tego warta.

— To się zobaczy. Kto z tamtych zna pani prawdziwe nazwisko? Adres?

— Jeden jedyny szef angielski, stary Buscap. Ten nie wsypie.

— Każdy wsypie, jak mu wsypią cokolwiek więcej ponad granice jego wytrzymałości.

— Każdy, tylko nie on.

— Cóż to znaczy — on?

— Straszna kanalja, ale twardy. Zresztą wie, że jemu i tak nic nie pomoże. Zawsze unikał rzeczy niepotrzebnych.

— Jak się stało, że pani jedna jedyna wyszła cało z takiego generalnego pogromu?

— Wiedziałam zgóry, że pan o to zapyta. Inaczej byłoby nawet dziwne. Jak pan wie z mel-

dunku pewnej osoby, byłam w tym czasie we Francji. Prosty traf — na mój rozum — miałam szczęście i tyle. Chciałabym mieć takie same szczęście na służbie u pana.

— A wszyscy tamci? Siedemnaście osób?

— Przeszło trzydzieści, panie szefie!

— Przeszło trzydzieści osób! Skąd pani o tym wie?

— Jako skąd? Z naszej policji wojskowej. Mam tam idealne stosunki.

— A teraz, proszę powiedzieć, jak pani wydo stała plan ofensywy? Oczywiście nabrali panią. To znaczy podejrzewali, że pani zawodowo szpieguje, i podsunęli dokument fałszywy dla zmylenia nieprzyjaciela.

— Nie wiem, czy był fałszywy, od tego są mądrzejsi. Zresztą pan Ludendorff w ciągu dwóch tygodni walki trzykrotnie zmieniał swój cel strategiczny i dyrekcję ataku. Plan to jest tylko plan. W wykonaniu często się zmienia do niepoznania.

— Pani się zna na strategji?

— Całkiem nie, tylko słyszałam, jak o tem zwycięstwie gadali między sobą oficerowie.

— Cóż gadali?

— Ano — kłapa i już.

— Więc jak pani zdobyła ten plan?

— Skąd go wzięłam? Nad ranem ukradłam portfel jednemu majorowi z Ministerstwa, kiedy spał pijaniusieńki i uciekłam. On mnie pierwszy raz w życiu widział i ja jego. Jechał z frontu

służbowo. Zaczęło się na stacji w Kolonji. Był bardzo miły, ale nie chciałabym go więcej spotkać. W portfelu były papiery no i ten plan. Pan Buscap obiecał mi pięćset funtów nagrody — ale cóż, zanim wróciłam z Francji już było po katastrofie.

— Doprawdy, pani ma dziwne szczęście.

— Proszę pana, jak się zacząć zastanawiać nad każdą rzeczą, to na świecie wszystko będzie dziwne. Życie trzeba brać poprostu. Raz się ma pecha, raz szczęście... Jednemu się wie, drugiemu nie.

— Ale pani specjalnością są oficerowie floty?

— Tak jest. Podstawy operacyjne łodzi podwodnych, mapy morskie, pola minowe, stocznie portowe, obrót łodzi straconych i nowozbudowanych. Dla Anglików to były rzeczy najbardziej interesujące, teraz zapewne będzie inaczej, ale ja się potrafię przerwucić na zadania lądowe. Choćby broń chemiczna, w różnych ośrodkach produkcji mam doskonałe znajomości.

— To dobrze.

Przebojowy superfilm „Bogowie Germanji“ czekał na wiosnę i na zdjęcia w terenie, reklama przymilkła i Berlin potrosze zapomniał o Evie. Wyłączenie dwóch tygodni walki a potem oszałamiający, nadspodziewany ogrom zwycięstwa zabrały wszystkie myśli ludzkie. Znikły ciężkie troski i małe zainteresowania dnia. Cały naród dźwignął się ku wzniosłości, przez ten czas każde serce niemieckie biło

tętne frontu wraz z braćmi walczącymi na dalekich polach Francji. Grozą i chwałą przenikł duży pierwszy komunikat Głównej Kwatery, ogłoszony dopiero w trzecim dniu kolosalnej bitwy. W jego spiżowej powadze, rozmyślnie miarkującej słowa, by nie budzić przedwcześnie wygórowanych ludzkich nadziei, objawiła się moc i głębia wielkiego eposu Niemiec.

— Od trzech dni armje wszystkich szczepów niemieckich stoją w ciężkich walkach w dorzeczach Sommy, Scarpy, Oisy.

Z dnia na dzień śledzono na mapach błyskawicowe rzuty ataków. Front brytyjski oderwany od linii francuskich... Anglicy zgnieceni i pędzeni ku morzu... Główna siła natarcia prze prosto na Paryż, bombardowany bez przerwy przez fantastyczną baterję — cud genjuszu niemieckiego...

Wraz z chwałą zwycięstwa, które było pierwszym aktem wiosennej walki o wymuszenie niemieckiego pokoju, spadła na kraj żałoba straszliwych strat. Zagarnęła ona rodziny i domy, oszczędzone aż dotychczas — szczęściem, trafem, modlitwą błagalną matek i żon. Upajało zwycięstwo a jego cena wzbudzała przerażenie.

W ostatnich dniach ofensywy, 5 kwietnia padł pod Montdidier pan oberst zu Steth Schulzburg. Eva przeniosła się do biednej Lisbeth i pielęgnowała ją w nieszczęściu. Pożycie baronostwa nie należało do najlepszych, ale bądź co bądź, taki cios...

Lisbeth-wdowa spowiadała się przed przyjaciółką bez żadnego utajenia, kajała się, płacząc najprawdziwszymi łzami. Eva, wyrozumiała na wszelkie tajemnice i tajone dziwy życia, umiała uciszyć jej podrażnione sumienie, kołła ją słodką siostrzaną pieśczętą i wreszcie, sama nie wiedząc jak się to stało, ustąpiła, pozwoliła się ukochać.

— Evo, Evo, bóstwo moje... Teraz mam na świecie tylko ciebie... Nie opuszczaj mnie... Pozwól mi zawsze być przy sobie, pójdę za tobą wszędzie... Rozkazuj mi, ja twoja służebnica...

Generał von Sittenfeld napróżno dobijał się do pałacyku na Keithstrasse, chcąc złożyć rzekomo swoje kondolencje. Eva zakazała go przyjmować. Jeszcze go nie mogła widzieć, nie panowała nad sobą. Zdradziłaby się błyskiem nienawiści w oczach, popłochem swego wstydu, jako oszukana tak haniebnie, pokonana w walce z brutalnością — potworną w swej subtelności.

Gdy Eva w swojej grze była genialną aktorką, ten władca spraw szpiegowskich, mimo bezprzytomnego i najgłębiej szczerego miłosnego zamroczenia, dowiódł jak przystało na rasowego pruskiego generała, że w żadnych okolicznościach ani na sekundę nie zapomina o obowiązkach swego urzędu i zawodu. Została poniżona, zgnębiona, dała się wywieść w pole i przyłapać tak ordynarnie... Otrząsała się ze wstydu.

Jakże mogła przypuszczać, że ciemno-zielona safjanowa teka została zapomniana w momencie

rozpaczy i miłosnego obłądu?... Był bardziej nieprzytomny niż kiedykolwiek dawniej. Zrywał ostatecznie i na pożegnanie obrzucił ją najpodlejszemi koszarowemi obelgami. Koniec. Ale po swoją tekę przysłał adjutanta dopiero po dwudziestu czterech godzinach.

Tem się zdradził. Dał jej zbyt wiele czasu na przeszperanie papierów i skopjowanie tego, co tam wsunął z całą perfidją fachowego prowokatora. Był tak wyraźnie cyniczny, że nawet oba kunsztowne zameczki zostawił odemknięte... Był tak uprzedzający, że zamiast fachowego elaboratu sztabowego, w którym mogła była się zagubić, kazał skomponować dla niej niezbyt długie, treściwe memorandum, zrozumiałe w czwartym roku wojny dla każdego czytelnika gazet.

Śpieszyła się strasznie. Była najpewniejsza, że lada chwila generał wpadnie po swoją zgubę. Była naiwna. Była głupia.

Czemuż zataiła wszystko przed van Trothenem? Czemu nie powiedziała mu nic, gdy z niedowierzaniem trząśł głową nad tym niestęchanym elaboratem? Nalegała, groziła mu, opowiadała niestworzone rzeczy o pochodzeniu dokumentu i cóż — nie bardzo przekonany kazał to zaszyfrować i wysłał natychmiast.

Nie widziała się z nim od trzeciego dnia ofensywy, gdy zniechęciła go śmiertelnie. Nie mogła znieść jego ironji i pewnych pouczeń.

— Mogła pani bardzo i bardzo zaszkodzić na-

szej sprawie. Mogła pani pomścić cały system obrony, odciągnąć daleko nasze strategiczne rezerwy i ogołocić prawdziwy odcinek ofensywy... Pani autorytet dla pewnych osobistości w Paryżu stoi tak wysoko... Ale proszę się nie martwić — nie stało się nic złego, upewniam panią, choć nie mam jeszcze oczywiście żadnych informacji. Bowiem pozwoliłem sobie z tym samym gościem przesać moje spostrzeżenie pod adresem szefa gabinetu ministra wojny i doręczyć mu je poufnie. Uczyniłem to, choć nie mam prawa korespondować z nikim poza naszym generałem.

— Przede mną go pan ostrzegał? Jak pan śmiał?

— Nie jestem z natury nieśmiały. Prostu napisałem, że wedle mojego zdania dokument może być zarówno autentyczny jak i rozmyślnie podsunięty, gdyż nie chciano mi wyjaśnić jego pochodzenia.

— Nie jestem obowiązana wtajemniczać pana w moje stosunki. Proszę mi się nie narzucać na spowiednika.

— A jednak źle pani zrobiła. Zresztą, ręczę, że i bez mojego ostrzeżenia tam w Campiègne u Pétain'a sami daliby sobie rady z entuzjazmem generała Dubreuil i z należyłą oceną pani zdobyczy. I proszę się tak nie złościć, niechże się pani nie wstydzi tej pierwszej porażki. W naszym zawodzie takie zawody to chleb powszedni.

— Proszę mnie nie załączać do pańskiego fachu! Jestem wolnym człowiekiem i robię co mi się podoba!

— No, ten kawał z ofensywą nie może się pani podobać, to trudno. Widzi pani, cała sztuka rzetelnego wywiadu polega nie na tem, żeby uganiać się za wielką, gotową zdobyczą, za jakąś największą tajemnicą nieprzyjaciela, bo w dzisiejszych czasach to jest nieosiągalne. Trzeba pracować metodycznie, z pedanterją, nie lekceważąc najdrobniejszego szczegółu, dostarczonego przez najmizerniejszego agenta. Wielkie zdobycze powstają z tysiąca strzępów, skrawków, przyczynków, jak obraz mozaikowy z kamyczków. Te rzeczy zahaczają o siebie, uzupełniają się nawzajem i oto mamy pewną ilość wyciecznych punktów pewnej koncepcji, a resztę sztabowcy już odgadną, to ich fach. Niechże się pani nie miesza więcej do tych spraw. POCO to pani?

— Mam pewne ambicje i zamiary i nie wyrzeknę się ich dla chwilowego niepowodzenia. Zresztą to dla mnie najpiękniejsza gra, wyborna zabawa.

— Mało pani zabaw? Niech pani zostawi wojnę w spokoju. To sprawa ogromna, straszliwa. Ona ludzi łamie, znieprawia, chwyta w swoje zasadzki, morduje, zabija... Niech się pani nie bawi wojną!

Podobne morały słyszała już kiedyś. Na jesieni? W Paryżu? To mówił ów mądry jednooki oficer z zeszpeconą twarzą, zakochany w niej „z ekranu“ jak tylu innych. Rozwodził się nad nią, analizował ją bardzo śmiało. W końcu ostrzegął—przed zbyt niemiłowaniem do wrażeń. To było u margrabiny de Lambesc, w dniu przełomu politycznego

i ogłoszenia gabinetu Clémenceau. Potem widzieli się jeszcze raz... Jakże się ten kapitan nazywał?

Był to ostatni mężczyzna, który jej się naprawdę podobał. Porwał ją odrazu. Uwiódł ją swoją przenikliwą inteligencją, zapamiętałem uwielbieniem. Gdy słuchała co o niej mówił, miała wrażenie, że człowiek ten czyta jej myśli i zna niepojętym sposobem dzieje całego jej życia. Czowała przed nim jakby strach. Zainteresowana, zaprosiła go do siebie, odpowiedział, że nie chce jej widzieć po raz drugi.

— Dlaczego?

— Odpowiedź wypisana jest na mojej twarzy.

Wówczas bez namysłu, po swojemu oświadczyła mu, że gdyby ją zapytano w tej chwili, to ze wszystkich pięknych lub znakomitych panów, obecnych na przyjęciu u margrabiny, wybrałaby właśnie jego jednego. Ogarniał ją zimny dreszcz ekstazy, w głowie kołował zamęt. Wiedziała co się z nią dzieje — tak się zawsze zaczynało...

Przez całą noc w beładnym korowodzie snów prześladowała ją groźna maska jego oblicza, na którem legła pieczęć wojny. Już go zapragnęła w nieokiełzanym, nie rozumującym porwy, już go pokochała. Po długim okresie spokoju przyszedł jej czas. Spędzi z nim tydzień, miesiąc bezprzemyślnego szaleństwa i pewnego dnia ocknie się i natychmiast zapomni. Ileż razy tak bywało...

Nazajutrz zaledwie przez pół godziny pozwolono im być sam na sam. Zjawiły się osobistości,

których żadną miarą nie mogła nie przyjąć. Umówili się na drugi dzień, Eva roztopiała się w swoim szczęściu. Rano otrzymała krótki list. Kapitan oznajmił, że w bardzo ważnej, pilnej misji wysłano go na front, wróci za dwa tygodnie. Nie wróci nigdy, zginął.

Zdruzgotana, w wiecznej żałobie wyjechała na Rivierę, stamtąd do Włoch, potem do Genewy i po drodze zapomniała o swoim szczęściu i nieszczęściu. Nigdy już więcej nie myślała o tym człowieku, zrzadka, we śnie zamajaczyła i przemknęła się jednooka twarz, cała w bliznach i szramach. I nic więcej. Zapomniała nawet jego nazwiska.

W Berlinie, jak wszędzie i zawsze, otaczała ją gromada zalotników. Przywykła do tego, atmosfera hołdów i pożądań w pewnym znaczeniu stała się nawet jej potrzebą. Bawiła się i tyle. Wyrafinowane męczarnie, jakim poddawała generała Sittenfelda, już ją dawno znudziły, zresztą były to zabiegi na zimno, celowe i wyrachowane. Inni panowie, bardzo wielu rozkochanych panów tworzyli jeno jej królewski dwór. Z humorem, pogodnie, z pewnym nawet upodobaniem opędzała się od nich jak od komarów, grała z nimi zabawne komedje, prowokowała sceny zazdrości, starcia, różniła ich między sobą, godziła, intrygowała. Jej nerwy, jej noce były zupełnie spokojne, serce puste, a miła Lisbeth — taką sobie śmiesznią błahostką, niewinnym żartem.

Dopiero w ostatnich czasach zaczęła postrzegać

w sobie chwili beztreściwego niepokoju. Gdy była sama w domu nadśluchiwała, czy kto nie zapuka do jej drzwi, choć nie spodziewała się nikogo. Gdy szła między ludzi, oczekiwała, że spotka tam kogoś nieznanego, który przyniesie dla niej z szerokiego świata jakąś dziwną wieść. Gdy się to nie sprawdziło doznawała przykrego uczucia zawodu. Na ulicy, w teatrze, rozglądała się, jakby szukając czegoś. Był to ktoś nieokreślony, człowiek niewiadomo skąd i niewiadomego wyglądu, ale była przekonana, że spotkawszy go nareszcie pozna go odrazu, a ona również nie będzie mu obca.

On, zawsze ten sam, wtrącał się do jej myśli, mieszał się do snów. Nie dawał się nigdy ujrzeć ani nawet wyobrazić. Szepnął zagadkowe słowo w północy, słyszała odgłos jego kroków — nadchodził, zbliżał się, ocierał się o nią tak, że czuła jego oddech, i mijał ją, oddalał się, odchodził. Wówczas budziła się opuszczona, samotna, boleśnie skrzywdzona.

Tęskniła do wiosny, do ciepła, do zieleni łąk. Czytała zapamiętałe poezje, pierwsze lepsze, jakiegokolwiek, bylejakie i do łez wzruszała się rytmem oklepanych frazesów. Wybierała się w jakąś daleką podróż niewiadomo dokąd, bez żadnego celu. Robiła głupstwa, była niegrzeczna, urażała ludzi bliskich. Biedna Lisbeth dostała się w opałę, drżała przed swoją panią, Eva potrafiła być dla niej okrutną, ale gdy się opamiętała, umiała wynagrodzić jej krzywdę.

Wreszcie odgadła co się z nią dzieje — przecie tak samo bywało zawsze. Nieomyślne znaki, że nadchodzi szczęście. Odtąd upajało samo jego przeżucie, rozkoszą stawały się udręczenia i niepokoje. Co rano budziła się w radosnem podnieceniu — może dzisiaj spotka go nareszcie, człowieka cud, istotę wymarzoną, wytęsknioną, tak bezmiernie ukochaną... Kto on? Skąd? Jaka jest jego uroda? Czem ją zniewoli?

Wszystko jedno, albowiem to będzie on, za każdym razem inny i zawsze ten sam — wskazany przez los, dla niej przeznaczony. Zanim się spotkali już wzbudzał w niej płomień miłości. Nic mu o niej nie mówiła ciekawość wyobraźni — jego niepodobna było przewidzieć. Ukaże się nadspodziewany, zaskoczy ją jeszcze jednym nowym, niezaznanym nigdy urokiem miłosnego opętania.

Eva Evard utrzymywała w należytej jasności kronikę swego życia, nie zapominała o niczem, ale w tych okresach pobudzonego wyczekiwania podziwiali się gdzieś z pamięci i znikali do jednego wszyscy dawniejsi, ilu ich tam było, ustępując przed nowym wybranchem.

O tej porze, w trzydziestym czwartym roku Ewy uzbierał się ich poczet niemały. Raz w rok, dwa razy ogarniało ją szaleństwo miłosne, niepohamowane i zaślepione.

Każdy z nich był cudem, wskazanym przez los wyjątkiem.

Nawet ów poliglota niepewnej narodowości,

niezasobny w pieniądze globtrotter, który zaczął ją był o zmierzchu pod kolumnadą schodów koło galerji Umberto w Neapolu... Było to na dwa lata przed wojną. Zjawił się w wyjątkowo odpowiednim momencie psychologicznym i wkroczył do Panteonu Ewy narówni ze swymi poprzednikami i następcami, choć już po trzech dniach, jak tylko wyszpiewował kim jest piękna i tak łaskawa pani, zdradził się jako ordynarny szantażysta. Wykupiła się od niego, a gdy po tygodniu na swoje nieszczęście zjawił się jeszcze, nader dyskretnie przy pomocy zakochanego platonicznie dygnitarza miejscowego, starego konsula Stanów Zjednoczonych oddała go w ręce policji. W kartotece urzędu śledczego w Neapolu ów szczęśliwiec notowany był pod pięciu nazwiskami, więc Eva, nie wiedząc kim był naprawdę, wspominała go jako hrabiego Burbo di Furfante, ale bez goryczy ani zawstydzienia. Jej to nie uwłaczało, a on cóż był winien? Był urodziwym, pociągającym międzynarodowym łajdaczyną, tak jak inny na jego miejsce bywał lub dopiero będzie finansistą, lotnikiem, jakimś ministrem lub aktorem. Owe trzy dni w Neapolu — mniejsza o zakończenie romansu — dały jej całą otchłań upojenia. I ten odegrał swoją rolę i odszedł, jak odchodzili tamci, może trochę prędzej i zbyt wyjątkowo inaczej.

Hrabia di Furfante był też jedynym, który porzucił ją pierwszy. Zawsze i niezmiennie ona to odprowadzała swoich przelotnych kochanków. Po ty-

godniu, po dwóch, trzech — najwyżej po miesiącu kończyło się jej opętanie, wybraniec losu pewnego dnia w całym swym rozpędzie miłosnym zastawał jej drzwi zamknięte. Napróżno kołatał, błagał, groził — pytał o przyczynę. Nie było żadnej przyczyny ani powodu. Eva dziękowała za miłe chwile i oznajmiała poprostu, że nie chce dłużej...

— Dlaczego nie chcesz?!

— Bo już nie mogę.

— Dlaczego już nie możesz?!

— Gdyż nie chcę. Taka już jestem.

Nie każdy z unieszczęśliwionych poprzestawał na tem, rzadko kto zdołał zrozumieć Evę. Bywały awantury, zdarzały się dramaty. Niejeden przez całe życie rozmyślał nad zagadką, dlaczego go pokochano wprost, znienacka, tak bezprzykładnie, z takim szaleństwem oddania i porzucono z dnia na dzień z zimną uprzejmością, bez cienia litości. Przełotna łaska najcudniejszej, niedostępnej, po królewsku dumnej kobiety i pierwszej na obie półkule świata gwiazdy ekranu zatrzała nie jeden ludzki los. Miała na swej drodze dwa samobójstwa, ale sumienie jej zostało nieporuszone. Zato pewien desperat wystrzelał do niej trzy naboje i—rzecz przypadku—szczególnym cudem nie trafił, a gdy obrócił broń przeciwko sobie Eva mu przeszkodziła i w tym dziwnym trybie zostali przyjaciółmi „na całe życie“.

Niektórych spotykała potem, prędzej czy później w swoich nieustających nigdy wędrowkach po świecie. W takich razach była uprzejmą, lecz ani więcej,

ani mniej niż dla każdego innego z pośród obcych, Uchyłała wszelkie westchnienia i napomknienia o tem co było. Powrotu do dawnych łask nie znał ani jeden.

Tego właśnie najbardziej nie mógł pojąć co do siebie generał Sittenfeld. Powtarzała mu, że jest kochany nie mniej niż wówczas w Schwarzwaldzie przed samym wybuchem wojny, łudziła go, przyzwalając na przekroczenie pewnych granic, odwlekała dzień łaski i tem bardziej go dręczyła. Wreszcie, gdy wyczuł, że Eva knuje jakąś ciemną intrygę, pohamował się i długo, na zimno, po sztabowemu układał plan działania.

Jego rycerskość, romantyzm jego uwielbienia, błagania i skamłania nie zdały się na nic. Z taką trzeba inaczej. Przez czas wojny, w ciągu bez mała czterech lat Eva doznała wielu przygód, urosła w sławie, jest bogata, jeszcze zmądrzała i jeszcze wypiękniała, ale w charakterze odmieniła się radykalnie. Jest lodowato zimna, zatajona, djabelska. Napozór dawna, światowa i beztroska, ma jakieś cele głęboko ukryte. Z tem przyjechała do Berlina.

Nie trzeba zważać na to, co mówi. Opowiadania o jej ideach humanitarnych, o cierpieniach z powodu wojny, o ślubowaniu czystości, o surowych katolickich postach i wszelkich wyrzeczeniach się na czas trwania tej rzezi są zwykłą kobietą błagą, obliczoną na rozbestwienie męczyzny. Obłąkane ambicje, zachcianka, żeby wpłynąć na bieg wojny —

przyśpieszyć jej koniec — są objawem płytkiej megalomanji, jakiej przykład dają, zresztą na mniejszą skalę, wszystkie gwiazdy ekranu w idjotycznych wywiadach w prasie. Eva nie mówi o tem z reporterami, wyszeptuje swoje dziwy w najpoufniejszych wynurzeniach we cztery oczy — z samym szefem niemieckiego kontrwywiadu..

Ow pamiętny wieczór, gdy doprowadziła go swemi sztukami do stanu znacznie osłabionej poczytalności, był jej wstępnym krokiem do pozyskania go dla jej tajemnych celów. Nie zdradziła się z niczem. Były to górnołotne rojenia o możliwości zakończenia wojny jeszcze w roku bieżącym. Teza o doprowadzeniu wojny do absurdu przez założenie tajnego międzynarodowego trustu ideowego, który miałby za zadanie krzyżować, odsłaniać i psuć plany działań wojennych jednakowo i jednocześnie na obu frontach. Zdradzać zamiary koalicji — przed Niemcami, zamiary Niemców przed koalicją. Wywoływać strajki i rozruchy robotnicze we wszystkich walczących krajach. I tak dalej — stek natchnionych głupstw, nonsensów humanitarno rewolucyjnych, a na ostatek — interwencja papieża, który pewnego dnia pod klątwą nakaze wszystkim swoim katolikom rzucić broń i wracać do domu, czem zdeorganizuje armję francuską i w połowie niemiecką...

Nadzwyczaj ostrożnie, okrążając zdaleka cel właściwy, Eva wprowadzała go w ciemną sferę jakiejś intrygi. Nie była tak naiwną, by przypuszczać,

że pójdzie on na lep pacyfistycznej ideologii i to w ujęciu tak historyczno utopijnem. Chciała go odurzyć frazeologią, stworzyć jakiś pozór, formę prostej przyzwoitości, by nieznacznie wejść w sedno rzeczy, a zarazem w wypadku jego odmowy stworzyć sobie „alibi“ i możliwość natychmiastowego odwrotu na zgóry przygotowane pozycje ideologiczne, nie mające nic wspólnego z ordynarnym kuszeniem do zdrady wybitnego niemieckiego generała.

Głównie zaś liczyła na swój czar kobiecy i na to, że generał już dostatecznie „skruszał“, by pod pokrywką doniosłej akcji międzynarodowej dopuścić się zwyczajnej zbrodni. Długo manewrował, chcąc dociec, jaki cel konkretny ma jej „misja“, zorganizowana oczywiście pośrednio przez wywiad francuski. Co właściwie chce od niego wyłudzić? Wiadomości wojskowe? Tajemnice polityki wewnętrznej Niemiec? Nastroje pokojowe? Stopień poczucia moralnego sfer kierowniczych w czwartym roku wojny?

Więc opowiadał jej—pod najściślejszym sekretem—mnóstwo plotek ze sfer najwyższych, z otoczenia cesarza, kanclerza, z Głównej Kwatery, z kulis parlamentu. Zdradzał, rozgadawszy się jakby nie chcący, najtajemniejsze zabiegi dyplomatyczne, poufne memorjały, intrygi dworskie—wszystko oczywiście skłamane. Eva słuchała, ale nie wzbudzało to w niej zainteresowania. Ożywiała się, gdy wkraczał w dziedzinę wojskową, ale i tu pilnowała się dobrze, poza ogólnikami nie dawała się wciągnąć w szcze-

głową dyskusję, nie wypytywała o nic.

Generał swoim nosem kontrwywiadowczym wyczuwał w niej grubą niebezpieczną zwierzynę, więc myślał, dociekał i wreszcie, gdy czas upływał na niczem, zatrzymał się na koncepcji nie opartej coprawda na faktach, ale posiadającej wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Eva nie zamierza go wciągać bezpośrednio w swoją aferę, poprostu jest on jej potrzebny i nawet nieodzowny jedynie jako osłona przed podejrzeniami. Stosunek miłosny z głównym szefem kontrwywiadu, o czym wiedział cały Berlin, zapewniał jej absolutne bezpieczeństwo przed obserwacją i inwigilacją ze strony przeróżnych agencji, które wówczas, w czwartym roku wojny rozrosły się potwornie i przenikały wszędzie, zwłaszcza w stolicy. A wreszcie, w wypadku uwikłania się w śmiertelne sidła miała prawo oczekiwać z całą pewnością, że będzie uratowaną, a przykra sprawa nigdy nie wyjdzie na światło dzienne.

Za taką osłoną Eva spokojnie mogła zarzucać sieci, kędy chciała. Stały przed nią otworem najwyższe koła towarzyskie, wszystkie salony Berlina. Ubiegano się o nią, otaczano ją uwielbieniem. Znała nieprzebrane mnóstwo ludzi i na tem polegała trudność wykreślenia ściślejszego terenu, na którym mogła przeprowadzać swoje plany.

Swojego czasu w męczarniach zazdrości generał puścił był za Evą sforę swoich agentów i agentek z policji politycznej, a niezależnie od tego i z kontrwywiadu wojskowego. Ale i ci łapacze i tamci,

pomimo, że mieli pracować w tajemnicy jedni przed drugimi, wnet, jak to bywa wśród fachowców, zwąchali się między sobą i brali romansową sprawę swego groźnego generała lekko i z humorem i przeważnie trzymali stronę pięknej gwiazdy światowej przeciwko prześladowcy. Zresztą nie dawała ona żadnego materiału do rewelacyjnych raportów i wkrótce cała obława została odwołana.

Teraz agenci generała Sittenfelda zaczęli się uganiać za wysoce poważnymi osobistościami ze świata politycznego i nawet za paru kolegami jego z Ministerstwa Wojny. Szczególniej pilnie obserwowano pacyfistycznego redaktora „Nord-Europy“ Maxa Edelinga, oddawna zażyłego z Evą, albowiem dokoła niego skupiało się grono intelektualistów radykałów, podejrzanych o przekonania karygodnie pokojowe i o występne stosunki z międzynarodowymi idealistami pacyfizmu, którzy obrali sobie siedzibę w Szwajcarii. Owi idealiści wedle raportów urzędowych ambasady w Bernie wszyscy co do jednego byli szpiegami koalicji, a wiadomość była pewna, gdyż ambasada miała wśród nich paru idealistów na własnej służbie.

Po licznych delegliwych doświadczeniach generał wiedział już, że nie zdobędzie Ewy, dopóki nie opłacze jej i nie wtrąci w jakąś groźną kabałę. Wówczas — z dowodami w ręku zażąda uległości i skruszy jej dumę. Nadejdzie moment szczytowy, wspaniały. Czyż to nie otchłań rozkoszy rzucić do swych stóp nielitościwą dręczycielkę, wynio-

słą, wzdardliwą, uwielbianą przez cały świat gwiazdę nad gwiazdy — Evę Evard?

Będzie ją miał za niewolnicę, już zawczasu napawał się swoim tryumfem i obmyślał dla niej upokorzenia i wyrafinowane próby. Nie chciała po ludzku, będzie miała na co zasłużyła. A knując tak kochał ją płomiennie, niż kiedykolwiek.

V.

Dr. Ossian Helm w czasie ofensywy wiosennej zapadł w stan głębokiego zamęcenia psychicznego, graniczącego z obłędem. Z zapamiętaniem pogrążał się w mapach, w komunikatach, chwycił wieści, plotki, nadzwyczajne dodatki gazet. Zaczął chodzić po kawiarniach i przy kuflu nędznego piwa wojennego spierał się z nieznanymi ludźmi o każdy ruch nacierających armij. Wobec zakamieniałych fachowych profanów, wiecznie podejrzliwych gadułów i innych piwoszów z miasta Mannheimu i Ludwigshafen bronił gorąco nowej taktyki Ludendorffa. Zasepił się dopiero pod koniec walk, gdy się stało oczywistem, że za tym razem zwycięskie armje niemieckie nie osiągną już ani Boulogne—Calais, ani Paryża. Liczył jeszcze na Amiens, gdzie krzyżują się drogi, wiodące do serca Francji. Ale po paru dniach musiał zrezygnować i z Amiens i przegrawszy wszystkie swoje tezy strategiczne zmartwiony i upokorzony nie pokazał się więcej w Rathauskeller ani w Café Rheingold.

Wówczas dopiero oprzytomniał.

Nagle obudził się jak ze snu, zdumiony, w najgłębszym przerażeniu... Wydarł się z innego wymiaru świata. Odzyskał z powrotem i poznał siebie samego, gdy przez szereg niepoczytalnych dni tkwił jak uwięziony przemocą w nieswojej postaci, z cudzemi myślami, z obcą duszą. Ocknienie trwało przez jedną sekundę, ale jej dzieje były długie i okropne.

Tonął w ciężkiem zamroczeniu i z rozpaczliwym trudem dźwigał się ku swemu człowieczeństwu, ku jasności rozumienia. Zaznał męki obłąkanego, który budzi się na chwilę i dopiero postrzega kim jest, gdzie jest i co się z nim dzieje. Ważyły się w jego skołatanej głowie omamienie i prawda. Dzi kim wrokiem rozglądał się dokoła, chciał krzy- czeć, wołać ratunku, pytać ludzi, sprawdzić na- tychmiast — co jest? Czego niema?

Jakiś instykt, jakiś strach nakazywały mu milczeć, ścierpieć w sobie wszystko i jeszcze — jeszcze, na miłosierdzie boskie, — zaczekać! Snać nie zupełnie się jeszcze obudził, ze snu wpadł w in- ny sen.

Było to rozdarcie osobowości, dwaj ludzie wal- czyli ze sobą jakby w ciasnocie, zamknięci w jed- nej skorupie. Spierali się, a każdy zajadle bronił siebie. Przytaczali niezliczone argumenty, pienili się w zawziętości, wreszcie wzięli się za bary i zawrzała walka wręcz. Patrzyło na to spokojnie gipsowe po- piersie Goethego z szafy bibliotecznej, patrzeli ze ściany nad biurkiem cesarz z cesarżową. To jeden przemagał, to drugi. Wreszcie powalił Francuz Niem-

ca, przygniótł go i resztą sił dusił — aż go zdu-
sił na śmierć. W tej chwili znikł obywatel Stanów
Zjednoczonych, niemiecki patriota, doktor chemji
Ossian Helm, który przybył zza oceanu służyć swo-
ją wiedzą ojczyźnie.

Claude długo odpoczywał, jęcząc z wyczerpa-
nia. Jeszcze raz oblał się zimnym potem, jeszcze
raz poczuł każdy swój włos na głowie i mróz
w czaszce — na samą myśl, że obłąd może się po-
wtóżyć. Wstał z pościeli, przeszedł się parę razy po
pokoju, wypił parę szklanek wody, zamyślił się,
jeszcze raz się przeraził, wreszcie zasiadł przy biur-
ku i bezwładną, drgającą ręką zaczął pisać.

— W pełni świadomości stwierdzam raz na
zawsze, że wiem kim jestem i nadal o każdej po-
rze pomny na to będę. Nazywam się Claude Dés-
paix, a jestem kapitanem armji francuskiej, odko-
menderowanym przez II-gi oddział Ministerstwa
Wojny na front wywiadowczy w Niemczech w dzie-
dzinie broni chemicznej za dokumentami i pod imie-
niem dr. Ossiana Helma. Kategoryczna instrukcja,
którą otrzymałem, i zbyt pilne jej przestrzeganie tu-
dzież nadmierne przejęcie się moją rolą sprawiły,
że zapadłem na przelotne zamącenie świadomości
i zapomniałem o sobie prawdziwym, istotnym i je-
dynie możliwym. Wierzę głęboko i wiem, że nie
powtórzy się ze mną nic podobnego, ale na wszelki
wypadek w razie ponownego popadnięcia w podob-
ny stan już nie na cały tydzień, ale bodaj na jedną
godzinę, postanawiam nieodwołalnie skończyć ze

sobą natychmiast po dojściu do przytomności.

Dokument ten podpisał imieniem i nazwiskiem, postawił datę. Wielokrotnie odczytał swoje pismo, wyrecytował je głośno i uczuł wielką ulgę.

Nie wiedział, że ratuje się tak samo, jak nie-szczęśny obłąkany, zatracony w szpitalu, gdy spostrzeże w sobie promyk świadomości i usiłuje go zatrzymać w sobie i umocnić.

Nie zapamiętał wielu momentów, godzin, dni ze swoich osobliwych dziejów na tej ziemi niemieckiej. Nie policzył nastrojów, zamąceń, snów na jawie. Jakże lekko wdawał się w miłe rozigranie wyobraźni, zabawiał się fantastycznością swojego nowego bytu... Bez trudu, bez przymusu, nie dla nieprzyjaciela, ale wobec samego siebie przedziergał się w swego sobowtóra, myślał i czuł jak prawy Niemiec dr. Ossian Helm, żeby po chwili porzucić go i wrócić do siebie. Lubował się swoim mistrzostwem, nazywał to zaprawą treningową w nowym ciekawym sporcie szpiegowskim.

A Rita?

Czyż nie była ona żyjącą fantasmagorją, zamąconem wspomnieniem sennego widziadła, melodją niepewną, ledwie dosłyszalną? Od niej szło tchnienie tragicznej ekstazy, ona to zabijała w nim rzeczywistość. Zatrula go nazawsze swym chorym urokiem istoty niepewnej otaczającego ją świata i niepewnej własnego swego istnienia. Czyż wobec niej mógł być sobą, podstępny szpiegiem wiecznie kłamiącym, nienawistnym wrogiem, Francuzem? Gdy

z nią przestawał musiał być i był wówczas prawdziwie jeno tym, za którego go miała, synem jej rasy, Ossianem Helmem, Niemcem.

Całą istotą swoją wciągnął się w tę rolę, albowiem nie mógł kłamać przed Ritą. I jeżeli popadnie w obłąd, to przez nią. Niechże będzie błogosławioną...

Po godzinie już opanował się i rozumował o sobie obiektywnie, skłonny był brać lekko całe zajście. Chwilami nawet usiłował się uśmiechnąć, ale wypadało to jakoś fałszywie, jakgdyby te półuśmieszki przeznaczone były dla kogoś obcego, który go tajemnie podglądał.

Teraz należało jeszcze spalić arcyniebezpieczny świstek papieru i zająć się swojemi sprawami. Właściwie miał tylko jedną jedyną...

Dzwonek. Poznał za drzwiami głos profesora. Zdumiony tym zaszczytem wypadł powitać znakomitego gościa. Profesor Wager był zmieszany i nadrabiał gadatliwością.

— Przechodziłem koło pańskiego domu więc wpadłem na chwilę. Od dawien dawna winienem panu rewizytę. Sporo czasu nie widzieliśmy się, przeżyliśmy epokowe wydarzenia... Lwi skok Lwendorffa otworzył wielką, ostateczną kampanję wiosenną. Niebawem po umocnieniu się na osiągniętych pozycjach i przegrupowaniu sił nastąpi nowy cios w samo serce wroga i daj Boże — koniec. Poczciwi ludziska spodziewali się, że już za tym

razem będziemy w Paryżu, stąd po uroczystych obchodach zwysięstwa zaraz powrócił upadek ducha... Tak, tak, straszliwie jesteśmy znużeni, zgnębieni do ostatka — zresztą nasze straty są tak niewypowiedzianie ciężkie... Nic nie mam do roboty, wojna już nie potrzebuje starego Wagera, więc czytam sobie gazety, jak emeryt rozczytuję się i doprawdy ogarnia zdumienie, jak my przetrwaliśmy te lata i jak możemy znosić to co jest... Nędza, głód. Wymieramy na niesłychane, niezbadane choroby, szerzy się psychoza, wszędzie pełno manjaków, ludzie dziczeją, wdowy po bohaterach nurzają się w rozpuście, niesłychane pijaństwo, kokaina... Masa się burzy, niema dnia, żeby gdzieś nie wybuchnęły strajki, rozruchy, bunty głodowe... A na wszystkich klęskach, na każdej nędzy zarabia i bogaci się zawrotnie zbrodniarz bez czci i wiary, paskarz i szmuglerz wojenny, szachraj i bandyta i siłą pieniądza już urasta w powagę, stanowi nową klasę społeczną... Gdy na to patrzę, ja stary gaziarz, dopuszczam chwilami hipotezę nie tyle naukową, ile poniekąd mistyczną, że nieprzyjaciel przez swoich szpiegów, których ma u nas grasować nieobliczalne mnóstwo, zatruwa nam powietrze jakąś nieuchwytną szatańską substancją, która poraża duszę, wytwarza szaleństwo... A jednak — czyż to nie cud — pomimo wszystko nasza armja stoi mocno, opiera się całemu światu i zwycięża. Wielki jest naród niemiecki!

Nie widzieli się od dwóch tygodni. Profesor

zmizerniał, przygarbił się i postarzał, w jego spojrzeniu zaskrzepła troska. Claude chciał zapytać o Ritę, ale nie śmiał. Zaczął o dalszych pracach doświadczalnych, pytał czy tam u góry zapadły jakie decyzje?

— Zostało, jak było. Ja się już nie będę upominać. Przegrałem sprawę, oby cały naród nie odpokutował za to! Moja koncepcja oszczędziłaby nam dużo czasu i dużo krwi niemieckiej... To już przepadło — niema o czym gadać.

— A my?

— Tak zwane „Wagershölle“? Będę nadal broił etatu moich pracowni i naszych kilkunastu ludzi, choć nie mam dla panów żadnych zadań. Oby mi się udało jaknajdłużej uchronić od frontu tę garść wybranych młodych sił naukowych. Nasza wiedza, w szczególności chemja czysta i niemniej techniczna poniosły już wielkie straty. Trzeba coś zachować na przyszłość. Ale lada dzień wkroczy władza wojskowa i zabierze mi kwiat wiedzy niemieckiej na mięso armatnie.

Claude był rażony myślą, że i on może się znaleźć na froncie. Jeszcze tego brakowało... Czyż w jego dziwnych kolejach losu mogło być coś bardziej fantastycznego?

I w jego mózgu, wstrząśniętym dopiero po tak okropnie, załęgło się na nowo coś w rodzaju zwątpienia o sobie. Ossian Helm nie poto przybył zza oceanu do starej ojczyzny, żeby się wahać, gdy trzeba nadstawić głowy na froncie. Ossian Helm

nie będzie się zastaniać swoim obywatelstwem amerykańskim. Pójdzie i gdy będzie trzeba, zginie jak bohater.

Cóż się stanie wówczas z kapitanem Dépaix?

...Widzi go w głębokim hełmie niemieckim, w szarzielonym płaszczu, a na pasie klamra z orłem cesarskim i z napisem „Gott mit uns“...

...Zagubiony w masie bataljonu nie czuje siebie, jest bezimienną częstką zbiorowiska i nie odpowiada za nic. Kryje się w głębokim okopie i mierzy przez wąską strzelnicę do niewiadomego wroga...

...Wyją nad nim przelatujące pociski, grzmiały wybuchy, kiedyż i on nareszcie zajęknie i padnie?...

...Ale gdy nastąpi ów dzień i trzeba będzie pójść do ataku z nożem, z granatami w rozproszonym szyku... Gdy przebiegnie ogień zaporowy, gdy przejdzie cało druty i doły i dosięgnie nareszcie wroga? W ciasnocie chodnika? Oko w oko? Sam na sam?

...Czy znajdzie w sobie dość siły obłędu, by pchnąć w błękitny mundur bagnetem lub nożem?

Nagle znikła zmora, tłocząca mózg, w jednej chwili zapomniane zostało tamto. Profesor mówi zająkliwym głosem, patrzy nań błagającymi oczami, zmieszany — prosi.

— Niepodobna się na nią obrażać... Panie doktorze, cóż ona winna? Nie wytrzymała wojny, jest zniszczona, zamordowana. Ona potrzebuje litości, ciepła, przyjaźni. Ja jestem za stary i sam zgębiony, kogóż ona tu ma? Nikogo. W samotności

dziwaczeje. Z dnia na dzień coraz dalej odchodzi od rzeczy z tego świata. Niech ją pan ratuje... Pan jest jedynym człowiekiem, z którym lubiła przestać... Pan jej uratował życie... O mało pan nie zginął, broniąc jej przed nią samą, a teraz obraza o jakieś niepoczytalne słowo?

— Ależ, panie profesorze, na Boga, co za obraza? Jak można... Miałem sobie za najwyższy zaszczyt i — że tak powiem — szczęście... Cóż, spostrzegłem, że jestem natrętny...

— Pan tego nie mógł zauważyć... Owszem... To ona w złej chwili wyrwała się z jakimś głupstwem i teraz gorzko żałuje...

— Pani baronowa?!

— Tak jest! Ale, doktorze, pod największym sekretem — przecież właściwie to ona mnie tu przysłała.

Zaczęło się po dawnemu. Wróciło słodkie omamienie szczęścia chwili, szczęścia godziny. Ustał bieg czasu, nie było dnia wczorajszego, nie czyhało jutro zawsze niepewne, groźne dla tego co jest. Jak dawniej istniały tylko godziny, spędzane z Ritą, reszta była pustym martwym snem. Claude nie pytał więcej kim jest, ustały niepewności rozdarcia. Pod jej czarem stawał się nowym człowiekiem, kimś trzecim, który był prawdziwy i ostateczny, a o tamtych zapominał, zapominał — aż wreszcie zapomniał.

Po przerwie dwóch tygodni przyjęty był zwy-

czajnie, jak zawsze, bez zmieszania, bez zdziwienia, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Claude odrazu spostrzegł w niej zmiany. Oczy Rity stały się jeszcze bardziej wdał patrzące i nie widziały zda się niczego, co było bliskie i rzeczywiste, ale na ustach błąkał się wątyły pół uśmiech i ożywiał jej twarz tajemniczym blaskiem. Jak gdyby nareszcie coś w sobie odgadła i ukrywała tę nowinę, jakąś dobrą wieść. Była uprzejma, niemal dobra.

— Wie pan? Odnowiłam dawną przyjaźń z Szopenem i wspominam z nim dobre stare czasy. Wszak to on pierwszy wciągnął mnie w świat muzyki! Później zagłuszyła mi go ojczyźniana niemieckość, w niej na długo zaprzepaściłam się cała, po manjacku. Teraz z Szopenem jakbym się odnowiła, odmłodziłam. Z nim to tak jak — powiedzmy — w brzydki zimowy dzień, gdy niema nawet śniegu, jest pochmurno, ostry wiatr wyje i wszystko jest ogołoczone, puste, nudne — nagle staje się cud. W jednej chwili zaleje, zapełni świat rozkoszne ciepło, drzewa, ziemia, okrywają się zielenią, zaśmieją się barwami kwiaty, na błękicie nieba zawisną białe okrągłe obłoki... Czy spokój, czy tęskna zaduma, czy smutek — w nim zawsze jest dobra wiośniana nadzieja, słodycz. Potężna jest nasza muzyka, ale jej mądrość jest jakaś ponura, za ciężka... Nieprawdaż?

— Pani Rito, każdy autor, każda partytura inaczej nam brzmią za każdym razem, gdy zmieni się coś w nas samych. A co do Szopena, to, doprawdy, nie wiem. Mówiąc otwarcie, za mało go znam.

— Ja pana z nim zaprzyjaźnię! Musi go pan odkryć w sobie i pokochać. Będziemy dużo, dużo, grali.

Codzień koło południa Claude przychodził do willi „Zyglinda“, był na obiedzie i zostawał do późnego wieczora. Coraz głębiej pogrążał się w opętaniu i w niem się umacniał. Nareszcie wiedział że istnieje i poco żyje? Urodził się z takim właśnie nie innym przeznaczeniem i to co było przed Ritą stało się zrozumiałem jeno jako wstęp, który mu zabrał coprawda czterdzieści lat, ale już przeminął, więc najlepiej zapomnieć o nim.

Poco człowiek żyje? To pytanie zostanie wiecznie nierozwiązalne, ale byt ludzki nie może być czymś złośliwym żartem, ani majakiem, który się przyśnił Bogu czy djabłu, ani jakąś kosmiczną pomyłką, ani prostym absurdem. Dla samego siebie Claude już wiedział poco żyje, a każdy inny niech to zgaduje i rozstrzyga jak mu się spodoba. Ludzkość? Co go ona obchodzi?

Wojna? A może ta cała wojna światowa, potworny obłęd, który ogarnął narody... Miljony i miljony trupów... I to, co ją wywołało, sploty zjawisk, przypadki, zbrodnie... I te dalsze nieprzebrane i nieprzewidziane przewroty i klęski, które już po niej będą się wlokły przez pokolenia... Dlaczego nie? Niech mu kto dowiedzie, że w mgławicowym chaosie wszechświata nie wydarzyło się to jedynie poto, by on spotkał w swoim życiu Ritę? Wszak inaczej nie wiedzieliby o sobie nawzajem...

Nawzajem... Do niedawna nawet przelotnie nie zamarzył, żeby i ona zwróciła nań uwagę bodaj jako na przyjaciela, a cóż dopiero... On jeden znał bezmiar swego uwielbienia i jego prawdziwą postać. Rita nie była rzeczywistością, kobietą z krwi i ciała, człowiekiem, Rita była cudem, wyśnieniem na jawie, niemożliwym do ziemskiego ujęcia.

Ale już po paru dniach od wznowienia ich stosunków, postrzegł w zachwycie, który miał w sobie coś z przerażenia, że Rita wita go inaczej, że nie zapomina o jego obecności, że zwraca się doń bezpośrednio, a nie odzywa się sama do siebie lub kędyś w przestrzeń. Ta odmiana, widoczna w wielu nieznaczących szczegółach, zdradzała się głównie w rzeczach nieuchwytnych, ledwie dostrzegalnych dla wysubtelnionego odczucia. Claude zaczynał wierzyć, że ona wie i myśli o nim nawet wówczas, gdy jego przy niej niema. To niesłychane odkrycie przejęło go błogością, wzruszyło do łez. Bolało go szczęście, zaskoczyło go niespodziewanie, było nazbyt ogromne.

To też, gdy przyniósł je do domu i upajał się nim w ekstatycznym rozpamiętywaniu, w pewnej chwili nagle ochłonął... Choćby o nim wiedziała, choćby nawet przemknął się czasami w jej samotnych myślach... Cóż z tego? Prostu przychodzi do zdrowia, do równowagi umysłowej i dzięki Bogu staje się normalną. Zachowuje się z nim zwyczajnie, jak każdy z każdym...

— A tybyś chciał?...

— Nie chcę niczego! Niczego — niczego...

Rita zwierzyła mu się, że zaczęła pisywać do męża, który, „jak ją powiadomiono“ znajduje się w Anglii, w obozie jeńców. Choć zawsze miała tajemne przeświadczenie, że Fell nie zginął, nie mogła się przymusić, żeby pisać na ślepo. Dopiero gdy się dowiedziała napewno...

— Pani baronowo, taka radość! Czemuż mi pani nic nie mówiła? Ani pan profesor?

— Ojciec nie może o tem wiedzieć! To tajemnica — panu jednemu ją powierzam. Muszę się z kimś podzielić mojem szczęściem...

Opowiadała głosem przyciszonym o ciężkich kolejach, które Fell musiał wycierpieć, zanim się dostał do obozu jeńców w północnej Szkocji. Był ciężko chory z przemarznięcia w lodowatej listopadowej wodzie. Sprawdziło się wszystko, co opowiadał ten Gebeschuss, oczywiście Fell ratował się ostatni. Teraz odpoczywa, przychodzi do siebie, ale niegodni Anglicy nie pozwalają mu pisywać listów.

— Wiem, że on tam nie usiedzi do końca wojny, będzie próbował ucieczki. O to się boję... Wiem, że to bardzo trudno, ale gdyby się tylko wykradł poza druty, to już da sobie rady. Doskonale mówi po angielsku i w paru południowo-wschodnich portach miał dobrych starych znajomych agentów handlowych i armatorów, różnych Szwedów, Holendrów, w Hull, w Sunderland, w Harwich... Ci mu wszystko ułatwią, bo kto bodaj raz go widział, musi go polubić. Żegluga teraz jest bardzo ograniczona,

ale przecież okręty wychodzą co pewien czas z tych portów, neutralni robią wspaniałe interesy... Razem z nim uratował się i jest teraz w obozie drugi oficer z U.C. 17, Fred Hasshagen. We dwóch nie zginą. Nie ma pan pojęcia, co to za dzielny człowiek, ten Fred. Spryciarz i prawdziwy morowiec.

Urwała, zasępiła się, opadło podniecenie, z jakim snuła swoją opowieść. Badała Claude'a z troskanem spojrzeniem. Złożyła ręce błagalnie.

— Panie Helm... Prawda, pan nikomu nie wspomni nawet o tem? Pan mi to zaprzysięgnie? Ach, nie powinnam była tego opowiadać... Cóż, nie mogę utrzymać w sobie tych niesłychanych nowin, nerwy mam biedne, słabe...

— Pani baronowo, jestem bardzo wzruszony jej zaufaniem... Doprawdy, dziękuję z głębi serca...

— Niech mi pan natychmiast zaprzysięgnie tajemnicę!

— Przysięgam!

— Niech mi pan poda obie ręce...

Claude ujął jej ręce, były miękkie, suche, ciepłe. Stała z pochyloną głową, pasmo rudawych włosów opadło i zasłoniło jej twarz. Claude zamarł bez ruchu, bez myśli. Przenikał go coraz głębiej żal, ten niemy, serdeczny, bezradny. Ręce zaczęły mu drżeć i wnet poczuł, że zadrgały palce Rity. Z tem drgnieniem nawiązał się między nimi jakiś łączący prąd porozumienia w sprawach niewiarogodnych, niewypowiedzianych. Są one jeszcze ciemne, strasznie pogmatwane, ale gdzieś daleko,

gdzieś w głębinie już świta jakiś pierwszy przed-
blask widzenia i o nich wiedzy. Może rozjaśni się
i stworzą z niczego nowy świat, w którym naraz
w pewnej chwili ockną się i utoną we własnem
niezaznanem istnieniu, niepojętem dla reszty ludzi?
Może ogarnie ich głuchy mrok i pogrzebie razem,
nazawsze?

Claude starał się pohamować drżenie rąk, ale
nie mógł zapanować nad Ritą. Zaczęła dygotać cała
i coraz mocniej zaciskała jego ręce.

Powoli wznosiła głowę. Poprzez pasemka wło-
sów spojrzała mu prosto w oczy — zapatrzyła się.
Czy go widziała? Ale odgadł w głębi jej oczu, za-
topionych w nieznanem, w zmienionych rysach twa-
rzy, w ustach drgających nieutulone nieszczęście tej
duszy i zmierzył jej głębię. Wyczytał nieśmiałą,
błagalną prośbę. Tak samo prosi dziecko nędzarki,
chore, nierozumne, czując swój koniec. Prosi oczami
zasnutemi gorączką, o rzecz niemożliwą, o piękną
sukienkę, o wspaniałą lalkę, którą oglądało kie-
dyś przez szybę bogatego sklepu. Ale on spełni ta-
jemne pragnienie Rity. Choćby się miał zatracić
zeszczętem i zginąć w niezgłębionej topieli obłędu.

Poznała to i cień uśmiechu przesunął się przez
jej usta.

— Pan zaprzysiągł tajemnicę... Proszę o tem
pamiętać...

— Będę pamiętał.

— Proszę się nigdy nie zapomnieć przy mnie...
Proszę mnie nigdy o „to“ nie pytać... Niech mi

pan wierzy — i na tem dość. Dobrze?

— Ja pani wierzę.

— Pan myśli, że ojciecby mi uwierzył? Za nic! On na to zbyt uczony i nie ma żadnej wyobraźni. Przed nim, tak dobrym i kochanym, musimy się bardzo strzec. Niech się, broń Boże, niczego nie domyśli. Wie pan, co onby zrobił?

Zbliżyła się tak, że włosami musnęła go po twarzy, i mówiła spłoszonym, zdyszczanym szeptem.

— Onby mi tu znowu sprowadzał doktorów... Nasz tutejszy stary radca Schichau jeszcze ujdzie i właściwie się nie liczy, ale bywali u mnie i inni... Najgorszy to ten z Kolonji, dr. Huldermann z oczami inkwizytora. Gdy ten spojrzy na mnie, odrazu mąci mi się w myślach, robię się zła... Bardzo lubi mnie męczyć, to jest prawdziwy kat... Zamyka się ze mną na konsultację i prowadzi szpiegowską rozmowę, zapuszcza mi w mózg ostry świder, aż mi się coś pruje w czaszce... Okropny człowiek!... Na dobitkę każe mi chodzić z wizytami i przyjmować gości, a zabrania mi grać...

W tajnej pracowni przy zakładach „Badische Anilin und Soda Fabrikation“ w tak zwanem przez chemików Piekle Wagera — Wagershölle — zastój doszedł do tego stopnia, że profesorowie-teoretycy i inżynierowie-technicy zupełnie przestali przychodzić nawet na papierosa i na wymianę codziennych plotek. Personel pomocniczy oraz laboranci zjawiali się jeszcze potrosze z poczucia przyzwoitości i z nu-

dów, a głównie ze strachu, by któryś z agentów wyższej miary, z kategorii tych, którzy uwijają się po kraju, czuwając nad prawidłowością działania wszelkich funkcji życia narodowego, nie spostrzegli tego próżniactwa. Gdy to zostanie stwierdzone, policzone będą ich dni spokoju i ludzkiego istnienia. Zjawi się z odnośnym papierem bylejaki kapitan bez oka lub porucznik z pustym rękawem i wnet potworna machina armji chwyci ich w swoje stalowe zęby, rozmiecie po okręgach właściwych korpusów i prędzej niż później wtłoczy ich w szeregi jakiejś kompanji, zawagonuje, wywiezie precz i pewnego dnia wyżenie ich los w szczerze pole, gdzie w zamieci pocisków wyje śmierć. Epokowe zwycięstwo zdziesiątkowało szeregi stojące w polu, a choć straszliwie ścisłą cyfrę strat znał tylko Bóg w niebie, a do pewnego stopnia i generał Ludendorff w Głównej Kwaterze, to jednak ci spokojni, prości ludzie byli pod złym urokiem niemyślnej legendy, która zgrozą powiała przez niemieckie krainy. Było jasne, że muszą być wypełnione niesłychane szczyrby, wybite w szeregach przez tak wielki tryumf nad nieprzyjacielem. Na miejsce trupów i rannych muszą stanąć żywi i zdrowi, których nieobecność na placu boju nie jest należycie usprawiedliwioną przez najpilniejsze konieczności życia państwowego i przez potrzeby frontu.

Gdzie ich było szukać o tej porze? Będą brać starych, ułomnych, słabych, z których żadna mustra, ani żadna propaganda nie zrobią nigdy żoł-

nierzy, zdolnych do trudów wojny i przydatnych w boju, i tyle, że zdołają posłusznie nadstawić się pod kule i zginąć. Nadzwyczajne lotne komisje wykryją szczęśliwców, którzy pod ważkami, mądrze obmyślonemi pozorami za osłoną potężnych protekcyj aż do dzisiaj uniknęli frontu. Naprawione będą wszystkie przeoczenia w spisach, jeszcze raz przesiani, przetrząśnięci będą wszyscy. Fabryki zaczynają się ogałacać z robotników, pola z oraczy, choć i ci, co są, ledwie nastarczają, żeby życie narodu tliło się bodaj resztkami. Straszni komisarze trafią rychło i do wybrańców losu, arcykapłanów wiedzy tajemnej, a cóż dopiero do tych, co im posługują przy mistycznych obrzędach. Kiedy strwożona ich delegacja powróciła od samego pana tajnego radcy, profesora Wagera, który im oznajmił, że pracownia doświadczalna, po spełnieniu wszystkich swych zadań, znajduje się w likwidacji, a zarazem dodał krótko pokrzepiającą nowinę, że jest wojna, a zatem każdy Niemiec... i tak dalej — więc i ci, najzupełniej zabezpieczeni i szczególnie uprzywilejowani funkcjonariusze „Wagershölle“, zaczęli oglądać się za jakimś przecie ratunkiem. Ciężyło, dolegało im zdrowie, ten najdroższy skarb człowieka, więc głodzili się, pili ocet, wyniszczali się bezsennością, wreszcie zdobywali sekretne adresy i chodzili po mądrych kryminalnych znachorach, których wyhodowała wojna. Jak wielu innych, truli się proszkami, kroplami, kwasami, utrzymywali się w sztucznej gorączce, pokrykali igły, udręczali serce, nabywali kolek, okry-

wali się wrzodami, a poniektóry, bardziej gorliwy, mniej szczęśliwy, z tej udanej choroby umierał naprawdę, nie doczekawszy się orzeczenia straszliwej komisji.

I znowu zdarzały się chwile, gdy Claude zapominał się i wzruszał się do głębi cierpieniami wroga. Podstępem zakradał się weń doktor Ossian Helm i rządził się po swojemu, bolał i trapił się, jak przystało na Niemca w ciężkiej dobie skołatanej ojczyzny. W jego opętaniu przez Ritę świat zewnętrzny roztaczał się przed nim jak w przyćmionem świetle, jak przez lekką zasłonę i to, co się koło niego działo, nie miało doń bezpośredniego dostępu, jednak w życiu codziennem obracał się między ludźmi, chodził ulicami dużego miasta, przerzucał gazety, o jego uszy obijały się nowiny, rozmowy, wyrzekania, żale, nadzieje. Nie zawsze umiał się obronić od zadumy nad tem i wówczas nie dostrzegał nawet, że jego pojęcia i jego myśli układają się w słowa i zwroty obcego języka. Gdy niekiedy chwycił się na tem uśmiechał się i mijał to lekko. Teraz, gdy odzyskał Ritę, nie miało to dawnej grozy.

Pogrążony w mistyce swego uwielbienia ztracał stopniowo żywą łączność z poczuciem prostej prawdy o tem co jest. Wyrobił sobie niebezpieczny przywilej — realizm świata zjawisk nie obowiązywał go całkowicie i bezwzględnie. Otaczała go leniwa dowolność, marzycielskie zagmatwanie rzeczy prostych, uwodził go kuszący urok powątpiewania

o zjawiskach niezłomnej rzeczywistości. Szedł za Ritą.

Chciał zespolic się z nią całkowicie i bez strachu zapuścić się w krainę złudy. Z początku pamiętał, że opiekuje się chorą, i wierząc w jej urojenia udaje. Zaciekawiała go moc jej wyobraźni, śledził zawile, niedocieczone drogi, któremi zjawy czystego zmyślenia przechodzą w jej mózgu w rzeczywistość. Słuchał gdy opowiadała swoje dziwy i dziwolągi i nigdy nie zaprzeczył, nawet nie okazał zdziwienia. Niebawem wplótł się sam w tok jej myślenia i godzinami mógł przebywać z nią w bezkresach nieistniejącego świata, a gdy ją żegnał i wychodził — budził się. Czasami, zresztą, niezupełnie.

— Wczoraj o zmierzchu wypędziło mnie coś z domu, nie mogłam usiedzieć, przenosiłam się z pokoju do pokoju, wreszcie, nie mogąc dać sobie rady... A pan, jak na złość, nie przychodził... Więc poszłam do ojca, zajrzałam — siedzi przy lampie, trzyma jakieś papierki i płacze... Nie spostrzegł mnie. Powinam była zapytać go, co mu jest, pocieszyć, utulić... Zła ze mnie córka, ten płacz mnie właśnie odtrącił, ulękłam się czegoś, uciekłam... Na dworze ciemno, wiatr, na moście tak zadęło, że szłam trzymając się balustrady... Błąkałam się bez celu jak obca... Może zajść do sklepu, kupić cośkolwiek? Może wstąpić do kościoła? Ale kościoły o tej porze zamknięte. Od dawien dawna, ach od grudnia zeszłego roku nie byłam u nikogo ze znajomych — a nuż pójść na chwilę do Steindorffów, tam zawsze

tak spokojnie, patryarchalnie nudno, ale obaj chłopcy bardzo mili, lubiłam ich zawsze. Cóż, poszłam. Smutno mi się zrobiło, zapalali latarnie, ale miasto teraz tak słabo oświetlone... Uczyniło się jakoś ponuro...

Mało ludzi, ale w pewnym momencie zaczęłam spostrzegać, że mijają mnie jacyś bardzo dziwni żołnierze... Z pozoru nic nadzwyczajnego, starsi, młodszy, rozmaici, ale w każdym z nich poznawałam to samo... Co? Nie umiałabym powiedzieć, dość, że byli zupełnie odmienni od reszty żołnierzy, którzy wałęsali się po ulicy... Tych osobliwych spotykało się rzadko, ale od chwili gdy mnie to zaczęło zastanawiać naliczyłam ich coś koło dziesięciu... Dopiero wtenczas domyśliłam się, że poznaję ich po tym, że zupełnie nie było słyhać ich kroków, przechodzili bez szmeru, jak koty, jak cienie, a mieli przecież na sobie grube okute buty.

Zaczęłam przystawać, oglądać się — dziwne rzeczy! Niektórzy szli w moją stronę, wyprzedzali mnie... Naliczyłam właśnie już siedemnastu, gdy nagle w następnym, w tym osiemnastym idącym bez szmeru, poznaję młodszego Steindorffa — już mnie mija... Zatrzymałam go, ale jakże się spytać, dlaczego nie słyhać jego kroków? Niepodobna, mogłam mieć takie swoje chwilowe przywidzenie... Ale on naprawdę był już osiemnasty.

— Serwus, Ernst! Idę właśnie do państwa. Nie wiedziałam, że i ciebie już wzięli do wojska? Ileż ty masz lat, chłopcze?

Nic mi nie odpowiada. Stoi wysmukły, wątły, nadmiernie wyrośnięty i nie patrzy na mnie, tylko gdzieś w dal. Bardzo smutne oczy, twarz sina, pociemniała, jakaś obojętna, przykra... Chcę powiedzieć — Ernst, nie poznajesz mnie? Ale nie jestem w stanie przemówić słowa, coś mnie zdławiło w gardle aż zabołało... Ludzie przechodzą w obie strony, wszystko dokoła zwyczajne i prawdziwe, a on wydaje mi się coraz bardziej dziwny... Oto znów mija nas żołnierz cichochód — to dziewiętnasty, a za nim jeszcze jeden — dwudziesty... Wreszcie wyduszam ze siebie z wysiłkiem, z bólem, ze strachem:

— Ernst! Odezwiż się! Spójrz na mnie! Zlituj się...

Idzie oficer, ale stąpa zwyczajnie, za nim dwóch zwyczajnych sierżantów. Nadchodzi. Ernst nie zważa na niego, nie oddaje honorów i oficer śnać udaje, że go nie widzi, przechodzi. Gdy nas miął, spostrzegłam, że Ernst patrzy na mnie. Skamieniałam. Zapadła trupia twarz! Znać każdą kosteczkę!... Oczy szeroko rozwarte, niewidzące... Chcę uciekać, ale nogi wrosły mi w ziemię... Chce mi się krzyżeć, a nie mogę dobyć ze siebie głosu... Boże, ratuj mnie! Wreszcie, chcę się obudzić, choć dobrze wiem, że to nie sen...

Nie wiem, jak znalazłam się w domu — pamiętam tylko jeden moment, na moście... Widzę, że nadchodzi jakiś żołnierz, zdaleka nie widzę jaki on jest, czy go słyhać, czy nie, czy to żywy,

czy trup... Chwyciłam się balustrady, trzymam się ze wszystkich sił, odwracam się od wody. Co za okropny strach! Bo i rzeka mnie ciągnie... Ktoś mi szeptem do ucha — skacz, prędeż! Prędeż!

Dziś rano telefonowałam, dowiedziałam się od służby, że Ernst zginął w ostatnich walkach, a starszy Leo dogorywa w szpitalu w Belgji, właśnie wczoraj oboje starzy pojechali do niego.

Rozmyślałam nad tem i teraz już wiem na pewno, że Fell żyje. Bo jeżeli duchy poległych chodzą sobie po ulicach... Przybywają do rodzinnego miasta zobaczyć swoich bliskich, tylko, że ci ich nie widzą, bo nie każdy jest taki jak ja... Jakżeby on mógł krążyć po mieście, jak inni, a nie być u mnie? Nie wyrządziłby mi takiej krzywdy... Zresztą, tak sobie gadam, wiem dobrze, że żyje i jest zdrow. Nie wiem tylko, czy mi starczy cierpliwości! Jak pan myśli, kiedy się to skończy? Nie raz zapominam jak długo ciągnie się ta wojna, muszę sobie wyliczać rok po roku i dziwię się, że nią ubiegło jeszcze nawet czterech lat! Mnie się wydaje, że ona trwa wiecznie.

Zatapiali się w fikcjach. Gdyby ktoś trzeci podsłuchał kiedy ich rozmowy, nie mógłby nie uznać ich za obłąkanych. To też o pewnych sprawach mówili głosem przytłumionym, czasami szeptem. Nie potrzebowali wielu słów. Dużo milczeli, porozumiewając się spojrzeniem. Rita wstawiała, dawała mu znak i siadała do fortepianu, gdyż wielu rzeczy niepodobna było wyrazić inaczej. Odtwarzała swoje

wizje, opowiadała o sprawach trudnych, na które brak było słów w ludzkim języku, które wikłały nawet samą myśl człowieka. Od tego właśnie jest muzyka i jej cudowna władza. Grała po swojemu, niesamowicie i dręcząco. Claude słuchał i pogrążał się w opętaniu tej muzyki, zapominał gdzie jest, kim jest, zapominał o wojnie.

Czasami ginęła mu nawet Rita, zostawała czysta ekstaza duszy, odebranej rzeczom ziemskim i w niebo wziętej.

Pewnego wieczoru wracał do domu pełen niepewności o tem, co widział dokoła. Stracił poczucie kierunku. Zabłąkał się i z trudem znalazł drogę do mostu.

Budził się i znów zapadał w zapomnienie, które było rozkoszą, snem, a zarazem niosło w sobie najwyższą wiedzę o przeznaczeniu człowieka. Pragnął, by ten stan pozostał i trwał w nim nazawsze, ale wiedział, że musi wyrwać się i wrócić do obcej, porzuconej rzeczywistości, która szła za nim krok w krok, czekając swojej chwili. Tak człowiek śpiący uporczywie, błagalnie trzyma się snu, choć wie, że przeklęta godzina już go zaczyna szarpać i wydierać z przesłodkiej niemocy uśpienia. Ren był nieprawdziwy, światelka nadbrzeża odbite w wodzie to gwiazdy, rozstawione na niebie w prawidłowym szeregu dla celów wiadomych tylko temu, który rządzi tajemnicami kosmosu. Poręcze rzekomego mostu bronią go przed międzyplanetarną otchłanią.

Przejdzie nad nią bezpiecznie, ale — oto tam, już niedaleko, gdzie czernieje przed nim spiętrzona masa, przetykana ognikami, urwie się jego sen, jego wszechmądrość, jego nienasycone dążenie. Co robić? Tam czeka na niego cios, koniec — bo to są ludzie i miasto...

Wrócić? Uciec do Rity? Opowie jej dużo nowin, bo odmęt myśli przeżył po drodze. Pójdzie wprost, ona zrozumie, że żyć już bez niej nie może. A jak to będzie? Ona sama rozstrzygnie. Szedł dalej, gdyż już się budził i przypuszczał, że powrót do Rity teraz po nocy zakrawa na niemożliwość. A więc znowu to samo... POCO? Jeżeli ktoś doszedł do szczytu szczytów w pojęciu wszechrzeczy i odgadł tajemnicę tajemnic — poco mu dalsze życie? Odejść. Skończyć.

Pochylił się nad balustradą i chciwie zajrzał wdół ku wodzie, zapatrzył się. Pobródźdony nurt szybko sunący przez falujące smugi odbite od świateł nadbrzeżnych, usypiał go. Zdawało mu się, że dochodzi go ledwie dosłyszalny nocny szmer — oddech Renu. Łagodne, senne popluszki rozleniwiwały budzącą się myśl — zrodziła się wątła, najcichsza melodia i snuła się po wodzie coraz cichsza, coraz słabsza, aż spłynęła z prądem i zgasła...

Zbudziły go władcze, nakazujące dźwięki, wypełniły mu głowę, wypełniły przestrzeń. Spokojnie, potężnie biły zegary miasta, każdy własnym głosem. Gdy ozwał się i przebrzmiał ostatni, ostatnim uderzeniem swoim stworzył nad rzeką dalekie za-

mierające echo. Na jego wtórze ozwał się motyw prastaroniemieckiej pieśni.

— Christ ist erstanden...

Niedalej jak przed półgodziną słyszał tę samą pieśń, przetworzoną w święte dziwo, w cud straszliwy... Dosięła go, owładła nim zatruta, śmiertelna muzyka Rity.

— Panie Helm, dosyć tych marzeń! Czekam na pana od dziesiątej!... Niema co, nieźle się pan zabawia z rudowłosą wdową. Winszuję, ale zmarłam już na tym moście. Pogadajmy nareszcie o naszych interesach!

Claude porywczo odwrócił się od rzeki i nieprzytomnymi oczami wpatrywał się w zjawę. Z trudem powracał na ziemię z dalekich swoich światów. Nic nie rozumiał.

Stała przed nim osoba młoda, wysmukła, w krótkim futerku do kolan, w podkasanej sukni, w aksamitnym berecie na ostrzyżonej głowie, zawadjacko nasuniętym na ucho. Jej jasne, połyskujące oczy szydziły, usta śmiały się wyzywająco. Kto ona? Czego chce?...

— Panie Helm, pan mnie jeszcze nie poznaje?

Poznawał i nie poznawał zarazem. Pamięć zawodziła — tylko te cyniczne, szydercze oczy naprowadzały go na myśl o czemś dolegliwie wstrętnem.

— Ależ to ja, ta sama! Widzieliśmy się tylko raz w życiu, ale dokładnie. No — Heidelberg? Koniec stycznia! Jeszcze nie? Ha! — ha!... Możesz pan być zupełnie spokojny o swoją cnotę, nie za-

mierzam pana po raz drugi napastować, jak Putyfa-
ra... Tym razem będziemy mówili o rzeczach po-
ważnych.

To ona... Głupia eskapada do Heidelbergu i wy-
muszona noc zdawały mu się należeć do zamierzch-
łej przeszłości... Nazajutrz rano, idąc na dworzec,
spotkał jeńców francuskich, a wśród nich znalazł
się jego kapral Vidal, zwany w kompanji ojcem
Zigomarem... Stał dalej, osłupiały, niezupełnie obu-
dzony.

— Nawet pan się ze mną nie przywita?

Uchylił kapelusza i milczał, nie wiedząc od cze-
go zacząć.

— Ach, pan nie rozumie po ludzku, pan za-
pomniał mówić po niemiecku? Eh bien, parlons
votre langue natale, cher énnemi, j'ai mille jolies
choses à vous apprendre.

Na pierwszy dźwięk mowy ojczystej Claude
ocknął się, brutalna rzeczywistość spadła nań znie-
nacka i oblała go od stóp do głów jak zimną wo-
dą. Odrazu zbudził się w nim żołnierz, jak na alarm,
w pełnem pogotowiu w obliczu niebezpieczeństwa.

— Pani wybaczy, nie rozumiem po francusku...
A zresztą, czem mogę służyć?

— Voilà une comédie!

— Komedja? To pani gra komedje. Powtarzam,
że nie rozumiem ani słowa...

— Bon, mais allons de ce lieu ci. Je suis toute
gelée, il souffle ici horriblement.

Chwyliła go pod rękę i pociągnęła za sobą.

Uporczywie paplała po francusku. Claude szybko zbierał myśli, by dociec, skąd ona o nim wie? Czy wie naprawdę, czy tylko przypuszcza i prowokuje? Czego od niego chce? Oczywiście agentka z kontrwywiadu.

Słuchał, zważając na każde słowo, ale Greta mówiła o niczem, o pogodzie, o głupstwach. Pilnował się, żeby się z czemś nie wyrwać i nie zdradzić. Naprzeciwko szli ludzie i Greta natychmiast przetrzuciła się na język niemiecki.

— Ramię panu drży, czy to z zimna? Jeżeli nie z zimna, to proszę się nie denerwować, nie spotka pana ode mnie nic złego.

Ludzie przeszli.

— Comment va vôtre baronne? Czy i u was we Francji wdowy po bohaterach pocieszają się tak szybko? Rita jest prześliczna avec sa pureté virginale et ses façons mystiques... Gdybyż ona wiedziała kto pan jest! Ha — ha! Fantastyczne rzeczy... Niech się pan nie obawia, nie zdradzę pana, bo nie jestem zazdrosna, niech wam się dobrze dzieje...

Rozpytywała bezwstydnie o cielesne zalety Rity, o jego wrażenia erotyczne. Zasiskał zęby z wściekłości, ale musiał wytrwać — nie rozumiał po francusku.

W połowie mostu kawał balustrady był wyłamany i prowizorycznie założony luźnymi zrzynekami desek, niedawno samochód ciężarowy najechał tu i o mało nie spadł do wody. Claude w niespodzianym natchnieniu przeprowadził Gretę przez jezdnię

na drugą stronę mostu i zmierzał wprost ku temu miejscu. Nie zawahał się, nawet mu to nie przyszło do głowy — tak każe prawo frontu. Poprosto pchnie ją między te deski. Pozbędzie się jej, zarazem ukarze ją za podłe znieważenie Rity. Jeszcze dziesięć kroków — obejrzał się — dookoła nie było żywej duszy...

Wydało mu się, że wyszedł na nocny patrol... Cóż, że nie ma hełmu na głowie ani granatów za pasem, a ona jest kobietą? Jest wrogiem i zaraz zginie.

Na swoje szczęście, na chwilę przed wyłomem w balustradzie Greta w swoim lekkim tonie oznajmiła mu, że przybywa z Berlina na rozkaz R. I. 8 od samego szefa z ważnymi zleceniami. I ona służy Francji — dlaczego? Tak jej się spodobało, a zresztą za to płacą wspaniale. Bawi ją i śmieszy, że zdradza własną ojczyznę, szpiegostwo, to wspaniały sport, ryzykowny, śmiertelny, rozkosznie drażniący nerwy.

Otóż pan szef jest mocno niezadowolony z dr. Ossiana Helma. Doktor Helm nie wypełnił poleceń i od sześciu tygodni nie daje znaku życia. Przybyła umyślnie, żeby zbadać, czy się nie wyspał, lub czy zgoła nie umarł, a dalej ma dla niego bardzo ważne zadania...

Tak minęli wyłom w balustradzie i poszli dalej...

VI

Koło literacko - artystyczne „Kassiopea“ zbierało się tej soboty w pracowni panny Emmy Jess na Johannisstrasse. Pokój mieszkalny i wielka hala z górnem oświetleniem były przepelnione. Górowała młodzież, przeważały mundury urlopowanych z frontu i tych wybrańców fortuny, którym udało się umieścić i utrzymać w służbie dla armji na najgłębszych tyłach, a do tego w stolicy. Goście stali pośrodku, podpierali ściany, a większość siedziała wprost na ziemi na pseudo-perskich jutowych kilimach, z nogami podwiniętymi po turecku.

Tłok, zgiełk, dym.

Ktoś, stanąwszy na podjum, klaskał w dłonie.

— Cisza i spokój!! Nasz przyjaciel Kuno Howaldt, cudem ocalony w tych dniach z kolosalnego zwycięstwa na zachodnim froncie, bohater z pod St.- Quentin, bohater z pod Peronne, bohater z pod Bapaume, z pod Combles, z pod Noyon, z pod Mericourt...

— Dosyć!

— Niech djabli wezmą te podłe miasta!

— ...A dalej bohater z pod Plessier, z pod Mareuil, z pod Brèches...

— Hola! Nie pozwalam robić kawałów ze świętych pobożowisk, gdzie legło tysiące naszych bohaterów! Pijana tłuszcza!

— Też jesteś urznięta i milcz, mała Lischen, albowiem to ja tam byłem i jutro wracam, a nie ty, czarna małpko, zaś nasz kochany Kuno, bohater z pod La Fère, z pod Tergnier, z pod Chauny, z pod Abbécourt... Resztę wam daruję! Zaś Kuno, jak to powiedziałem, przepraszając zgromadzonych kolegów i przyjaciół za to, że nie dotarł do samego Paryża, ani do morza, wygłosi, jako pokutę za to dla siebie...

— I dla nas!

— Słuchać!

— Ciszej tam!

— ...Wypowie swój najnowszy utwór na cześć naszego Koła pod tytułem „Oda do Kassiopei“, a to przy akompanjamentie oryginalnego „banjo“, zdobytego na czarnym Francuzie pod Mericourt nad rzeką Sommą...

— Błaga! Pod Mericourt stali Anglicy!

— Stali, póki nie zwiali. Na pomoc przyszły francuskie rezerwy Pétain'a, a w pierwszej linii czarni z nożami, którymi naszym rannym obcinali uszy...

— Słowo honoru, to „banjo“ jest autentyczne, sam je prałem ze krwi murzyńskiej w nurtach Somme'y!

- An der Somme, an der Somme...
- Cicho, Michel, tu są damy!... Zaśpiewasz sobie na froncie!...
- Proszę o ciszę! Zaczynaj, Kuno — jazda!
- Cicho tam!
- Achtung!!
- Czy państwo są kołem artystyczno-literackim, czy bandą?!
- Królestwo za kawałek chleba! Same sardynki i sardynki! Obrzydliwość...
- Niema chleba, zagryż koniakiem, Emmchen...
- Panie i panowie...
- Mesdames! Messieurs...
- Ladies and Gentlemen...
- Gott strafe England!
- Panie i panowie! A wy stulcie pyski, kiedy przemawia oficer!
- Rozkaz, panie podporuczniku, ale na jutro rano — dziś wolność! Równość! Braterstwo!
- Precz z szarżami! Niech żyją rady żołnierskie!
- Kiedyś oficer, to bierz komendę!
- Emma, lej mu do pełna... Panowie oficerowie, podoficerowie i żołnierze! Panie poetki, malarki, rzeźbiarki, pianistki i aspirant-artystki! Czarne, rude, farbowane... I wy, podli cywile-dekownicy! I ty, nasz gościu honorowy, znakomita cudzoziemko z Europy, gwiazdo gwiazd, i ty, młodzieńczy bolszewiku, przybyły ze stepów Azji, zbuczony krwią

burzujów, ażeby i u nas zacząć to samo... Wszyscy!

— Do czego prowadzisz, idjoto?

— Nie chcemy żadnych oracyj!

— Złaź z estrady!

— Nalewać! Nalewać!

— Wszyscy wstać!!

— Dajcież nam spokój!

— Panowie i panie, jedna chwila skupienia!

Godzi się, żeby na pierwszym posiedzeniu w tym miesiącu uczcić naszych nieodżałowanych kolegów, którzy w ostatnich walkach padli na polu chwały i przez śmierć wykreśleni są z listy członków naszego związku. Niech nazawsze pozostaną w naszej pamięci — a oto oni:

— Kurt Amberger, krytyk literacki...

— Cześć!

— Raimund Sebelin, malarz...

— Cześć!...

— Mathias Wendtland, poeta...

— Cześć!...

— Lorenz Federsen, artysta dramatyczny...

— Cześć!

— Karol Wutsdorff, muzyk...

— Łgarstwo! On żyje!

— Ja tu jestem, świnio jedna! Zaczekaj jeszcze trochę...

— Nie wiedziałem — przepraszam...

— Ha — ha — ha!!

— Co za śmiechy?!

— Czy wy nawet przez pięć minut nie możecie być ludźmi?!

— I wreszcie, Mischel Ramm, poeta... Pożegnajmyż ich wszystkich uczciwie i wnieśmy kielichy na ich cześć!

Zapadło głucho milczenie. W rozhukaną, pijaną wrzawę wdarła się ciężka prawda, przed którą zamknęli się tutaj, żeby się zagłuszyć i wytchnąć. W roześmianych twarzach zaległo skupienie. Wśród ciszy jakiś głos kobiecy ozwał się stłumionem łkaniem, oplakując poległych w kwiecie wieku kolegów lub kogoś jednego z nich. Parę westchnień. Kilka poszeptów. Wreszcie zagadał ktoś pierwszy i za chwilę sala zawrzała gwarem, rozległy się śmiechy, okrzyki, śpiewanie.

Wszyscy pili naumór. „Kassiopea“ była stowarzyszeniem artystów ubogich, z pewnem snobistycznym zacięciem proletarjackim. Odkładając na przyszłość dostatki wielkiej kariery, poprzestawali na byle czem w tych nędznych czasach. Na szczęście jeden z urlopników przemycił z frontu ciężki worek, pełen puszek z sardynkami, drugiemu udało się zdobyć tamże czy zwędzić, czyli po żołniersku zafasować na lewo, piętnastolitrową baryłeczkę wysoce szlachetnego Fine Champagne. Te łupy wspaniałomyślnie przywlezione na Johannisstrasse, sprawiły, że kwietniowe posiedzenie „Kassiopei“ należało do najświetniejszych w sezonie. Już trzykrotnie pito zdrowie hojnych ofiarodawców, wygłaszając pijackie mowy pod paradoksalnem ha-

słem — front żywi kraj. Humory wciąż szły wgó-
rę, tęgi grog dymił w szklankach, roznosząc won-
ne opary dalekiej ziemi francuskiej, zdeptanej przez
wojnę Szampanji.

Na podjum już wyrosła ponad tłum i łysnęła
białym ciałem tancerka Mimi Porcupina, przyodzia-
na jeno w naszyjnik z czerwonych raków i w skan-
daliczną opaskę z bananów. Ktoś tam walił w pia-
nino, zatrajkotało „banjo“. Młodzież z frontu coraz
bezczelniej zabierała się do dam — okrzyki bakchicz-
ne, wrzaski, piski...

W powietrzu latały pantofelki, fruwały ścią-
gnięte przemocą różnobarwne bluzki, pończochy.
Ściany pracowni, obite od góry do dołu jaskrawymi
kartonami Emmy Jess, chwiały się w nieprzytom-
nych oczach, kubistyczne pokraki rzucały opętanie.
Zanosilo się na orgję.

Evę zawsze pociągały zabawy cyganerji arty-
stycznej, znała Montmartre, Montparnasse i do-
roczne bale „des Quat' z Arts“ na rue d'Amster-
dam. Bywała na poufnych biesiadach w Medjolanie,
w Neapolu, w Monachjum, w Wiedniu. A gdy za-
częła dźwigać swą sławę i zmuszona była reprezen-
tować samą siebie, kiedy otwarły się przed nią sa-
lony wyższego towarzystwa i otoczyli ją wielcy
tego świata — też wykradała się cichaczem na
zatracone, rozpasane pohulanki. Było to dla niej
odpoczynkiem po sztywnych recepcjach i zbliżeniem
z rodzimą sferą, z której wyszła była niegdyś. Lu-
biła lekkoduchów malarzy, młodzieńczych megal-

manów, którzy gotowali się na podbój świata swym ubogim pędzlem, lubiła słuchać opowieści o genialnych dramatach, które nigdy nie zostaną napisane. Szanowała talenty, zmarnowane w nędzy i w cygańskim rozpuszczonym życiu, porywały ją wielkie idee, głoszone w wielkich słowach przy absyngie przez fanatycznych apostołów przewrotu społecznego, nowej religji, nowej sztuki, nowego człowieka. Lubowała się w drwinach ze wszelkich tradycyj, z bogactwa, z karjery, z salonów arystokratycznych, z patentowanych mistrzów, z urzędowych wystaw, z mecenasów, ze złotych medalów i innych świętości. Lubiła manjaków, zapamiętałych na jednej, jedynej idei, których tylko jakieś zagadkowe nieuchwytnie nic dzieliło od najszczytniejszej genialności.

Ten światek ludzi buntujących się i w przeważającej części beznadziejnie chybionych był dla niej prawdziwszy, niż sfera władców życia, wielkich stanowisk, bogactwa, tradycji i obłudy. A od czasu, gdy sama zaznała bogactwa i zbytku, była jej miłą nawet ich cygańska nędza.

Na posiedzeniu „Kassiopei“ nie poufano się z nią zanadto, jeszcze imponowała jej sława, jej uroda i pańskość nawet najbardziej pijanym, których zresztą co trzeźwiejsi hamowali i poprostu odciągali od niej za łeb. Stałą straż utrzymywali przy niej dwaj młodzi ludzie, oficer i żołnierz. Oficer bawił ją makabrycznymi opowiadaniem z frontu i popisywał się ohydny potwornościami walki. Dru-

gi, przeszkadzając tamtemu, rozsnuwał przed nią pomysł niesłychanego eksperymentalnego filmu i bezczelnie domagał się od niej poparcia finansowego oraz protekcji w „Mundus - Filmie“. Nudził ją i jeden i drugi. Ścigała wzrokiem młodzieniaszka z bujną i rozwichrzoną czarną czupryną, który przemykał się koło niej, patrząc na nią z podoba i znikał w tłumie.

— Co za dzika twarz? Kto jest ten piękny barbarzyńca?

— Najnowsza osobliwość, wczoraj przyjęty do „Kassiopei“ na externa tytułem próby, podobno pisuje wiersze. To Moskal z bolszewickiej delegacji dyplomatycznej, która na mocy układu pokojowego w Brześciu Litewskim przybyła do nas reprezentować nową Rosję.

— Oraz buntować nam robotników i żołnierzy — dorzucił oficer — ten typ zdaleka cuchnie krwią. Poco go było wpuszczać?

— Jest dopuszczony jako curiosum. A jak zacznie nas propagować, wyrzuci się go za drzwi.

— Zwyródniały smarkacz, był na praktyce u Dzierżyńskiego w Cze-Ka, podobno hrabicz ze starego, bogatego rodu.

— To ciekawe! Nie spotkałam jeszcze w życiu ani jednego bolszewika.

— Można go zawołać?... Jeżeli pani każe?

— Daj spokój, to cham.

— Owszem, proszę go sprowadzić, jeżeli nie zanadto pijany.

— Zdaje się, że nie, widać krępuje się jeszcze na pierwszy raz.

Młody bolszewik pił dużo, ale nie był pijany. Jednak już urwał Porcupinie banana z opaski na biodrach i zjadł go z całym spokojem. Od nagabujących go pań opędzał się ze śmiesznym uporem i robił wrażenie jakiejś pierwotnej dziewczyny, broniącej się od mężczyzn. Gdy go obstały kołem, wydzierał się siłą, rozpychając je naprawo i nalewo, aż się przewracały.

— Jak się pan zachowujesz?

— Tu Europa!

— Przecież to są panie!

— U nas tak się zachowywały tylko prostytutki, a i to za cara. Teraz w rewolucyjnej Rosji niema tego świństwa. Ładne te wasze niemieckie burżuazyjne panie, niema co...

— Dziki człowieku, to jest taka towarzyska zabawa, nazywa się flirt.

— Pluję na wasz flirt!

— Pluj sam na siebie!

— Wolę na ciebie!

Bolszewik odszczekiwał się na wszystkie strony, budząc powszechną wesołość zapalczywą obroną swej cnoty i śmieszną, choć dość żwawą niemczyzną. Wreszcie wciągnięto go w dyskusję i prowokowano zjadliwie. Ani się spostrzegł, gdy zaczął wygłaszać przemówienie agitacyjne, jak na mityngu, jego świeży, młody głos zapanował nad wrzawą rozmów, nad muzyką i bębnieniem na estradzie

bosych nóg Mimi, która szalała w jakimś wyuzdanym, murzyńskim tańcu. Obejrzał się na nią parokrotnie, wreszcie zepchnął ją z podjum i zajął jej miejsce. Burza oklasków.

— ...Spodziewałem się tu znaleźć ludzi sztuki i rewolucjonistów z wielką ideą, a widzę tylko pijaków i rozwydrzone pannice... Tańczuj, burżuazyjna hołoto, dopóki nie runie na Berlin czerwona armja proletarjacka, która lada dzień ruszy z frontu... Śmieję się, panie pruski oficerze, dopóki nosisz jeszcze na ramionach cesarskie epolety; niedługo czekać, zedrze ci je ręka własnego żołnierza, a ciebie razem z twoim monoklem postawią pod murem... A wy, żołnierze? Czyż nie dosyć...

— Dosyć! Dosyć! Złaż pan!

— Nie nudź nas, głupi bolszewiku!

— Napij się.

— ...Policzone są dni wojny, zbuntują się Francuzi, Anglicy...

— Na to zgoda! Brawo mówca!

— Idź naprzód z nimi pogadać, a potem do nas z kazaniem!

— ...Powiedział Lenin...

— Jadąc przez Niemcy w zapieczętowanym wagonie!...

— Ładny numer ten wasz Lenin...

— ...Jesteście za głupi, żeby go zrozumieć. Waszego wielkiego Liebkechta dręczycie w wojskowym więzieniu...

— Zabierzcie go do siebie, oddajemy za darmo całą jego wielkość...

— Halt! Ani słowa o Liebknechtie!

— Cześć mu!

— Niech żyje Liebknecht!...

— Precz z Socjaldemokracją! Niech żyją Niezależni!

— Zdrowie Liebknechta, uczciwego Niemca!
Precz z Wilhelmem!

— Nalewać!

— Cicho tam, ja mam głos! Nowe Niemcy rodują się we krwi i w męce! Nadejdzie dzień...

— Niech żyje strajk generalny!

— Tak ci się zachciało bolszewików?

— U nas, w Europie nie będzie tego nigdy, u nas...

— Oho...

— Niech żyją nasi marynarze, uwięzieni w Kiel, w Wilhelmshaven, w Emden...

— Precz z buntownikami! Kiedy ojczyzna...

— Jaka ojczyzna? Czyja? Ludendorffa?

— Ostrożnie! Czy myślisz, że tu niema szpicłów Sittenfelda?

Na ten niespodziewany okrzyk Evie uczyniło się nieswojo. Może to o niej? Zamierzała się wycofać cichaczem, tem bardziej, że oficer, przydzielony do niej dla obrony przed pijanymi, sam zaczął poczynać sobie z nią zbyt obcesowo. Świetny szampański koniak i jego bezmierna obfitość czyniły swoje. Nie było mowy o żadnej wymianie zdań o sztuce ani o pro-

dukacjach artystycznych. Z Mimi dawno już objęto raki i banany, a na podjum grupowały się do żywych obrazów trzy nagie koleżanki. Uwijało się między nimi aż czterech wojskowych reżyserów, przygotowując wśród bezwstydných zabiegów zapowiedziany obraz „Pokój świata“; po kątach krępowano się coraz mniej. Eva miała tego dosyć—w Paryżu, nawet w Wiedniu wyglądałoby to inaczej. Niemcy nie znają umiaru i subtelności w tego rodzaju sprawach. Wstawała z krzesła, gdy asystujący jej żołnierz, który podział się gdzieś, przyprowadził zapowiedzianego bolszewika.

— Pani Evard, oto on, pani pozwoli — graf Uchmatow, dyplomata rosyjski, to jest właściwie bolszewicki.

— U nas niema grafów ani dyplomatów, jestem poprostu Uchmatow, szeregowy robotnik w służbie Rewolucji, odkomenderowany przez „Kominintern“ na robotę niemiecką. Czego pani sobie ode mnie życzy?

VII

Van Trothen gonił już resztkami nerwów. Czepiały go się przywidzenia i strachy. Z dnia na dzień potęgowała się w nim jakaś chorobliwa podejrzliwość, która w jego zawodzie hamowała wszelką inicjatywę. Musiał ufać bezwzględnie przynajmniej niektórym ze swoich ludzi, a zdarzały się momenty, kiedy nie wierzył zgoła nikomu. Chwilami podejrzewał nawet Evę. Wydawało mu się, że go śledzą na ulicy, po kawiarniach, w teatrze, w Mundus-Filmie, nawet w domu.

Zdarzały się koszarne godziny, gdy roje szpicłów osaczały go i dręczyły bez chwili wytchnienia, ganiając po całym mieście. Wymykał się, wskakiwał do pierwszego lepszego tramwaju, ale tam już siedzieli nowi. Kluczył, przekradał się, wpadał chyłkiem do kawiarni w dalekiej dzielnicy i znowu zastawał tam zaczajonych na niego innych wywiadowców, ludzi starych, młodych, najrozmaitszych, kobiety, nawet dzieci — przy stolikach siedziały całe rodziny szpiclowskie... Wiedział, że tak monstrualna inwigilacja jest niemożliwością i przywidzeniem, ale za każ-

dym razem musiał się dobrze zmordować, zanim się opamiętał.

Już nad sobą nie panował. W tych czasach drżał ze strachu nawet przed swoim starym partnerem szachowym generałem Sittenfeldem i radby schować się przed nim w mysią norę, a jednak kusiło go, żeby mu się nastęrczać i leżć w oczy. W momentach najgorszego strachu telefonował do niego, napraszając się na partyjkę szachów, żeby przewąchać coś o sobie i wyczuć swój los, a zarazem sprowokować straszego dręczyciela, żeby spełniło się nareszcie to, co i tak ma być.

Generał odpowiadał uprzejmie, gadał po przyjacielsku i jowialnie i zawsze wymawiał się brakiem czasu.

— Wszystko wie i zwleka, żeby mnie męczyć— myślał van Trothen.

Oczywiście miał wszystko przygotowane do ucieczki, w tajnej fałszowni wystawiono mu trzy najpoprawniej formalne paszporty na trzy granice z fotografjami w trzech charakteryzacjach. Miał stale przy sobie grubą wiązkę banknotów, całą płynną kasę centrali, własne kapitały przeniósł na banki szwajcarskie i holenderskie. Zaopatrzył swoją miłą Klarchen, do Mundus-Filmu dopuścił współnika i wkład jego natychmiast przelał zagranicę. Sprawy centrali, wszystkie stosunki, agentury, adresy, korespondencję i szyfry przekazał swemu zastępcy, zapamiętałem gorliwcowi i manjakowi wywiadu, specjalście od transportów wojsk i obiegu sił zbrojnych,

Niemcowi szwajcarskiemu, którego zajęciem zawodem było zaopatrywanie w zapasy żywności, w sprzęt i w kredyty wszystkich bufetów kolejowych na magistrali Berlin—Kolonja. Pod tym legalnym pozorem przeprowadzał wszystkie afery pod naczelnem kierownictwem zatajonego i niedostępnego dla reszty agentów wielkiego szefa. Pobocznie uprawiał na grubą skalę szmugiel żywnościowy.

Abbegglen sam doradzał szefowi zejść już z pola walki i odpocząć po trudach, nie dlatego żeby go uważał za „zasypanego“, przeciwnie, ani generał, ani nikt inny nie podejrzewa go w najmniejszym stopniu. Nosi on niebezpieczeństwo w sobie samym, żyje w urojeniach, nikomu nie ufa, na każdym kroku popełnia drobne niezręczności, ogarnęła go manja prześladowcza. W tym stanie nerwów, choć mu narazie nic nie grozi, wyda się sam, wsypie się na pierwszym lepszym głupstwie. Ostrzegał go zwłaszcza przed dalszą zażyłością z generałem Sittenfeldem, dawniej było to bardzo wskazane, ale już odegrało swoją rolę w ciekawych dziejach wywiadu francuskiego na Niemcy.

— Teraz każde zetknięcie z nim jest dla kochanego szefa bardzo groźne, kochany szef nie ustrzeże się już teraz skłonności bardzo znanej w kryminalistyce, a mianowicie pewnych niebezpiecznych eksperymentów, aby odgadnąć, czy wróg już coś przypuszcza, czy też nic jeszcze nie wie. Przy tak starganych nerwach kochany szef może się potknąć fatalnie.

— Więc pan uważa, że moja rola się skończyła?

— Rola — bynajmniej, to nerwy kochanego szefa się skończyły.

— Dobrze, jadę...

— Ale kochany szef wyjedzie nie zwlekając i oczywiście najzupełniej legalnie, jako powszechnie znany van Trothen, właściciel i dyrektor „Mundus-Filmu“. Fałszywe papiery spalimy — to był bardzo nierozsądny pomysł.

— Dobrze, wyjadę, ale mam jeszcze na głowie tę głupią sprawę z Ludwigshafen...

— Niech kochany szef jedzie spokojnie, już ja sobie dam radę z doktorem Helmem. Proszę być pewnym, że instrukcja pańska będzie wykonana.

— Ta szelma raportowała, że niczem go nie mogła przekonać i już ją prowadził do policji! Obróciła wszystko w żart i tem się uratowała. Niestęcha! Obawiam się, czy on nie dostał bzika?

— Poprostu przesadził w ostrożności, a zresztą ta przejęta po Anglikach pani von Senden nie wygląda zbyt solidnie, jak na tak grubą misję. Trzeba było posłać kogo innego. Zresztą nie wróciła z pustymi rękami — przywiozła nam dość ważną informację o naszym kapitanie, mianowicie, że jest do szaleństwa rozkochany w pięknej córce profesora Wagera. Zupełnie niepotrzebna komplikacja... Czemu się, u diabła, nie zakochał w innej Niemce?

— Plotki...

— Całe miasto o tem gada, a ona jest tamtej-

sza. Zresztą zbiegiem okoliczności Greta dobrze znała naszego Helma, tylko, oczywiście, nie wiedziała, że jest Francuzem.

— Miała cyfrę, znaki i hasła—a ten się wszystkiego zaparł w żywe oczy. Złapała go na ulicy i zagadała wprost po francusku—ani drgnął. I tak wytrzymał do końca, musiała przejść na niemiecki, a gdy mu wyłożyła całą rzecz aż do końca, zaczął krzyczeć, ciskać się i przemocą ciągnął ją do komisariatu. Ha — ha — ha...

— Morowiec!

— Za morowy, jak na szpiega, przecie z takim w razie nagłej potrzeby niepodobna się porozumieć — czy ja mam osobiście jeździć do niego z każdym głupstwem?

— No, to całkiem nie było głupstwem—zresztą znać, że to oficer frontowy, nieokrzesany jeszcze, nie zna się na naszych subtelnościach, mogło mu się coś nie spodobać w pańskiej instrukcji. Wojskowi mają swoje poglądy kastowe i nieraz osobliwe, całkiem nieprzewidziany punkt honoru. Ja się z nim zobaczę w tych dniach, niech kochany szef jedzie w świat i odpocznie ze dwa miesiące — jeszcze dokonamy pięknych rzeczy.

— Dwa miesiące? Ależ za miesiąc Niemcy będą w Paryżu i nie będziemy już potrzebni.

— Kochany szef przesadza, mojem zdaniem, Niemcy nie będą nigdy w Paryżu, na zwycięstwo już ich nie stać, ale bronić się będą twardo i długo, wojna potrwa conajmniej jeszcze rok albo półtora,

jeszcze się przydamy Francji i kochany szef i moja skromna osoba. Trzeba dobrze wypocząć.

Van Trothen był spakowany, codzień wyjeżdżał i codzień zostawał. Wahał się między Szwajcarią i Austrią, to znowu namyślał się nad Holandją. Rozigrane nerwy płodziły coraz to nowe majaki strachu i podejrzeń lub wtrącały go w ciężkie zgnębienie. Nie widział przed sobą przyszłości ani nawet jutra, jak ci, którzy przeczuwają bliską śmierć. Miał się za nieodwoalnie zgubionego; dają mu spokój, póki siedzi na oczach w Berlinie, niech się tylko ruszy, wezmą go na granicy. Na ten wypadek miał swoje cyjan-kali, ale niemal codzień zdarzały się chwile potężnej pokusy, by nie czekać i samemu rozstrzygnąć swój los. Nie rozumiał już dalszego istnienia. Co on będzie robił zagranicą?

Ogarniała go śmiertelna nuda. Pięćdziesiąt bezmała lat spędzonych na tej ziemi wydawały mu się zupełnie niepotrzebne, a z tego lata wojny były już tylko fantastycznym absurdem. Poco mu było uwiłkłać się w ten chaos kłopotów, niebezpieczeństw, bezeceństw, zbrodni? Choroba ciekawości, namiętność do intrygi, tajemny smak podłości, kult zdrady... Umiłował śmiertelny hazard i było mu wszystko jedno, z kim grał i o co. Gdyby go wojna zastała w Anglii, zdradzałby Anglię.

Porwała go burza jak źdźbło słomy i miota nim aż po dziś dzień. Minęły dawno górne marzenia i ambicje, żeby dokonać czynów znakomitych i zaważyć na losach wojny. Już w drugim roku wiedział, że nic

nie zrobił i nie zaważy w niczem aż do końca. Przez jego ręce przepłynęły miliony francuskich pieniędzy, z ukrycia pchał na śmierć ludzi, których nigdy nie widział na oczy. Co wygrał, co na tem zyskała strona, której służył?

Gdy nad tem rozmyślał, rachując swoje największe tryumfy, kolosalne afery, zawody, straty w ludziach, genialne zasadzki, olbrzymie swoje obławy, ciężkie błędy, nieraz śmiał się w samotności do upadłego, histerycznie, niedopowstrzymania. Co to wszystko było warte? Nieskończenie więcej, niż nic—ale niewiele ponadto. Zdrowy rozum, który jak na złość ocknął się w nim w samym końcu, pokazał mu wyraźnie, jak na ekranie, zabawną pantominę.

Tak zwany van Trothen lata tam i z powrotem od rzeki do pobliskiego ogródka, z którego sterczą ponad płotem suche badyle. Czerpie wiadrem i śpieszy się podlać spragnione kwiaty, a dziurawe wiadro cieknie fatalnie. W połowie drogi wiadro jest puste, wraca do wody, czerpie i znowu biegnie, i znowu wraca, i znowu... Co pewien czas z wody wynurza się rozdziawiona paszcza krokodyla, wówczas van Trothen przycupnie i schowa się za wąły krzaczek, przycichnie i przeczeka. Gdy wróg znika, szybko dopada brzegu, nabiera wody i pędzi do swego ogródka. Wówczas to z za płota wygląda kudłaty łeb lwa. Van Trothen umyka za swój krzaczek i zukosa zerką ku wodzie. Lew znika — wyłazi krokodyl — i tak dalej.

Van Trothen już nie pamiętał, że kiedyś widział

podobną farsę na filmie rysunkowym, uważał to za wytwór własnej wyobraźni, która podsunęła mu symboliczny obraz jego dziwnej kariery. Absurd! Dziurawe wiadro opętało go, nudziło, nie mógł się od niego odczepić, a teraz zbliża się moment niechybny, kiedy nastąpi odmiana w dręczącym przedstawieniu, lada chwila krokodyl capnie go, skończy się głupia farsa, skończy się tak zwany van Trothen.

Jednego mu było żal porzucać, gdy przyjdzie dać szyję pod nóż Sittenfelda lub przełknąć własną pigułkę. Chciałby widzieć końcową rozgrywkę wojny. Nie był ciekawy, kto zwycięży, ale z czemś podobnym do uniesienia wyobrażał sobie, co nastąpi bezpośrednio po wojnie, w rok potem, i w dwa lata później — i po dziesięciu latach od zawieszenia broni.

Wojna znudziła mu się do obrzydzenia i w jego rozumieniu choćby trwała jeszcze długie lata, będzie ona jedynie wstępem do przewlekłego okresu katastrof i przewrotów. Ogarną one wszystkie narody i będą się toczyły przez świat, wśród krwi, zniszczenia i klęsk, przy których zmaleje i zblednie miniona wojna. A dalej — co wyłoni się z dziejowego chaosu? Jakie prawdy, jakie prawa, co za ludzie?

Dla tego jednego warto było żyć...

Wreszcie, w połowie kwietnia o godzinie szóstej wieczorem, gdy po przedłużonej drzemce poobiedniej siedział osowiały, bez jednej chęci ani myśli, coś mu szepnęło do ucha:

— Już... Już! To dzisiaj...

Szept był przenikliwy, alarmujący. Zerwał się i bez namysłu zaczął się ubierać. Zniesiono mu nadół oddawna gotowe dwie walizy.

— Jadę na dwa dni do Monachjum, we środę wracam porannym pociągiem...

W drodze na Pottsdamer Bahnhof, wlokąc się nędzną szkapą, spozierał jakby z za grobu na miasto, w którym spędził pół życia. Nigdy tu nie wróci... Kaiser Wilhelmstrasse... Unter den Linden... Pariser Platz... Ta wspaniała dzielnica, serce niemieckiej stolicy, wydała mu się widmem czasów zamierzchłych, oddawna umarłych.

Dzisiaj była nieprawdziwą złudą, snuły się po ulicach upiory przastarego pokolenia, jak w dniu zmarłych, gdy wolno im wyjść z grobów i na chwilę wrócić na dawne miejsca. Nie było już na świecie tych ludzi ani tego Berlina. Gdzie spoczywają ziemskie prochy van Trothena? Czas odbiegł daleko na wiele, wiele dziesiątków ludzkich lat od tej godziny zmierzchu, gdy jechał był z walizkami i ze swoim strachem na dworzec, by oszukać dawno zmarłego generała Sittenfelda i uciec przed losem, który się również już dopełnił. Rozumiał nikczemną niepotrzebną marność wszystkiego, co żyje, był niewzruszony niczem, jak głaz od wieków wrośnięty w ziemię, jak duch wyzwolony ze skorupy cielesnej i od wszelkich myśli i trosk.

Tak zajechał na dworzec. Gdy trzeba było ocknąć się, wysiadać, zapłacić dorożkarzowi, a dalej kupić bilet, pytać o godzinę, śpieszyć się, szukać

miejsca—owładnęło nim nieprzewyciężone lenistwo. Gapił się bezmyślnie na porozwieszane rozkłady ruchu pociągów, ćmiło mu się w oczach od nazw i cyfr. Stał przed ogromną mapą i błąkał się po wszystkich krajach niemieckich, nie wiedząc, które-
dy ma jechać i dokąd?... Bazyleja... Do Bazylei nie-
bawem pójdzie telegram o jego wyjeździe i oczy-
wiście zatrzymają go. Lindau? To samo.

Wszedł do bufetu, chciwie wychylił wielki kufel piwa, uczyniło mu się trochę raźniej, gdy spostrzegł tuż przy stoliku trzech agentów policji wojskowej. Zapłacił za piwo i zmierzał ku drzwiom, prowadzącym na perony. Nie puszczono go, nie miał biletu. Nie wiedział, gdzie się podziały walizki — mniejsza o to. Stanął w ogonku przy kasie i drzemał, a gdy go naciskano ztyłu, posuwał się naprzód. Gdy stanął wreszcie przed okienkiem, nie wiedział, dokąd ma jechać, zabełkotał coś i wycofał się zmieszany. Ujrzał zdaleka, że jego numerowy z walizkami rozgląda się w tłumie i szuka go. Uciekł przed nim i nie wiedząc już co począć w nieszczęściu, schronił się do budki telefonicznej. Ręce mu drżały, źle trafił, szczelina automatu wymykała mu się z pod palców, żelazne wojenne pieniądze sypały się na ziemię. Wreszcie ujął słuchawkę.

— Czy zastałem pana generała?

— Kto mówi?

— Witam generała, to ja, stęskniony Trothen...

Możebyśmy mogli dzisiaj...

— Servus, panie dyrektorze!.. Dzisiaj? Nie mo-

gę, żadną miarą nie mogę.... Ale jutro? Powiedzmy—
o wpół do ósmej — ma pan wolny wieczór? Bardzo
proszę!

— Tak! Tak! O wpół do ósmej? Będę punk-
tualnie...

VIII.

W barokowym białym pałacyku na Keithstrasse Eva zajmowała apartament złożony z trzech pokojów na pierwszym piętrze. Panią domu, niepokieszoną wdowę trzymała w surowej dyscyplinie, gdyż inaczej bezprzytomne jej uwielbienie nie dałoby Evie ani jednej wolnej chwili. Oduczyła ją od wpadania do niej co chwila, od naiwnie-cynicznych popisów ze swą miłością przy ludziach, od zasypywania jej podarunkami, od scen zazdrości. Eva wymówiła sobie absolutną swobodę aż do obiadu i przeważnie cały ten czas spędzała w samotności. Przystawanie ze sobą samą lubiła niemniej niż życie towarzyskie i wrażenia, czerpane od ludzi.

Dopiero w godzinach samotnych nabierały sensu i znaczenia jej bujne życie światowe, szukanie ciekawych znajomości i pusty salonowy snobizm. Gromadziła fakty, wiadomości, cudze myśli, powikłane stosunki politycznego świata, intrygi, plotki i przerabiała w sobie ten chaos, bawiąc się wówczas nierównie lepiej, niż w roztertowanym gwarze wielkich przyjęć lub na ustronnych rozmowach z wybitnymi osobistościami. Opadał wówczas ze spraw

ludzkich pył powszedniości, odpadały rzeczy puste, nudne i zbędne, a ujawniały się zjawiska z samego rdzenia życia, które składały się na jej wiedzę tajemną, hodowaną pieczołowicie od wielu lat.

Było jej dumą, że nikt jej nie zna do głębi, tej prawdziwej Evy Evard, i nie przypuszcza nawet, co się kryje pod pozorami pustej, rozbawionej, kapryśnej gwiazdy ekranu. Rzeczywistość, którą chłonęła chciwie, obce kraje, mnóstwo ludzi, wśród których się obracała, wypadki i zdarzenia, których była świadkiem, było to wszystko zaledwie surowym materiałem do konstrukcji jej wewnętrznego zatajonego świata. Tam dopiero kryła się istota i cel Evy Evard, jej żywot prawdziwy, zbudowany z fikcji i fantasmagorji, nieposłuszny żadnej logice i żadnym prawom ludzkim. Była to jej żywa baśń o ludziach, o narodach, o całym świecie, o sobie. Żyła w tej baśni od dzieciństwa.

Zaczęło się to w małym osiedlu Maple Creek, zagubionem w krainie Assiniboia na pograniczu ze stanami Montany i Północnej Dakoty, w samym sercu puszczy Kanadyjskiej. Olbrzymie tartaki szły w dzień i w nocy bez przerwy i wytchnienia, jak-gdyby się zawzięły wytępić odwieczne bory. Nie-przerwany jęk mnóstwa pił, wżerających się w drzewo, rozlegał się posępnym chórem i zapadał w duszę jak czyjeś nieutulone wieczne cierpienie. Surowa zima gromadziła nieskończone godziny nocy i zwały śniegu, zza horyzontu, z końca świata, od północnego szczytu ziemi wytryskały po nocach promienne

strzały zorzy polarnej i grały, przesuając się po niebie. Dwa razy w tygodniu przelatywały przez Maple Creek dalekobieżne ekspresy, goniąc na wschód, goniąc na zachód, od oceanu do oceanu. Mała Eva, sierota bez matki, córka drwała, który bywał gościem w domu, koczując w dalekiej puszczy na pograniczu aż za górami Cypress-Hills, marzyła o rojnym, bujnym, ciekawym i strasznym innym świecie między obu oceanami i dalej za Atlantykiem, za Pacyfikiem. Wiedziała niezłomnie i z tem wzrastała, że nastąpi dzień, gdy i ją porwie express Canadian-Pacific i poniesie w bezbrzeżną dal świata ku dziwnym przygodom i losom, aby i ona przeżyła i poznała wszystko, o czem się czyta w gazetach, w powieściach i co się roi w snach.

Teraz, po latach umiała zapanować nad nieodgadnionym chaosem życia i mądrze, przemyślnie żeglowała po jego falującym przestworzu. Nie miała i nie uznawała żadnego celu. Osiągnęła wielką karierę, wcale o to nie zabiegając, tak samo jak przyniosła na świat swoją wielką urodę — snąc tak jej było przeznaczone. Wszystko w jej dziejach samo się stawało, jakgdyby ktoś tajemny opiekował się nią i prowadził ją z ukrycia. Miewała zachcianki, dążenia przelotne, wyjątkowe zaciekawienia, wybuchy namiętności, ale nadewszystko ukochała wolność i spokój, gdyż one jej dawały władzę nad życiem i możliwość wydobycia zeń wszelkiej rozkoszy istnienia.

Dopiero wojna wstrząsnęła nią i wciągnęła ją

w swój wir. I jej dotknęła psychoza bojowa i nienawiść do Niemców, i ona spędziła parę miesięcy na pielęgnowaniu rannych, splacając swój dług niewieści. I ona żyła komunikatami z placu boju, truchlejąc o los Paryża i Francji.

Dopiero po zwycięstwie nad Marną, gdy na jesieni ustaliły się fronty a obie armje zagrzebały się w okopach, odpasała fartuch samarytanki, pozbyła się zawziętości bojowej i nienawiści do Hunnów, znudziły ją fałszowane komunikaty i zakłamana propaganda prasy, znudził ją i anglosaski rodzony Tommy, i umiłowany sojusznicy Poilu, i mistyczny niezwyknięty olbrzym słowiański, narazie systematycznie bity przez Niemców. Rychło pozbyła się sympatyj i antypatyj i w pewnej godzinie wojna rozpostarła się przed nią jak kolosalny ekran, na który ręka przeznaczenia rzucała migotliwe snopy blasków i cieni.

Wspaniałe, porywające obrazy syciły wyobraźnię wielkością i grozą, odbijało się w nich w streszczeniu całe życie narodów, okazywała się moc i niemoc człowieka, jego wielkość i nędza. W tem widowisku Eva dostrzegła niebawem sam rdzeń rzeczy, ukrytą oś, na której obracało się wszystko. Eva nie dała się utopić w powodzi teoryj, doktryn socjologicznych, w przemądrzałych wywodach historjografów, w ogłuszającym hałasie propagandy—widziała jasno i niezbitcie prostą choć trudną do wykrycia prawdę — nagi Absurd Wojny. Było to irracjonalne i bezcelowe dzieło czystej sztuki, obłądne

w swej odwadze zmyślenie literackie, pisane krwią przy purpurowem świetle pożaru świata. Komu przyśnił się ten koszmar?

Eva nie zagłębiała się w metafizyczne dociekania. Swoje zdumiewające odkrycie zachowała dla samej siebie i ujmowała je całkiem poprostu, gdyż niepodobna było poradzić sobie inaczej. Oto rozkosznie wstrząsający kino-obraz wojny począł się i trwał wyłącznie dla niej jednej, aby chłonęła w siebie epokowe widowisko dla własnej wyłącznej uciechy. Odtąd bawiła się jak nigdy w życiu, czuła pełnię swego istnienia, zawsze pilnie i mądrze obserwująca i nienasycona olbrzymiem dziwowiskiem. Dla ludzi miała gdy mówiono o wojnie ubolewania, troski, żale, łzy, sympatje, antypatje — dla siebie tylko rozkoszną ciekawość.

W tem trwała, mijały miesiące i lata wojny. Dopiero kiedyś w trzecim roku widowiska tknęło ją niemile, że na ekranie wydarzeń i katastrof wśród odmętu przewijających się ludzi nie widzi i nigdy nie ujrzy — samej siebie. Ubodło to dumną Evę Eward, gwiazdę filmu. A gdyby dać się wciągnąć w ten rwący potok, który huczy, przewala się i pieni, gdy ona stoi beczynn timer zapatrzona na brzegu? Skoczyć w te wody i niech z nią będzie, co chce? Wy znaleźć sobie rolę i odegrać ją znakomicie? Podjąć jakąś tajemną ważną intrygę? Wyzwać kogoś i zwyciężyć? Spróbować na arenie wojny swoich sił, swej inteligencji, odwagi?

Była zbyt rozumną, by pokusić się o wybitny

udział w wydarzeniach dziejowych i o kartę w historii tej wojny, na to trzeba być ministrem, parlamentarzystą, generałem. Ale są ukryte motory wojny, są knowania tajemne, podziemne, które przygotowują przyszłe wypadki, które wypychają z cienia i wynoszą na wielką widownię coraz to nowych ludzi, a obalają wczorajszych potentatów. Za frontami, w krajach neutralnych i wszędzie po świecie zmagają się ze sobą i mordują się wzajemnie nie gorzej niż w okopach tajemne siły obu stron walczących. W samym ośrodku zamysłów nieprzyjaciela, w sztabach, w ministerstwach, na dworach panujących siedzą jak pasożyty w mózgu ciemne, zdradzieckie postacie, zamaskowane głośnem imieniem, wysokiem stanowiskiem, nieposzlakowanym patriotyzmem i za judaszowe srebrniki, za krocie czy miliony służą wrogiej sprawie. Snują się jak krety pod ziemią armje szpiegów, dokonują nieznanych czynów bohaterskich i niewykrytych zbrodni...

W tych tajemnych misterjach wojny wszędzie przemyka się kobieta, choć o jednej jedynej dopiero wiadomo. Ale nieszczęsna i tak rozgłośna Mata-Hari to tylko podrzędna agentka. A inne? Wielkie awanturnice, arystokratyczne intrygantki, uwodzące i opętujące wodzów, mężów stanu? Te, które obalają gabinety, mianują dygnitarzy, a potajemnie służą ciemnym sprawom — na zgubę ojczyzny...

Eva nie miała ojczyzny. Brytyjskie dominjum Kanada? Imperjum, rozpostarte po całej kuli ziemskiej? Słodka Francja? Słoneczna Italja? Bezbrzeżna

dzika Rosja? Wszędzie było jej dobrze i jednakowo. Niemcy nie odpychały jej niczem, raczej przeciwnie, teraz zaciekały swoją potęgą i twardą wytrzymałością w walce przeciwko całemu światu. Eva nikogo nie zwalczała i nikomu nie sprzyjała, nie chciała nikomu pomagać ani szkodzić, poprostu chciało jej się wystąpić na scenie, wziąć udział w wielkiem przedstawieniu.

Zaczęła jeszcze w Paryżu. Podjęła się pewnej misji w Szwajcarii, załatwiła ważne dla Francji drobiazgi w Genewie, ale już w Bernie z powodu spraw paszportowych zetknęła się z ambasadą niemiecką. Sam ambasador zainteresował się jej podróżą i przyjmował ją z wielkimi honorami. Nie ukrywała przed nim tego, co wiedziała o kłopotach i zamiarach koalicji, podawała źródła informacji. Usłyszawszy poczet wielkich imion, rzucanych odniechęcenia, jak się mówi o dobrych przyjaciółach, ambasador był zachwycony, niemal zakochany. Rozmawiali ze sobą parokrotnie po kilka godzin. Eva w poczuciu swej swobody osobistej i formalnej neutralności — przez przelotne małżeństwo została obywatelką norweską — nie widziała w tych konferencjach nic niestosownego. Wydało jej się zabawne przestawianie poufne z oficjalnym przedstawicielem strasznych Hunnów, no i bardzo interesujące. Ale zaplątała się nieco w obcych stosunkach i zapewne dała się do pewnego stopnia wyzyskać. Ambasada berneńska torowała jej drogi i w Berlinie przyjmowano ją po królewsku.

Tam już czekał na nią dawny wielbiciel, podpułkownik von Sittenfeld, awansowany w ciągu tych czterech lat na generała i zajmujący obecnie potężne, owiane grozą stanowisko szefa centralnego kontrwywiadu. Eva igrała z tą potęgą i grozą jak kot z myszą, nie dopuszczając do odnowienia przedwojennego romansu, zresztą była z nim po przyjacielsku, i odniechceni, po mistrzowsku, nigdy o nic nie pytając bezpośrednio, wyciągała od niego rozmaite urzędowe niedyskrecje a wzamian nie ukrywała różnych koalicyjnych rozmaitości, na które był łapczywy. Bawiła się tem doskonale. Ale gdy uznała, że nadszedł czas wystąpić czynnie w wielkim stylu i skolei ujrzeć samą siebie na niezmiernym ekranie wojny — potknęła się fatalnie.

Odczuła tę porażkę całą swoją dumą, mordował ją wstyd zjadliwy, najtajemniejszy, wysilała się nad pomysłami, jak się odegrać, wreszcie knuła srogą zemstę nad człowiekiem, który poważyl się z niej zdrwić. Ale po kilku ciężkich dniach nastąpił w niej gwałtowny zwrot. Znikło ponizenie przegranej, zmały jej wielkie plany, osłabła i ustała żądza odwetu, zapomniana została sama wojna. Turkusowe promienne oczy Ewy zapatrzone były w inne światy, a na ustach coraz częściej wykwił i zastygał na długo uśmiech upojenia.

— Evo, wybacz, że ośmielam się wejść w tych godzinach... Ale znów przyszedł... ten i zanic nie chce odejść...

— Generał?! Powiedz mu, że jeżeli jeszcze raz...

— Ależ nie! Znowu ten obrzydliwy chłopak. Zachowuje się jak skończony cham. Wszedł do salonu w swojej futrzanej czapie, z papierosem. Mówił ze mną jakbym była jego służącą. Powiedział, że nie pójdzie i już. Opałek papierosa rzucił na dywan, siadł i siedzi. W czapce! Ja się boję...

Eva roześmiała się radośnie, srebrzyście.

— Nie bój się, Lisbeth, każ mu tu przyjść.

— Ależ on jest niemożliwy!

— Już ja go doprowadzę do porządku.

— Ale poco ci ten bolszewik?

— To już moja rzecz, Lis. Zaciekawił mnie. Opowiada tak zajmująco o rewolucji...

— Jak chcesz.... Ale gdyby zaczął wyprawiać coś takiego, dzwoni natychmiast, będę trzymała w pogotowiu szofera i dozorcę — on taki duży, taki mocny! Prawdziwy zbój...

— Nie obawiaj się...

Eva zerwała się z leżaka, stanęła przed swoim wielkim, potrójnym składanym lustrem, które zawsze wozila ze sobą dla studjowania nowych ról, poprawiła włosy, uśmiechnęła się do siebie, rozchyliła nieco na piersiach błękitną bluzę domową, urwała z wazonu kremową różę i wpięła ją we włosy nad skronią.

— Witaj, mości książę...

— Pani od razu na wstępie wita mnie przykrością — proszę ze mną bez żadnych księciów!

— No dobrze, niech pan siada. Jak się pan bawi w Berlinie?

— Nie przyjechałem na zabawy.

— A cóż pan robi po całych dniach?

— Badam stosunki.

— I cóż pan zbadał?

— Jeszcze niewiele, tyle, że proletarjat niemiecki jest do gruntu przeżarty socjaldemokratycznym drobnomieszczaństwem, nawet ci osławieni Niezależni. Trzeba liczyć tylko na żołnierzy, a zwłaszcza na marynarzy. Wybieram się na początek do Hamburga i do Kiel, gdzie istnieją jakie takie ośrodki rewolucyjne.

— Tylko niech się pan nie da złapać, z Niemcami niema żartów!

— I ze mną niema żartów, bo ja się przed niczem nie cofnę. Będę im wysadzał pancerniki.

— Nie zdąży im pan niczego wysadzić, rozstrzelają pana i tyle. Szkoda takiego pięknego chłopca.

— Niech mnie rozstrzelają, już ja im zostawię we flocie „jaczejki“, a każda nasza jaczejka to nabój dynamitowy.

— I pan tak każdemu opowiada o swoich zamiarach? Nawet pan nie dojedzie do Kiel. Z pana bardzo śmieszne dziecko.

— Mówię o tem tylko przed panią, a pani mnie nie zdradzi.

— Dlaczego?

— Bo Niemcy pani nic nie obchodzą, a ja się pani zanadto podobam.

Eva rozszalała się kaskadami swego najpiękniejszego śmiechu. Książ Uchmatów nawet się nie uśmiechnął, patrzył na nią ponuro, spodełba, po swojemu. Już żałował głupstwa, które powiedział, ale gdy to mu się wyrwało, nadrabiał bezczelnością. Zupełnie nie tak chciał z nią zacząć, ale ta wspaniała Eva Eward onieśmiałała go, a od natarczywego patrzenia jej zielonkawo-błękitnych oczu mieszało mu się w głowie. Wściekał się, że tu przyszedł. Ośmieszył się i nie umiał z tego wybrnąć, już wyczuwał, że z nienawiści do samego siebie zbudzi się wnet znajomy czort i poniesie go. Teraz już sam nie wiedział, na czym się to skończy. Jeżeli ta piekielnica natychmiast nie przestanie się śmiać, wstanie i bez jednego słowa pójdzie precz. Oczywiście noga jego nie postanie tu więcej. Eva jakby czytała w jego myślach, przestała w tej samej chwili, spoważniała i spytała dziwnie serdecznie:

— Dlaczego pan taki zły?

— Nie jestem zły, jestem głupi. Naprzykład, dlaczego powiedziałem, że ja się pani podobam? Chciałem żartować, ale widać zupełnie zapomniałem żartów, bo się nie udało. Nie mam zamiaru z panią flirtować, bo nigdy nie zważam na kobiety. Kobieta to tylko strata czasu i przeszkoda dla człowieka czynu. Kobieta — to opjum dla rewolucjonisty — usypia wolę i wyžera z mózgu wszelkie idee. Zawsze miałem tylko pogardę dla głupstw miłosnych.

— Tak? I to już nazawsze?

— Nazawsze, ja mam wytknięty program na całe życie.

— Jaki pan śmieszny!

— To pani mnie ogłupiła, bo ja jestem zupełnie inny. Kiedy tu wszedłem, odrazu... Jak tu powiedzieć... Jednym słowem... Możebyśmy lepiej mówili po angielsku? Po francusku? Jeżeli pani umie? Bo, jak pani widzi, jakoś mi całkiem nie idzie...

Uderzył pięścią w złożony stoliczek, przy którym siedział. Spadła tanagryjska figurynka zakwefionej kapłanki i rozbiła się. W irytacji splunął aż na środek saloniku i zaklął rdzennie po rosyjsku, słowami, które właśnie przed paru miesiącami zostały pod karą więzienia zakazane specjalnym dekretem Centralnego Ispołkomu.

— Panie Uchmatow, pan ma przy sobie chustkę do nosa?

— Proletarjusz dzięki nędzy i ciemnocie często nie miewa chustki do nosa, ale ja przypadkowo mam. Naco ona pani potrzebna?

— Niech pan natychmiast zetrze to miejsce! A jak nie — pójdzie pan zaraz za drzwi!

Bolszewicki kniaź nie wytrzymał nakazującego spojrzenia Ewy Eward, znanego na całej kuli ziemskiej. Uginali się pod niem egzotyczni monarchowie („Tron za Miłość“), zakamieniali bandyci nowojorscy („Zemsta Parkera Kose Oko“), nawet dzikie zwierzęta, wąż boa i lampart w „Kapłance Shivy“.

— Cóż, mogę to zetrzeć... Za drzwi? Mogę i za drzwi...

Wstał posłusznie, pochylił się i zupełnie dokładnie startł swoją nieprzyzwoitość.

— Dlaczego pan udaje i gra przede mną jakieś komedje? Niech pan będzie sobą...

— Sobą? Od roku tępię w sobie moją kniaziewską przeszłość, pańskie nawyczki, głupie maniere, grzeczne słowa, tę całą obłudę, którą wyniosłem z domu rodzicielskiego. Ale to jeszcze głupstwo. Trudniej wyżyłować ze siebie jad arystokratycznej tak zwanej kultury — naprzykład głupi przesąd jakiegoś honoru. Albo średniowieczne pojęcia o czci dla kontrrewolucyjnych rodziców. Czy pani wie, że kiedy wyprowadzano na rozstrzelanie mojego ojca nie mogłem się opanować, i odwróciłem się, żeby nie patrzeć? Słyszę, mówi ojciec: — Żegnaj, Serge, mój jedyny synu. W ostatniej mojej godzinie zdejmuję z ciebie ojcowskie przekleństwo, żyj, jeżeli zdołasz... I czy pani sobie wyobrazi, że słysząc to, potajemnie uczułem ulgę, że nie ciąży już nade mną ojcowskie przekleństwo?

— A cóż się stało z ojcem?!

— Oczywiście, zaraz go rozstrzelali. To był uporczywy białogwardzista, generał lejtenant świty Jego Cesarskiej Mości.

— Ależ pan jest straszny człowiek! Potwór! Ile pan ma lat?

— Za miesiąc skończę dziewiętnaście lat — ale w ciągu tego roku przeżyłem conajmniej ze dwa-

dzieścia. Pani mówi — potwór... Terminologia burżuazyjna — my bolszewicy nie znamy sentymentów, mamy na głowie większe kłopoty, niż płakać po rozstrzelanych wrogach, choćby to był rodzony ojciec.

— A co się dzieje z pańską matką?

— Matkę i starszego brata zamordowali chłopci przy generalnym pogromie szlacheckiego obszarnictwa.

— I cóż pan na to?

— Nic, rzecz jest w porządku. Chłop zabiera ziemię, która mu się należała od całych stuleci, a obszarnika-gnębiciela likwiduje się przytem jako klasę już zbędną gospodarczo i socjalnie.

— Więc zamordowano panu rodziców, brata i zabrano cały majątek rodowy, zapewne duży?

— Dwadzieścia folwarków nad Wołgą i na Ukrainie, trzy cukrownie, pięć domów w Piotrogradzie i pałac w Moskwie, no i kapitały, akcje i tym podobne papiery. W Berlinie w banku ojciec złożył kiedyś w depozycie na wszelki wypadek około pół miliona marek, teraz towarzysz Joffe, nasz poseł, z trudem wydobywa te pieniądze, formalnie dla mnie, jako dla jedyne go spadkobiercy i ja je pokwituję, ale ta suma jest zgóry przeznaczona na rewolucję w Niemczech i właściwie tylko poto mnie tu sprowadzono.

— I panu nie żal tych pieniędzy?

— Nie uznaję prywatnej własności, zresztą pieniądze mi są zupełnie niepotrzebne.

— Pominąwszy inne rzeczy, tudzież rozkosze życia i zbytek, one dają człowiekowi niezależność, swobodę.

— Mnie nie trzeba żadnej indywidualistycznej swobody, a robotnik rewolucji musi być w ciągłej zależności od masy, inaczej cierpi na tem zrzeszona praca.

— Cóż pan robi w tych pracach rewolucji? W pańskim wieku trzeba się jeszcze uczyć.

— Nie czas na naukę, trzeba naprzód umocnić władzę sowietów i obronić ją od mnóstwa wrogów wewnętrznych, no i od rządów kapitalistycznych całego świata. Pracowałem dotąd na odcinku kontrrewolucji...

— Ale pan chyba nie mordował ludzi.

— Mordować, nie mordowałem, ale owszem, w sądach ludowych nieraz skazywałem białogwardzistów. Nieraz też wykonywałem wyroki śmierci.

— Jakto? Pan, własną ręką?!

— Dlaczegożby nie? Wszak to tylko normalna funkcja samoobrony rewolucji. Jedni pracują w oświacie, w propagandzie, w opiece nad dzieckiem robotniczym, inni w odrodzeniu moralnem proletariatu, reszta służy na różnych stanowiskach państwowych, a ja obrałem sobie odcinek naszej Nadzwyczajnej Komisji, tak zwanej u nas Cze-Ka, bo w niej jest jedyna obrona rewolucji i osłona wszystkich jej prac i zamiarów.

— Pan żartuje, pan nie mógł własną swoją ręką...

— Ależ tak! I to nie raz, może nawet dużo więcej niż sto razy, ktoby zliczył... Z początku, przyznam, było mi trudno, przeszkadzały nerwy, różne przesady... Ale postanowiłem się przezwyciężyć. Teraz egzekucje nie sprawiają na mnie wrażenia, strzelam we łby, jak automat.

— Ależ pan jest wstrętny! Pan się lubuje we krwi, w morderstwach, jak sadysta!

— Co do tego, myli się pani, nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

— Ale się w panu dusza nie wzdryga na te rzeczy i to jest okropne!

— Dusza... Pani jeszcze wierzy w tak zwaną duszę — w tę iskrę boskości w człowieku, nieomylną i nieśmiertelną? We mnie jedyna dusza to moja rewolucyjna świadomość. Od zeszłorocznej rewolucji październikowej powstała nowa proletarijska etyka...

— Nienawidzę pańskiej etyki i mam już dość tych moskiewskich okropności. Proszę sobie iść, zegniam... Brzydzą się panem.

W końcu kwietnia generał von Sittenfeld czytał następujący raport:

— Wydział służbowy N. 6, sekcji C., agentura B. B., agent raportujący odpowiedzialny H. I. M. 139.

— Za ubiegły tydzień 20 — 27 kwietnia ustalono: Eva Evard przyjmuje codziennie odwiedziny członka legacji sowieckiej, księcia Sergieja Uchmatowa, młodego człowieka wysokiego wzrostu, uro-

dziwego, w wieku lat około dwudziestu. Odwiedziny rozpoczynają się około 8-ej i trwają do północy. Nazajutrz po rozpoczęciu obserwacji E. E. przeniosła się z domu wdowy po pułkowniku, baronowej Steth von Schulzburg, Keithstrasse 8 do „Hotel Windsor“, Behrenstr. 64/65, gdzie zajęła apartament Nr. 43, złożony z dwóch pokojów z alkową i łazienką. W dniach 23, 25, 26 kwietnia wyżej wymieniony U. spędził z E. E. całą noc aż do godziny 10 — 11 rano. W godzinach poobiednich od godz. 5 — 7 E. E. przyjmowała następujących gości: dnia 21-go — redaktora Max Edelinga od 5.10—6.25, posła Noodta, 6.00 — 6.45, kapitana lotnika o nieustalonym nazwisku, szczupły, niski brunet o kulach. Dnia 22-go wyszła z domu o godzinie 10 rano, była w biurach „Mundus-Filmu“ do godz. 11-ej. Wstąpiła do dwóch sklepów na Unter den Linden i tamże do księgarni, gdzie zakupiła rozkład pociągów. W magazynie konfekcji męskiej Braci Martens dwie jedwabne pyjamy...

Dalej generał nie mógł czytać.

IX

Strach...

Wypełzał niewiadomo skąd i snuł się po świecie jak subtelny, niedostrzegalny gaz, szerzył niepokój, budził widma nadchodzącego nieszczęścia. Każde jutro stawało się niepewne. Co rano gorączkowo przerzucano szeleszczące płachty i szukano w dziennikach złej nowiny. Oczekiwali jej wszyscy, wszędzie. Tajemniczy strach nie zna granic, frontów, narodów, przebiega ziemię jak wichur. Nie zna prawych ani grzesznych, przyjaciół ani wrogów.

Nikt mu się nie oprze, każdy go odczuje po swojemu. Krąży wśród znękaney rzeszy ludzkiej w pogłoskach, w legendach, w potwornych plotkach. Nikt im nie daje wiary, ale każdy chwytą je chciwie i niesie dalej. Nikt im nie zaufa, ale już dawno zatraciły się miary, któremi dzielono prawdę od złudny. Ten czas był jak przyśniony, świat uczynił się fantastyczny, któż mógł osądzić co było możliwe, co niemożliwe? Więc i najgrubsza plotka-pleciuga miała swoje znaczenie, po niedługiej rozwadze odrzucał ją człowiek rozumny, ale już się o nią otarł, pomyślałszy nad głupstwem bodaj przez jedną

chwile, już skaził wyobraźnię. Opowieści szalone, nowiny niesłychane trzymały się mocno, uporczywie w nizinach społecznych, w najciężej udręczonej masie. Mimo absurdu swego żyły one, a przechodząc z ust do ust obrastały w szczegóły, w imiona, w daty, przetwarzaly się w dokumenty i biegły dalej. Były krzyczącym fałszem, a jednak nawet w swoim spotworniałym wyrazie niosły one drobny okruch jakiejś dalekiej strasznej prawdy o sprawach wojny, tajonych rozmyślnie przez mocnych tego świata. Nieufność, podejrzenie, posąd zapuściły korzenie głęboko. Wszystko jest nie tak, jak piszą po gazetach! Kłamią komunikaty — lżą po dwa razy na dzień!

Rządy wojskowe, cenzura wojskowa płodziły substrat prawdy — wieści szeptane, dziwolągi. One to z ciepłem i słońcem tej nowej wiosny rozpleniły się bujnie, zachłannie, jakgdyby w nich ożył i wschodził tajemny posiew wszystkich czterech lat wojny. Nigdy w te lata nie brakowało bajek, pogłosek, słuchów — ale teraz...

Ruszyła do ataku propaganda oficjalna. Wojskowe biura informacyjne, agencje prasowe urzędowe, półurzędowe gazety zaczęły olbrzymią kampanję kłamstw dla otuchy i podniesienia struchlałych serc. Zwalczano panikę wypróbowanym argumentem, przerzucając winę za demoralizujące pogłoski na intrygi i podszepty nieprzyjaciela i jego tajnych agentur. Szerzono fantastyczne wieści o stratach i klęskach strony przeciwnej, o głodzie, nędzy, o upadku ducha, o masowych strajkach, o buntach

w armji, o rewolucjach. Po tamtej stronie czyniono to samo, ale i tu i tam zawodziły już stare sposoby, albowiem wypełniły się czasy i przebrała się miara cierpienia i cierpliwości. Wszystko trwało jeszcze w poddaniu i w posłuszeństwie, ale w głębi już buntowały się dusze.

Strach przed jutrem przenikał przez szczelnie zawarte i strzeżone drzwi wspaniałych gmachów i wciskał się do tajemnych gabinetów, gdzie panowali władcy narodów, monarchowie, rządy, naczelni wodzowie. Nie było wyżyny, którejby nie osiągnął.

Tuż przed końcem nadchodziła godzina porachunku i czekał straszny sąd. I tam na szczytach czaiła się panika, a gdy rozszaleje się i pewnego dnia wybuchnie, któż będzie rządzić wojną? Kto ją doprowadzi do końca? Kto utrzyma na wodzy wzburzone masy, kto zatrzyma żołnierza w okopach? Widmo Rosji, płonącej straszliwym pożarem, nękało wyobraźnię, rzucało popłoch. Purpurowa łuna dalekiej rewolucji świeciła w oczy władcom Europy i zatruwała ich nocę. Uginali się ludzie mocni pod ciężarem władzy, siwieli, starzeli się, jakgdyby te dni liczyły się za lata, znikali z powierzchni coraz to inni mężowie stanu, zdmuchnięci przez mroźny pęd wiejący od straszego jutra. Na ich miejsce, przez intrygę, przez protekcję, przez przypadek stawali nowi ludzie, mądrzy lub niemądrzy, mocni lub słabi, wreszcie żadni i porali się z chaosem, niebaczni na to, że oni, ludzie końca będą sądzeni suro-

wiej niż ci z przed czterech lat, którzy zaczynali wojnę.

Strach...

Rozpętana burza trwała wciąż, szalała i nie dawała się ani przeczekać, ani poskromić żadnym wysiłkiem woli lub mądrości. Gdy nie może trwać wiecznie, rozumowano pod przymusem logiki, że wreszcie i ona musi się przesilić i ustać. Wówczas ogarniała zgroza na myśl, jak będzie wyglądał świat, gdy po koszmarach tej cztery lata trwającej nocy dziejowej z poza chmur wyjrzy słońce i okaże całą prawdę nowego dnia.

Stały jeszcze murem linje frontów, pod naporem jednej lub drugiej strony wyginały się w fantastyczne skręty, wydłużały się, skracały się, pękały na chwilę, ale wnet tysiące i tysiące trupów zamykały rozwartą szczerbę. Tak było zawsze, ale o tej porze zużyte już były dawno i pogrzebane w ziemi najcenniejsze siły narodów, to co przetrwało w okopach było wysilone ponad ludzką miarę, przerzedzone przez śmierć, przez rany i trudy. Gdzieś na tyłach stały ostatnie, już doprawdy ostatnie rezerwy, a gdy i one skolei pójdą w ogień i za tym razem również nie sprawią przełomu i nie dadzą walnego zwycięstwa — nie zostanie już nic w odwodzie, by podjąć walkę.

Zbliżał się koniec.

Obwieszczał się w znękanych duszach złowrogiem przecuciem jakiegoś ostatecznego nieszczęścia. Po obu stronach żołnierz stał pod bronią w tępem

posłuszeństwie, bez zapału, gotów iść w ogień i zginąć, a gdy mu mówiono o zwycięstwie milczał a w duszy drwił — za długo na nie czekał...

— Pójdę i spełnię obowiązek aż do końca i cóż poradzę, gdy przyjdą Amerykanie i stanę jeden przeciwko pięciu? Co pocznę, gdy w okopy wjadą zięjące ogniem stalowe maszyny, których się nie ima kula ani granat? Tak myślał o tej porze Niemiec.

— Pójdę i spełnię obowiązek aż do końca i cóż poradzę, gdy Niemcy puszcza na nas gaz, na który niema obrony i ratunku? Tak mówił Francuz, Anglik.

Niemców opętał strach przed amerykańską armją, która z niepodobieństwa, z absurdu, z „humbugu“, z „bluffu“ stała się miljonową nawałą i już lądowała we wszystkich portach Francji. W gorączkowym panicznym pośpiechu zbierano resztę sił, by rzucić wszystko na jedną kartę i uderzyć, zanim nadążą tamci. Zawrzała walka o każdy dzień, o każdą godzinę — śmiertelne ściganie się z czasem.

Koalicję przerażało niewiadome, ogarniał lęk przed zaskoczeniem, przed jakąś potworną niespodzianką, którą nieprzyjaciel zachowuje na sam koniec. Obiegały pogłoski o nowo odkrytych przez potentatów wiedzy niemieckiej śmiertelnych, dalekosiężnych promieniach... O bakterjach cholery, tyfusu, dżumy, które w swoim położeniu bez wyjścia, w beznadziejnym osaczeniu Niemcy odważą się cisnąć na armje i na kraje wroga. O nowych, nieprzypuszczalnych maszynach wojennych, które tak samo jak

działa bombardujące Paryż tały się aż dotychczas w cyklopowych kuźniach Kruppa. Wreszcie o najnowszym gazie odkrytym już dawno, lecz zachowanym na sam koniec przez wyrzutka ludzkości, złowrogiego profesora Wagera z Ludwigshafen nad Renem. Opisywano jego straszliwe nieodparte działanie, odgadywano jego skład chemiczny. Dawano mu nawet nazwę — Podwójny Żółty Krzyż.

X

W biurach II-go Oddziału w gmachu Ministerstwa Wojny na ulicy St. Dominique nie rządził już generał Dubreuil. Zasłużony szef wywiadu, który wykrył niejeden spisek nieprzyjaciela przeciwko sile zbrojnej Francji i przeprowadził do pomyślnego końca—do gilotyny lub rozstrzelania—wielkie afery szpiegowskie, znaczone imionami Duval, Bolo-Pacha, Monnier, Turmel, Mata-Hari, Lenoir-Dessouches, Almereyda, nie licząc drobniejszych, padł ofiarą przepracowania i rażony częściowym udarem odpoczywał bez mowy i ruchu w głębokim fotelu. Tak zakończywszy swój zawód życiowy, rozmyślał nad dziejami tej wojny, nad jej tajemnicami i zagadkami.

Podpułkownik d'Arland też opuścił Wielką Kwaterę Główną, poszedł na front i zdążył już zginąć na polu chwały w osłonie Amiens w ostatnim dniu ofensywy, idąc do kontrataku tak jak sobie tego życzył na czele bataljonu strzelców pieszych.

Ich miejsce, ich funkcje objęli inni ludzie, wprowadzili swoje porządki, swoje metody pracy. Van Trothen i Abegglen spostrzegli to w dalekim odciętych od Francji Berlinie znacznie wcześniej niż

dowiedzieli się o zmianach personalnych w II-im Oddziale. Co kilka dni przybywali kurjerzy lub tajna poczta graniczna, zorganizowana w Bazylei. Instrukcje i ponaglenia doganianie były przez instrukcje uzupełniające i przez nowe powtórne ponaglenia.

— To się nazywa ruch w interesie! W ministerstwie grasuje jakaś ostra psychoza gazowa. Nie dalej jak przed miesiącem posłaliśmy im kategoryczne zapewnienie, że w gazach niema nic nowego i nie zanoszą się na nic, a tu masz... Oni ze swojego Paryża lepiej wiedzą.

— To nerwy. Napędzili im Niemcy strachu swoim „Ferngeschützem“ i teraz wciąż oczekują czegoś niesłychanego. Skąd my im weźmiemy nową sensację?

— Niechno kochany szef posłucha co oni tu wypisują. — Abegglen czytał świeżo odcyfrowany rozkaz, który przyszedł ostatnią pocztą:

— Ponawia się po raz drugi rozkaz z dnia 5 kwietnia za Nr. 173B. Zażądać od C.K.N. 123 za wszelką cenę niezwłocznego zbadania lub wykradzenia poufnych papierów W. i wydobycia ścisłej formuły nowej substancji, a nadewszystko i jaknajszybciej modelu i opisu odnośnej maski i innych środków ochronnych oraz systemu antyreakcji i neutralizacji stref nagazowanych, tudzież zabiegów ratowniczych i leczniczych dla zakażonych. Nieudolność i niedbalstwo C.K.N. 123 jest oczywiste. Istnieją dane bezsporne, że nowa substancja już została poleconą i oddaną do produkcji fabrycznej,

a mianowicie w pierwszej linji w Höchst. CKN 123 ma zażądać pod jakimkolwiek pozorami odkomenderowania do tych zakładów dla przeprowadzenia wywiadu, jeżeli jego rzekome najbliższe i poufne stosunki z W. nie pozwoliły osiągnąć bezpośrednio informacji co do odkrycia tej doniosłości.

— Co kochany szef powie względem tego osobliwego dokumentu? Wpierają w starego Wagera nowe odkrycie jak w chorego jajko. Cóż zrobi nasz nieszczęśliwy Helm, jeżeli profesor nic takiego nie zechciał dokonać? Sam ma za niego wykombinować ten nowy gaz?

— Już ja im odpiszę. Co się stało naszemu staremu? Wypomina, naprzykład, żeśmy przeoczyli „grubą Bertę“, którą rzekomo studjowano i budowano u Kruppa w ciągu dwóch lat. W Essen straciliśmy pięciu dobrych agentów, w tem dwóch inżynierów. Robiło się co się mogło, do diabła, nie jesteśmy czarownikami...

— Niech im kochany szef napisze, żeby poszukali w archiwum generała Donaldsona. Jest tam raport naszej „Szelmy“ bodaj z przed roku o próbnem strzelaniu na 120 kilometrów na morzu. Działo się to, jak powiada, w Altenwalde, między Cuxhaven i Bremerhaven, ale angielscy rzeczoznawcy z pewnością uznali to za bujdy.

Dyrektor Mundus-Filmu zabierał się właśnie do zdjęć w terenie, wiosna tego roku zbudziła się wcześniej. Niebawem zazielenią się w okolicach Ber-

lina prastare legendarne bory Nibelungów z zaczarowanymi źródłami i krwawy Las Argoński z roku 1914-go. W niedalekiem Buckow, w tak zwanej Marchijskiej Szwajcarii, znajdzie się dość wzgórz, lasów i wód dla „Bogów Germanji“ z ich podwójną akcją mitologiczno-współczesną. Najgorsze było, że partner Ewy Eward, słynny aktor Hjalmar Butzke, (bohaterski kapitan Hofacker a zarazem Wotan), był zmobilizowany przez szalejącego z zazdrości generała Sittennfelda i wypchnięty z Berlina do Belgji, skąd jako urzędnik okupacyjny pisał na wszystkie strony rozpaczliwe listy, błagając o wyzwolenie. Van Trothen, wiedząc, że generał zdążył się już przekonać o kogo właściwie powinien być zazdrosnym, prosił o poparcie w sprawie zurlopowania aktora na czas zdjęć i uzyskał odnośne przyrzeczenie, ale rzecz utknęła w labiryncie wojskowych instancji i kompetencji.

Ewa rozmawiała ze swoim dyrektorem o wznowieniu pracy nad „Bogami Germanji“ odniechęceni, z dziwną obojętnością, jakby to jej nie dotyczyło bezpośrednio. Przeważnie była nieprzytomna, zachowywała się jak obudzona ze snu. Zdawała się zapomnieć naszczętnie nie tylko o epokowym superfilmie, ale i o swoich fantastycznych zamierzeniach odegrania wielkiej roli w jakiejś intrydze wojennej. Ani wzmianki o niefortunnych planach minionej ofensywy...

Była opętana pierwszą prawdziwą miłością swego życia, wśród wielu bujnych przygód i unie-

sień nie zaznała jeszcze nic podobnego. To szczęście było w niej niezniszczalne i wieczne. Utonęła w swoim szczęściu, znikł cały świat, nie miała pewności, gdzie jest i kiedy się to dzieje, nie było żadnej wojny... O tem co ją otaczało miała wiedzenie jakieś lunatyczne. Ach, zaprawdę, tego jeszcze nie było...

Zabrał ją całą, opanował i związał ze sobą na życie i śmierć jej precudny dziewiczy chłopak, który przed nią nie zaznał był kobiety. Jej pan i władca, łaskawy, dobry i wspaniały, potężny jak młodzieńczy bóg... Dziecko urocze, w głębi serca nie winne nawet tej krwi, którą w nieświadomości przelało... Straszliwy demon rewolucji, burzyciel świata, okrutnik, od którego wieje zgroza... Tchnął egzotyzmem Wschodu, wieczystą tyranją Rosji, która czy carską czy bolszewicką, zawsze jest przerażająco ta sama... Człowiek pierwotny, niepohamowany brutal, zarazem najwytworniejszy dżentelmen, arystokrata — z dziada pradziada książę. Lubiła go nazywać „kniaziem“, co w jej angielsko-francusko-niemieckiej wymowie brzmiało — „Khness“.

Niepodobna go poznać do głębi, jest pełen niespodzianek. To dla niej czuły i najmiłszy, naiwnie dziecięcy, jak syn wobec matki, to wyniosły i drwiący, ma ją za nic, ciska jej prosto w oczy zniewagi najdotkliwsze i zapowiada, że pójdzie sobie, bo ma jej dosyć. Spowiada się przed nią, oskarża się i płacze, błaga, żeby go nie opuszczała, bo on nie ma nikogo na świecie. Szalony w rozpasaniu, niewy-

czerpany w furji miłosnej, zapada nagle w zniechęcenie, nie da się tknąć i mówi poprostu — niecierpię tego wszystkiego, brzydzę się tobą. Każe jej opowiadać o sobie, wypytuje, dręczy, nie da nic utaić, a gdy już wie wszystko wścieka się z zazdrości o dawne sprawy, poniewiera nią—co za rozkoszny ból — nawet bije, ćwiczy rzemieniem. Sinemi pręgami porysowane są jej ramiona, plecy, piersi, nogi, od stóp do głów całe ciało, które znało tylko pocałunki i pieszczoty, nieskazitelne, niewysłowione, podziwiane przez wszystkie narody ziemi, ciało Ewy Evard...

Snuli wielkie plany. Jak tylko załatwioną będzie sprawa spadku po ojcu (mniejsza o rewolucję w Niemczech — niech ją sobie robią sami) — pojedą do Rosji. Tam on będzie robił swoje, a ona swoim talentem i sławą też będzie służyła rewolucji. Stworzy nową epokową sztukę, film proletarjacki, który, na całej kuli ziemskiej szerzyć będzie hasła sowietów, okaże światu walki, prace i zdobycze nowego ustroju społecznego. Eva znajdzie w Rosji utalentowanych pisarzy, aktorów, reżyserów, niewyczerpany odmet nieznanymi tematami, motywy szczytnego tragizmu, powikłań psychicznych, problemy, jakich jeszcze nie zaznał stary świat. Rząd Sowietów da jej wszelką pomoc i poparcie, złoży w jej ręce niewyczerpane środki finansowe dla wielkopomnego dzieła. Dla swego piękna i kunsztu i dla Ewy Evard rewolucyjne filmy rosyjskie będą rozrywane przez kraje burżuazyjne, pomimo groź-

nych tematów i haseł, a tym sposobem prawda sowiecka będzie się szerzyła, będzie przenikała wszędzie.

Sèrge Uchmatow, jej ukochany „Khness“ wprowadził ją w otchłanny świat przewrotu społecznego, dopiero przez niego zdobyła prawdziwe pojęcie o tem, co się działo w Rosji. Aż dotąd karmiła się okropnościami z gazet i z opowieści emigrantów rosyjskich, spotykanych w Paryżu, w Genewie, w Berlinie. Krew, zniszczenie, terror, „zaplombowany wagon“, nikczemna zdrada koalicji, haniebny pokój Brzeski—absurd, obłąd, chaos. Nie wiedziała nic więcej. Teraz zajrzała wgląd przepaści rosyjskiej i przez opary krwi, przez zamęt i czad pożarów, jak na dnie krateru dostrzegła zawrotnie olbrzymi cel, dla którego się to wszystko dzieje. Sprawiedliwość społeczna... Ucisk złotego cielca, kapitału... Nemezis dziejów... Świetlane jutro ludzkości...

Poznała fałsz świata, w którym osiągnęła sławę i bogactwo. I ona, wolna artystka, którą talent wyniósł na szczyty kultury, miała też swój udział w nieludzkiej wiekowej krzywdzie ludu pracującego. Dowiedziała się, że jest sojuszniczką kapitału i żyje krwią i potem uciemiężonej masy. Stała w jej oczach ojciec drwał, sterany pracą w lasach, zawsze milczący, zmordowany ciężkiem życiem, gdzie ledwie starczało na chleb.

Przypomniała sobie wielki strajk, gdy na szereg dni zamilkły jęczące piły tartaków a z borów, z gór, zza jezior, aż od dalekiej rzeki Saskaczewanu do

Maple Creek ściągnęły tłumy zbuntowanych drwali. Umknęli dyrektorzy, urzędnicy, inżynierowie, przez cały tydzień płonęły kolosalne składowiska surowego drzewa i gotowych desek, aż pewnego dnia przyjechały pociągi z milicją i oddziały siepaczy z prywatnej policji Pinkertona, a za nimi zbieranina bezrobotnych nędzarzy z dalekich stron, horda łami-strajków — „Żółtych“. Salwy karabinowe milicji, Smith-Wessony, Kołty i pałki gumowe szpiclów Pinkertona szybko uśmierzyły bezładny rozruch. Pamięta, jak gwizdały kule — dużo trupów, rannych. Mnóstwo ludzi zakutych w kajdany wywieziono kolejną na sądy, na długie lata więzienia. Na tem się skończyło.

Teraz dopiero — w dwadzieścia lat później — jak się to mówi w napisach filmowych, drgnęło w piersi i odezwało się proletarjackie serce Ewy Eward, córki kanadyjskiego drwala. Porwała ją rewolucja.

Opowieści ukochanego kniazia, świadka i uczestnika tragedji rosyjskiej, olśniły jej wyobraźnię. Toż jest widowisko, godne, by zatracić się w niem i zapomnieć o wszystkim innem! Czem że jest ta cała wojna światowa w obliczu straszliwości i powagi rewolucji w Rosji? Kapitalistyczna, imperjalistyczna masowa fabrykacja trupów — mordownia o supremację gospodarczą, o naftę, o rudę, o rynki. Kolosalne szachrajstwo pieniądza, osłonięte świętymi frazesami o honorze ojczyzny, o wolności ludów, o prawdzie, o sprawiedliwości, o pokoju wiecznym

powszechnym, dla którego godzi się przelać morze krwi. Jednakowy był fałsz po obu stronach i jedynka wina. Teraz kapitalistyczna Rosja carska i kapitalistyczna Rosja Rządu Tymczasowego pierwsze płacą za swoje zbrodnie. Za nią pójdzie odwet na Niemcy, na Francję, na Imperjum Brytyjskie, na Europę, na Amerykę—na kapitalizm całej kuli ziemskiej.

A zresztą, gdy spojrzeć wstecz w te cztery bezmała przewojowane lata — co za śmiertelna nuda! Co za upadek wszelkiej myśli i prawdziwego ludzkiego życia! Czyż można wyżyć przez cztery lata komunikatami głównych kwater? Jak można nie robić nic innego, jeno liczyć trupy, jeńców i zdobyte lub stracone kilometry a nieraz nawet w okresach zastoju — tylko metry?... Spowszedniała, opatrzyła się śmierć, obrzydło codzienne bohaterstwo, zamarły w ludziach uczucia grozy, zapału, litości, oburzenia, już nic nie cieszy, nic nie martwi, zatracił się sens życia. Rozpostarła się i zapanowała dręcząca nuda, pustka w duszach i w mózgach. Eva miała dosyć tej wojny.

Zażądała odmiany i znowu, jakgdyby koleje świata układały się wedle jej zachcenia, odsłania się przed nią nowe misterjum, pełne wspaniałości i grozy i nowych wydarzeń, nowych zagadek i tajemnic.

Wieczorami wychodzili na miasto, Sèrge nie lubił świetnego centrum Berlina, szerokich ulic, pa-

łaców, teatrów, pierwszorzędných kawiarni. Jechali tramwajem lub koleją obwodową w dalekie dzielnice, wysiadali na pierwszej lepszej stacji i zagłębiali się w labirynt ulic, uliczek, zbaczając naoslep na prawo, na lewo i krążyli godzinami zatopieni w sobie. Dziwili się, gdy im zastąpiła drogę Sprewa, nieoczekiwana w tem miejscu, lub nieogarnione ciemne pole Tempelhofu, albo gdy dowiedzieli się od przechodniów, że są w Rixdorf lub w Charlottenburgu. Miło było zabłądzić i nie wiedzieć, gdzie się jest, miło było wstąpić do najnędzniejszej piwiarni na szklanę nędznego wojennego piwa lub do brudnego trzeciorzędnego kina, między ubogą gawieź. Sèrge twierdził, że to są dopiero ludzie rzetelni i że do nich należy przyszłość świta, cóż że na teraz palą tani tytoń, jeszcze się nie kąpią, a gdy się ich zbierze więcej w jednym miejscu — śmierdzą. Zato niemą wśród nich fałszu i krzywdy, które cuchną w zapachu perfum i w jedwabnych szelestach dystyngowanego tłumu. Eva zgadzała się na wszystko.

Sèrge zażądał, żeby na te wycieczki ubierała się skromnie, czyniła to, ale i tak wszędzie, gdzie się zjawiała, zwracała na siebie uwagę. Utrzymywała, że to on właśnie przez swoją urodę i postawę jest przedmiotem podziwu, choć ubiera się niedbale aż do przesady. W rzeczywistości oboje tworzyli parę, która w żadnym środowisku nie mogła ujść uwagi, zdawali się oboje należeć do nieznaney, obcej, wyższej rasy. Eva ubóstwiała urodę swego młodzieńczego kochanka, zachwycała się nią jako kobieta

i jako artystka, ceniąca w człowieku wyrazistość rysów i charakter całej postaci. Jedna jedyna wada... Na ukochanem obliczu Sèrge'a nigdy nie widziała uśmiechu. Zawsze był poważny, skupiony. Pośępnie patrzyły piękne oczy. Tak samo w roztkliwieniu miłosnem, jak wówczas gdy żartował lub prawił koncepty.

— Dlaczego ty nigdy się nie śmiejesz?

— To niepotrzebne.

— Jakto, zawsze byłeś taki dziwny? Nigdy się nie śmiałeś?

— Owszem, dawniej mi się zdarzało. Ale od pewnego czasu jakoś zapomniałem o śmiechu.

— Dawno?

— Może od roku, może mniej.

— To przez rewolucję!

— Może przez rewolucję, może nie — sam nie wiem.

Trudno było do tego przywyknąć, zwracała mu na to uwagę, zmuszała go do śmiechu, ale gdy jeden jedyny raz jej usłuchał i usiłował się roześmiać, ogarnęło ją przerażenie. Na twarz wypełzło mu coś nieopisanie przykrego, jakgdyby zdradziła się w nim jakaś okropna tajemnica, ukryta na samem dnie duszy. Z tym przymuszonym uśmiechem stał się zupełnie inny, obcy, nawet odpychający... Evę zdjął strach, ona, mistrzyni fizjognomiki, znająca wszystkie tajniki, odcienie, przeobrażenia i niespodzianki w grze ludzkiego oblicza, długo rozważała zjawę tej strasznej maski, którą na ukochaną

twarz narzucił tak przyrodzony wyraz, tak powszechny, tak zwyczajny i codzienny, taki ludzki — jeden uśmiech... Jak może istnieć człowiek niezdolny do uśmiechu? Cóż w nim się tai? Starła się zatrzeć w sobie ten obraz, zapomnieć i drżała, by Sèrge nie powtórzył okropnego eksperymentu. Ale do tego już nie doszło.

XI

W ustronnej, bezludnej części Thiergartenu pani Greta von Senden błąkała się między stawami, czekając oddawna na umówioną schadzkę z inspektorem policji politycznej, któremu miała wręczyć raport. Nie nadchodził. Z początku się nudziła, potem irytowała się, gdyż pan inspektor za tym razem obiecał jej przynieść „bardzo przyjemną kopertę“, jak to obwieścił był wczoraj poufnie agent łącznikowy, wyznaczając jej spotkanie w parku. Pomimo dwóch pensyi, z których jedna niemiecka opędzała życie i koszta podróży, a francuska, pięciokrotnie wyższa, rozchodziła się również, w końcu miesiąca była bez grosza przy duszy, a „bardzo przyjemna koperta“, która się tak fatalnie opóźnia, zawiera pierwszą nagrodę, jaką ma nareszcie otrzymać za swoją wierną służbę. Ile to wyniesie? Greta była przekonaną, że odkupiła już sowicie dawne błędy i zbrodnie przeciwko ojczyźnie i zasłużyła nie tylko na przebaczenie i zapomnienie win, ale i na sutą gratyfikację. Zgadywała — tysiąc marek? Nie, tyle nie dadzą. Pięćset?

Była niewyspana i zła. Znowu od trzech dni nie miała „białego proszku“, bez którego nie mogła

już żyć. Otrzymała wprawdzie od znajomej pani parę gramów jakiegoś „cudownego“ specyfiku o dziekiej nie do zapamiętania nazwie, ale na nią działało to fatalnie. Rozdrażnienie, bezsenność, a w długą samotną noc obsiadają pościel utrapienia, zmyry i widma, postrzega czem jest i jak głupia brzydzi się sobą. Najgorsza rzecz — tak zwane opamiętanie się zatruwa ją idjotycznymi wyrzutami tak zwanego sumienia, które wszak nie istnieje w normalnym inteligentnym człowieku. Kto wie, czy zdoła wycierpieć jeszcze parę podobnych nocy, już wczoraj przychodziły takie straszne momenty... Bo i poco ona właściwie ma żyć?

Nagle spostrzegła w sobie coś dziwnego... Jakby powtórzenie momentu z przed wielu, wielu lat, może jeszcze z dzieciństwa... Skąd ten radosny niepokój? Przeczucie szczęścia, zachwyt nieokreślony, bez powodu i przyczyny?...

To wiosna — spostrzegła ją w sobie wcześniej niż ujrzała oczami lekkie zielonkawo-żółte omszenie na gałązkach wierzb nad stawem, świeżą jasną ruń na trawnikach. Na kępach zarośli, na drzewach, wszędzie nabrzmiałe pąki, ciepło, zapach wilgotnej ziemi... Za parę dni wystrzeli młode listowie, okryje, umai świat. Zaskoczyła ją wiosna. W rozwichrzonym, obłudnym swoim bytowaniu z dnia na dzień nie zdawała sobie sprawy z tego, co się poza nią dzieje na świecie. A czas płynął, przeminęła długa zima...

Łzy rozpaczy zapiekły w niewyspanych suchych

oczach, wzdrygnęła się na wspomnienie tej nocy. Nieodparty urok wiosny pogrzyżył ją w ciężkim strapieniu — cóż może jej przynieść to odnowione powracające życie, któremu radują się ludzie wszyscy? Jest na zawsze zgubiona, wyklęta. Czyste wiosenne tchnienie, które promieniowało zewsząd i na wszystko, co żyje, zdawało się omijać ją jedną, niegodną, tak okropnie zbrukaną, zatraconą bez nadziei. Niepodobna było zapłakać i rozszlochać się nad swoją niedolą, gdyż między stawami przemykali się ludzie, zaczęła więc kląć półgłosem, zawzięcie. Zionęła najobrzydliwszymi słowami, piętrzyła łajdakie okropności, wyzwiska, dziwolągi, kunsztowne wymyślne świństwa, wylęgte w spelunkach i rynsztokach wielkowiejskich lub wytworzone w okopach dla ulgi i przetrwania. Nauczyli ją kląć oficerowie schamiali na froncie, nieraz popisująca się swą erudycją w dobranym gronie lub przy boku jakiegoś miłośnika podobnych paskudztw, którego tem rozjątrzała i wprowadzała w zachwyty.

Umilkła — bo ktoś nadchodził. Jegomość zgarbiony i otyły, o nabrzęklej, czerwonej twarzy, mocno kulejący — spojrzała na niego obojętnie i on spojrział — przeszedł. Inspektor Hildt był już spóźniony o trzy kwadransy, zapewne znów nie przyjdzie. Na myśl, że conajmniej do jutra będzie się musiała obyć jakimiś marnymi pięciu markami, wpadła w złość. Dobrze — za karę przerobi raport, przemilczy najnowszą zdobycz — Emmę Jess, jak już przemilczała doktora Helma, niech poczekają.

Kulejący jegomość powraca. Tym razem, mijając jej ławkę, patrzył na nią wprost przenikliwie, badawczo. Gdy ich oczy się spotkały, stanął, Greta zerwała się na równe nogi. Uciekać! Uciekać!...

— Morgen, Greto! Przecież to ty? Pomimo wszystko — ty... Jak ty wyglądasz? Co się z ciebie zrobiło?!

— Popatrzno naprzód na siebie, zanim... O Boże... To przecież niemożliwe... Okropność...

— Ha — ha — ha!...

— Pocom ja ciebie spotkała?! Niechżeby cię lepiej piekło pochłonęło... Czemuś do tego czasu nie zdechł, żeby moje oczy nie oglądały czegoś podobnego!...

— I ja bardzo żałuję, ze swojej strony, jak wiesz, nie zabiegałem nigdy. Przypadek... Ale mogłabyś być grzeczniejsza...

— Słuchaj, von Senden, czy ja naprawdę tak wyglądam?...

— Jak?

— Przecież mnie nie poznałeś odrazu?

— Poznałem cię po chwili, gdy już przeszedłem i chciałem iść sobie dalej, ale mnie licho pokusiło, żeby wrócić. Mam ci coś do powiedzenia — powiem i pójdę.

— Nic mi nie powiesz! Nie masz żadnego prawa mnie dręczyć! Ruszaj sobie precz! Natychmiast!

— Pozwolisz, że usiądę, noga dolega mi dzisiaj gorzej, pamiętasz — złamana w trzech miejscach, kiedy mnie wówczas przywaliło ziemią. Pamiętasz?

— Nie pamiętam! Nic nie chcę pamiętać! Zostaw mnie w spokoju...

Przez chwilę milczeli. Oboje pograżyli się w tępem zdumieniu, to spotkanie wydawało im się niepodobieństwem. Jeszcze gorszą nieprawdą było wszystko tamto, z niewiarogodnej przeszłości. Dopiero dwa lata temu... Co znaczy—rok? Co to są—dwa lata? Czy to dużo, czy mało? Czy tamto było dawno czy niedawno? A może nic nigdy nie było?... Przecież tak właśnie byłoby najlepiej... To sam diabeł ich ze sobą zetknął, żeby drwić... Czy może być coś okropniejszego? Poco? Poco?...

Nagle oboje jednocześnie spojrzeli na siebie i długo nie odrywali wzroku, nie mogli. Nie mogli się napatrzeć na ohydę, w którą zamieniło się dawne, tak piękne, tak umiłowane.

...Oczy bezmyślne, puste, zapłnięte... Twarz obrzękła, sina, czerwona, pijacka, nos zeszpecony krostami... Jakieś tajemne łajdactwo, zaskrzeple w rysach, zamknięte, gotowe wypełznąć każdej chwili... Tyżeś jest, mój mężu ubóstwiany, człowieku, któryś mnie ukochał nadludzko — bez litości?...

...To ty, Greto, miłości mego życia... Ty jedyna na świecie, najpiękniejsza, ty przeczysta... Widmo plugawe... Te usta bezecne, sponiewierane każdą rozpustą... Oczy wyuzdane, bezczelne... Głos zachrypnięty, obcy... Gdzie są włosy tamte, najdroższe? Ładaczniczo....

Nie mogli patrzeć dłużej. W twarzy Grety drgał płacz, lada chwila rozełka się, rozszaleje żal nieutu-

lony, spóźniony. Von Senden pobladł, a piętna pi-jackie wystąpiły jaskrawiej. Jeszcze raz podnieśli na siebie oczy i natychmiast umknęli ze spojrzaniem — o czymże mieli mówić? Oboje przeklinali siebie nawzajem i ten ślepy, najgłupszy traf, który ich ze sobą zetknął. W obojgu sercach, w ich tajemnej głębinie poruszyła się jakaś rozpacзлиwa nadzieja, a i on i ona zdeptali ją natychmiast szyderyczym śmiechem — co za farsa!... Otrząsali się ze wspomnień, które zaroiły się nieposłusznym tłumem i ogniem żarły dusze. I cóż dalej?...

— Tyś wszystkiemu winien... Ta twoja przekłeta duma męska, męzowska!... A ja głupia, po stokroć głupia, żem nie utaiła... Stąd nasza zguba... Nie mogłeś zrozumieć, przebaczyć?

— Kiedym umierał w mękach, przez wybuch francuskiej miny po szyję zagrzebany w ziemi, przebaczyłem ci, Greto, w obliczu śmierci. Ale odkopali mnie i wyżyłem — niech już zostanie po dawnemu. Naco ci moje przebaczenie?

— Ja niczego od ciebie nie żądam! Ale wówczas... Ilez razy pisałam na front... Krwią i łzami... Zawzięłeś się za jeden jedyny błąd — teraz mnie masz... Jeżeli chcesz, to ci o sobie opowiem... Ha—ha!...

— Nie powiesz o tem ani słowa, ja nie chcę!

— Strach ci usłyszeć jak twoja żona, która nosi twoje nazwisko...

— Greto, mnie to naprawdę nic nie obchodzi,

wszystko diabli wzięli i nigdy już o tobie nie myślę. Zapomniałem, jak i ty.

— Jednego nie zapomniałam, nigdy nie zapomnę — mojej krzywdy. I ja o tobie nie myślę, a gdybym nawet pamiętała, to dość mi było spojrzeć na ciebie — teraz... Ha — ha...

— Tak, Greto, wyglądam nieosobliwie, jestem ciężko chory, inwalida...

— I pijak!

— Owszem, popadłem w nałóg, tem się dobiżam, jestem człowiek stracony i to przez ciebie, ale już mi wszystko jedno.

— Nieprawda! To tyś mnie zgubił!

— Greto, nie będziem się prawować, co tam już teraz... Powiedzmy sobie, gdyby nie wojna...

— Niechże będzie przekłeta, ale i ty bądź przekłety, zły, zawzięty człowieku!

— A skąd ta moja złość i zawziętość?

— Nie wiem! Nie wiem! Jakież ty byłeś dla mnie dobry...

— Byłem, tak, owszem. Było i przeszło, a w międzyczasie dwa lata frontu. Policzno Greto: od Charleroi do Marny i z powrotem — Argonny. Potem Ypres i cała zimowa kampanja flandryjska, dalej Reims, Chemin des Dames, a dalej na dobiecie Verdun, no i Somma... To trzeba zrozumieć...

— Cóż mi z tego, że zrozumieć?

— To prawda.

Zamilkli, nie mieli o czem mówić. Von Senden

ziewnął, wydobył z kieszeni maleńką paczuszkę i rozwijał ją z papieru, a ręce mu się trzęsły. Otworzył okrągłe pudełeczko, wziął szczyptę białych kryształków i zażył chciwie. Wciągał głęboko ten specyfik, w skupieniu, przymknawszy oczy, brzydko siapając nosem. Greta aż podskoczyła na ławce.

— Daj i mnie! Choć odrobinę...

— Proszę.

Siedzieli dalej w milczeniu, czekając na rozkoszną chwilę, gdy troski, żale, bóle, ciężar i sromota życia, i pamięć, i nieznośne dzisiaj i niepewne jutro zaczną się zasnuwać białą mgłą. Roztworzy się inny świat a w nim godzina pełni i wolności, której nie zazna człowiek ani przez wysiłek woli, ani przez mądrość, ani przez cnotę. Na godzinę wróci polot młodości i nadzieja, wszyscy ludzie stają się dobrzy i piękni — na godzinę. Pierwsze drobiny błogosławionej trucizny już przenikają do mózgu, do pajęczej tkaniny nerwów, już toczą i rozrywają łączność z prawdziwością zjawisk — usypiają przekłętą świadomość. Lekki, przejrzysty sen przysłania kształty życia i ucisza jego odgłosy...

Greta przemówiła pierwsza jakimś innym głosem, zadźwięczała w nim świeżość, zadrgały jakieś dawne tony, von Senden ocknął się i słuchał chciwie, nieprawdaż — tym głosem mówiła do niego kiedyś ona, ta która szczyła i gorzej niż umarła — jego ubóstwiana Greta.

— Gdzie są moje listy, pisane na front — już po tem? Oddaj mi je, nie chcę, żeby się poniewierały

i wpadły w czyje ręce. Jeżeli one cię nie poruszyły...

— Niema listów. Dla mnie nigdy ich nie było— paliłem każdy natychmiast jak tylko przyszedł, żadnego nie otworzyłem.

— Słuchaj, von Senden!

— Co, Greto?

— Jesteś podły!

Na zakręcie alei ukazał się pan przysadzisty, krępy, w jasnym wiosennym palcie, w kapeluszu na bakier, pośpieszał, kiwając się na obie strony. Zatrzymał się i zdaleka uczynił znak. Greta zerwała się z ławki i odeszła bez słowa, bez spojrzenia.

Generał von Sittenfeld nie odrazu pożegnał wszelką nadzieję. Pomimo jawnej zdrady, utraciwszy wiarę w rzekomą wzajemność Ewy, nie wyrzekł się jej bynajmniej. Mniejsza o jej serce... Jednak ciężko przebolewał ten cios, gdyż pomimo tysiąca przelotnych wątpliwości gdy znalazł się w obliczu Ewy ufał jej zapewnieniom, jej serdeczności, spojrzeniom, westchnieniom i gestom oraz momentom jej rozkosznego półzapomnienia i ćwierćoddania, któremi ogłupiała go po mistrzowsku. Któżby nie uwierzył na jego miejscu? Czyż jest na świecie mężczyzna, którego by nie oszukała Eva Evard, wyrafinowana aktorka, gdy puści w ruch swoje uroki i sztuki? Tem usprawiedliwiał się przed samym sobą i łagodził

w pewnym stopniu gorzkie poczucie poniżenia i wstydu.

Ale teraz przybyło nowe udręczenie, męka zazdrości. Już nie mętne podejrzenia, zgadywane, rozproszone na szereg osobistości, ale niezbita pewność. To już było za mocne. Generał zżerał się w bezsilnej wściekłości, która w momentach, gdy nasuwały mu się pewne obrazy w całej plastyce ich realizmu, dochodziła do ataków furji. Wówczas drżeli przed nim podkomendni, interesanci. Nieposzlakowany i zrównoważony z angielska (pomimo Gott strafe England) dżentelmen w pewnych chwilach zapomniał się w klubie, w towarzystwie, przy paniach. Mówiono — nasz generał jest przepracowany — co się najzupełniej mijało z rzeczywistością, gdyż w tych czasach właśnie nic nie robił, zapuścił sprawy swego groźnego resortu, dając folgę i odetchnienie wewnętrznym i zewnętrznym wrogom Niemiec. Czytał tylko pilnie z bolesną chciwością codzienne raporty o zakochanej parze, której żaden krok na mieście nie uchodził uwadze jego agentów. Tym razem ze wstydu przed własnymi szpiclami w instrukcji wymieniony był jako przedmiot inwigilacji tylko „członek legacji bolszewickiej Uchmatow“, zresztą śledzono wszystkich przywiezionych przez towarzysza Joffego i jego samego, ale młodzieńczy kniaź był pod lepszą opieką niż sam szef delegacji.

Dla Ewy oprócz miłosnej nienawiści czuł pogardę, poprostu wstydził się za nią. Jakto? Kompromitować się na cały Berlin z gołowąsym szczeniakiem?

Z nikczemnym bolszewikiem? Z typem nawskroś zwyrodniałym moralnie, bo czyż słyszana rzecz, żeby syn starego księżęcego rodu...

Nie on jeden uważał to za skandal. Nowina, że Eva opuściła dostojnego generała Sittenfelda dla bolszewickiego młokosa, budziła niesmak wśród znajomych, przyjaciół i wielbicieli wielkiej artystki. Kilka domów zażyłych z Evą zmówiło się, żeby jej nie przyjmować, ale ona i tak nie pokazywała się nigdzie, pochłonięta swoim kniazem. Oburzały się zwłaszcza panie, a wśród nich przodowała baronowa zu Steth Schulzburg, zraniona w swej miłości, zdradzona i opuszczona najbrutalniej. Doszło do tego, że udała się do zdradzonego również generała i zupełnie naiwnie i bezwstydnie namawiała go, żeby niezwłocznie nakazał wziąć bolszewika do więzienia, gdyż bezwątpienia jest to nasłany zbrodniarz, który przygotowuje w Niemczech rewolucję.

Generał uchylił się od tej misji, ale wizyta baronowej natchnęła go nowym pomysłem.

Niestety w raportach o kniazu Uchmatowie nie można było dopatrzeć się żadnego powodu ani pretekstu do oficjalnego wkroczenia, a nadomiar złego był on pod osłoną legacji dyplomatycznej zaprzyjaźnionego państwa Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Rad Robotniczych, Żołnierskich, Chłopskich, i wreszcie Kozackich. Oczywiście nic łatwiejszego jak podczas wieczornej wycieczki zakochanej pary wodleglejsze i gorzej oświetlone dzielnice kazać go poprostu zamordować (w oczach Ewy!) wiado-

mym nieoficjalnym drabom, trzymanym narazie w rezerwie, w oczekiwaniu groźniejszych strajków i zaburzeń, ale i tu stawał na przeszkodzie honor i cześć niemieckiego generała. Nie godziło się tego czynić dla osobistej zemsty, byłoby oczywiście inaczej, gdyby ów potępieniec dopuścił się czegoś politycznie karygodnego. Wówczas, owszem, byłoby to najkrótszą procedurą pozbycia się „uciaźliwego cudzoziemca“, a zabójstwo poszłoby na karb nierozwagi młodego człowieka, który nieświadom stosunków zapuszcza się po nocy w okolice, gdzie roi się od huliganów, rabusiów, dezerterów i innych mętów stołecznych.

Raporty go nie zadowalniały. Zwrócił uwagę zaufanemu kapitanowi Gutznerowi, że dziwi go brak wszelkich informacji o występnej propagandzie ze strony inwigilowanego osobnika, który chyba nie dla estetycznych wzruszeń ani też dla dobrego powietrza nawiedza „wraz ze swoją damą“ dzielnice robotnicze i pobliza koszar, uczęszcza do obskurnych szynków i kawiarni, gdzie przynajmniej do wieczornego apelu przesiaduje mnóstwo żołnierzy.

— Proszę dać na ten odcinek inteligentniejszych agentów. Opinia jest zaniepokojona, bolszewicy podżegacze grasują u nas zbyt bezkarnie — pan czytał wczorajsze wieczorne gazety? Hrabia Mirbach donosi z Moskwy...

Generał był zbyt uczciwym przedstawicielem władzy, by wszcząć represje bez dowodów nawet wobec jawnego wroga cesarstwa i ładu społecz-

nego. ale gdy zdobędzie fakty obciążające i należyte przeświadczenie o winie obrzydliwego szczeniaka, wkroczy niezwłocznie. Co za cudowny odwet! Zrozpaczona Eva naturalnie przybiegnie błagać o miłosierdzie...

Naprzód posiedzi sobie w poczekalni ze dwie godziny dla opamiętania i rozważgi. Dalej, szef kontrwywiadu z miną urzędową, jakgdyby nie znał zupełnie uroczej petentki, wytrzyma atak i wszystkie miny, gesty, płacze, przewracanie oczami. Na początek wydręczy ją niezgorzej, za następnym razem zastraszy ją i zgnębi — sprawa wygląda nader groźnie, wszak mamy wojnę, nieprawdaż?... Przepuszczalnie od 10 do 15 lat ciężkiego więzienia i to biorąc pod uwagę niepełnoletność oskarżonego, inaczej byłoby gorzej.

Wreszcie... Eva, która jest kobietą wielkiego rozumu, nie będzie szukała wysokich protekcji ani obijała progów parlamentu czy ministerstw i odnajdzie jedyną drogę prowadzącą do celu — poprostu zgłosi się pewnego pięknego poranku i oznajmi oczami i całą swą niemą sztuką filmową — albo powie to wprost i wyraźnie, że gotowa jest wykupić kochanka z więzienia i od srogiej kary.

Nadejdzie wielka godzina porachunku z dręczycielką. Nikczemny szczeniak posiedzi jeszcze długo, a tymczasem duma Ewy, jej godność, jej miłość będą szarpane, poniewierane z rozkoszą przez zwyciężcę. Czyż przymuszone oddanie poniżej mężczyznę? Czy odbiera urok rozkoszy? Bynajmniej. Zniewole-

nie kobiety i gwałt moralny czy nawet, powiedzmy otwarcie to słowo arcy brzydkie — szantaż — jest prawem mocniejszego, którego wyrzeka się chyba niedołęga lub tępy doktryner.

Przedziwny, godny bogów jest smak rozkoszy wymuszonej na kobiecie, która nienawidzi, wzdryga się z odrazy, a jest uległą, posłuszną każdemu zachceniu. W tych wyjątkowych okolicznościach generał gotów był nawet uwierzyć, że na tem właśnie polega szczyt ekstazy erotycznej, oczywiście w pojęciu człowieka o należytej odporności moralnej i mocy.

I wyobrażał sobie, że nieodrazu, ale w odpowiedniej chwili napomknie jej o zielonej safjanowej tece ze złotemi zameczkami, zostawionej u niej w karygodnem zaiste zapomnieniu po brutalnym wybuchu, który zresztą sama wywołała swym uporem. Zagra z nią przesubtelnie, wyszydzi, zagrozi, a gdy się będzie upierać, da jej dowody, że jednak owe papiery były w jej rękach. Powie i więcej, zaniepokoi, napędzi strachu i weźmie ją mocno w ręce.

W tym czasie otoczył on baczną obserwacją van Trothena, swego starego przyjaciela, estetę, salonowca, filmiarza i szachistę. Znali się od wielu lat i wypili razem chyba nie jedną beczkę reńskiego — przeważnie przy szachach. To jedno właściwie ich łączyło, ale przez szereg lat mocno przywykli do siebie. Nie mieszały się do swoich spraw, nie było między nimi zwierzeń ani czułości, w ciągu długich go-

dzin mogli milczeć, obmyślając swoje chytre uczone kombinacje. Czasami mówili odniechceni o literaturze, o kobietach, a od wybuchu wojny pogadywali o wojnie. Oczywiście generałowi przენigdy nie przesunął się po głowie nawet cień przypuszczenia, że ten pocziwiec van Trothen... Objąwszy w drugim roku wojny stanowisko szefa kontrwywiadu, kierował się doktryną, że nikt nie jest absolutnie pewny i że wpływy i machinacje nieprzyjaciela pośrednio lub bezpośrednio mogą sięgać wszędzie. Była to oczywiście teoria, gdyż, podejrzewając każdego i wszystkich, niepodobna nic wiedzieć i nic wykryć.

Generał był zamiłowany w swoim fachu i miał ogromne doświadczenie, w swej praktyce natrafił już na ślady wrogich knowań nawet w sferach najwyższych, zdarzały się zdumiewające niespodzianki, a niektóre były wprost fantastyczne. Ale gdy po raz pierwszy zaświtała mu w mózgu myśl o van Trothenie, uznał to za bzdurę — któż zresztą odpowiada za wszystkie głupstwa, które na sekundę mogą postać w głowie nawet najpoważniejszego człowieka? Jednak przyjaciel wziął się — było to przed tygodniem, przy ostatniej partyjce szachów — żeby ten absurd zamienił się w uczucie przestrawu, a dalej w niewiarogodne powątpiewanie, wkońcu — w podejrzenie.

Van Trothen popijał gęsto i grał nieuważnie, chwilami zdawał się jak początkujący nieuk zapominać o odwiecznych chodach konia i laufra, a około północy w trzeciej partji zdarzył się moment, gdy po

długich namysłach zamiast własnych czarnych zaczął posuwać białe figury przeciwnika. Przyszedł zdenerwowany, a pod koniec był prawie nieprzytomny. To, co mówił, było chaotyczne i z początku zupełnie niezrozumiałe, wyrzekał na intrygi nieokreślonych ciemnych sił. Jacyś wrogowie Niemiec chcą go skompromitować i zniszczyć... Konkurencyjne firmy zazdroszczą mu Ewy Eward i chcą ją podkupić... Jeżeli złamię kontrakt, przepadną „Bogowie Germanji“ i „Mundus-Film“ ogłosi bankructwo... To jeszcze nic, ale jakaś banda ściga go po mieście, jest szpiegowany na każdym kroku...

— Co mi pan opowiada? Toż to czysta farsa!

— Godzą na moje życie i gorzej niż na życie, bo na moją cześć! Oplątali mnie...

— Ale kto, u diabła!

— Gdybym to ja wiedział... Przypuszczam, że rzucają na mnie jakieś straszliwe podejrzenie... Ich bezczelne donosy pobudziły zapewne władze do wszczęcia dochodzeń, które mi uwłaczają jako uczciwemu człowiekowi i wiernemu poddanemu Jego Cesarskiej Mości... Generale, jestem ofiarą strasznych machinacyj! Potrzebuję obrony, pomocy!... Zresztą, co tam, może się jeszcze te rzeczy ułożą — niepotrzebnie się skarżę, nie chciałbym przysparzać generałowi kłopotu, ale doprawdy, chwilami nie mogę się opanować... Gdzież, zresztą, mam szukać ratunku?

Generał słuchał, dziwił się coraz bardziej i milczał.

Van Trothen przerywał swoje skargi i zagłę-

biał się w grze. Wytężał wszystkie siły, żeby siedzieć cicho i nic nie mówić, ale silniejszy od niego był demon, który dybał na jego zgubę, nie dawał mu spokoju, nurtował, kusił, podpowiadał jakieś fatalne słowo niecofnione, od którego biła zgroza. Chwilami oblewał go zimny pot strachu, chwilami coś chichotało w nim przekornie, jakgdyby wszystko to były tylko zabawne żarty. Zjawiało się widmo Abbegglena z wystraszoną twarzą. Z trudnością poruszał się po szachownicy, nie wiedząc kędy się obrócić, gdyż generał osaczył go śmiertelnie. Tracił figurę za figurą. Niech się dzieje co chce, byleby wytrzymać i nic nie mówić. Gdy odrywał wzrok od szachów, spotykał wlepione w siebie zimne przenikające oczy von Sittenfelda i gubił resztę panowania nad sobą.

— Milczy, milczy — a co on myśli? Zacieka-
wiłem go, zabiłem mu klina w głowę — a o nic nie
pyta... Pcha mnie, żebym się wygadał do końca...
Albo też oddawna wszystko wie... Wie, czy nie wie?
Zdaje się, że nagadałem niepotrzebnych głupstw.
Boże, ratuj, poco ja tu przyszedłem?...

Chcąc zatrzeć swoją dziką gadaninę, usiłował znaleźć nowy temat — o czymś zupełnie obojętnym, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wreszcie milczenie generała a przede wszystkim własne stało się nie do wytrzymania. I zupełnie bezmyślnie zaczął o skandalicznym romansie Ewy i natychmiast po pierwszych słowach poznał, że nie mógł wybrać gorzej, przestraszył się, ale brnął dalej. Tak się między nimi ułożyło, że od czasu, gdy Eva zaczęła uchodzić

za oficjalną kochankę generała, nigdy nie rozmawiali o niej, jakby nie istniała na świecie. Przedewszystkiem sam van Trothen obserwował to z wrodzonego poczucia taktu. I teraz zaczął mówić, gdy przedmiot stał się właśnie niemożliwy do najbliższego bodaj napomknienia.

Generał dalej milczał, van Trothen gadał, wyplatając androny o powikłaniach i dziwactwach w psychologii gwiazd filmowych. Nie mógł już przestać i nie śmiał oderwać oczu od szachownicy. Wiedział, że gdy się spotka ze spojrzeniem generała, przyzna się do wszystkiego.

— Boże miłosierny, ja chyba zwarzowałem!...

Dobrze, dobrze!... Natychmiast trzeba wyczynić coś idjotycznego! Warjat korzysta z okoliczności łagodzących — w każdym razie niema mowy o wyroku śmierci, a to jest najważniejsze. Dożywotnie ciężkie więzienie celkowe?... Z przymusowemi robotami?... Nie, to gorsze! Na to, żeby uwolnili od wyroku i internowali w szpitalu, trzeba być doskonałym, stuprocentowym warjatem — to nie jest trudne.

I zaczął pleść bez sensu, wyobrażając sobie, że tak mówią warjaci. O rzekomych czerwonych mrówkach, które oblażą go przez całą noc, roją się i kłają straszliwie, a gdy się obudzi, znikają, ale na całym ciele zostają ślady... O nowym amerykańskim sposobie wyciągania zeznań zbrodniarzy — agent śledczy zasiada sobie z takim bandytą i gra z nim w specjalnie namagnetyzowane szachy. W fi-

gurach agenta jest magnetyzm dodatni a zbrodniarz musi grać ujemni. — I cóż się okazuje...

Tu już zabrakło mu wyobraźni — nie wiedział jak prowadzić rzecz dalej o swoim amerykańskim wynalazku, więc urwał i z bezczelnością rozpaczy przerzucił się na szpiegostwo wojenne...

— Opowiadał mi jeden nasz oficer, który przez cały rok siedział we Francji w Wielkiej Kwaterze za papierami kapitana francuskiego, wziętego do niewoli, że ich wywiad dla oszczędzenia agentów przed wsypaniem opiera się głównie na cudownie skonstruowanych radjowych aparatach podsłuchowych. Wiedzą oni wprost z Paryża o wszystkim, co się dzieje w naszej Głównej Kwaterze, w sztabach armji i nawet na radach koronnych, na których przewodniczy cesarz, dlatego też wojna zawlokła się na cztery lata. Dopiero gdy temu oficerowi udało się ostrzec nasze naczelne dowództwo, wszelkie podsłuchy ustały, poprostu zmontowano wszędzie obszerne kamery ze szkła specjalnego i tam jedynie odbywają się tajemne obrady naszych naczelných władz politycznych i wojskowych. Pan generał oczywiście też posiada u siebie taki szklany gabinet, gdyż inaczej... przedstawicielstwo wywiadu francuskiego w Berlinie byłoby poinformowane zawczasu o wszystkim, co się knuje w pańskich biurach, i ich agenci byłiby nieuchwytni.

Tu chytrze zmrużył lewe oko i znieńska rzucił na wroga spojrzenie wyzywające, a zarazem tajemnie porozumiewawcze. Generał namyślał się właśnie

nad nowem posunięciem i nie zauważył spojrzenia, siedział sobie spokojnie, jakby nie słyszał ani słowa z opowieści van Trothena-warjata, lub jakby to uznawał za zupełnie rozsądne i słuszne. — Żle, źle! Przyczaił się — w tem jest jakiś szatański chwyt... Co robić, żeby ten potwór przemówił? Przecież ja lada chwila zwarzuję już naprawdę!

Co było dalej już nawet nie pamiętał. Gdy przegrał trzecią partję zaraz zabrał się i poszedł, wymknął mu się również moment pożegnania jak gościowi, który wychodzi zupełnie pijany, obawiał się, że pod koniec był całkiem nieprzytomny—ten łotr mógł mu dosypać czegoś do wina. W nocy zerwał się nagle i nie zapalając światła zaczął się nagwałt ubierać, śpieszył się, wszystko mu leciało z rąk. Zgubił się samochcą, póki czas trzeba uciekać. Z niezmiernym mozołem przypominał sobie, czy się przypadkiem z czemś nie wygadał. Chodził na palcach pociemku po wszystkich pokojach, szukając jakichś niewiadomych rzeczy, które musiał zabrać ze sobą. Ostrożnie wyglądał na ulicę. Wreszcie, zmordowany, przysiadł na chwilę w fotelu klubowym i obudził się dopiero rankiem z bólem głowy, z suchym językiem i z zupełną pustką w myślach. Ani śladu niepokoju, wszystko wczorajsze było zrozumiałe i proste.

— Struł mnie, bestja, tem starem wińskiem, dolewał i dolewał, pod koniec spiłem się zupełnie...

Przed Abbegglenem nie pisał ani słowa o wieczorze, spędzonym z generałem, chodził spokojnie po świecie, zajmując się swojemi sprawami. Ani

śladu dawnej psychozy. Minęła manja prześladowcza. ustały przywidzenia i strachy, wrócił dobry sen, humor, apetyt. Na ulicy nie podlegał halucynacjom i nie oglądał się już za szpiclami, którzy teraz właśnie deptali mu po piętach i nie spuszczaali go z oka.

XII

Profesor Wager pocieszał się czytaniem, całemi dniami przesiadywał w swoim zadymionym gabinecie i pochłaniał książki, na które od ukończenia uniwersytetu nie miał czasu. Odkrył nanowo urok literatury pięknej, wzruszały go poezje, nie mógł się oderwać od staroświeckich powieści, których ogrom a nawet niejaka nuda dawały mu doskonały spokój wewnętrzny, coś nakształt zdrowego snu. Podróże, zwłaszcza te dawne, żaglowe, gdy olbrzymie przestworza świata były jeszcze nieznanne, wracały go o pół stulecia wstecz, gdy był dzieckiem. Wiedzieć to o tem wiedział zawsze, ale dopiero teraz na schyłku życia poznał i uwierzył naprawdę, że Goethe, do którego nie zaglądał od czasów obowiązkowych czytań szkolnych, był naprawdę wielkim mędrce.

Książki odgradziły go murem od klęsk i nieszczęść wojny i od dręczących porachunków z własną rzeczywistością. Wśród zacisza i spokoju swojej biblioteki godził się z przeświadczeniem, do niedawna tak dręczącym, że jego zawód życiowy jest bezpowrotnie zamknięty. Słodko było nie walczyć więcej i do niczego już nie dążyć. Był czas, że pro-

fesor Wager był potrzebny ojczyźnie niemieckiej, dał jej, co zdołał, otrzymał w zapłacie sławę i zaszczyty, a teraz ojczyzna daje sobie rady bez niego. Widać zgrzeszył dumą, widać chciał dla niej zbyt wiele, jeżeli ludzie, piastujący całą potęgę władzy, pouczyli go złośliwie, że i to, czego już dokonał, wystarczy dla zwycięstwa. Tem lepiej, ale człowiek czynu, gdy pozna, że jest niepotrzebny, czempędzej umiera, czyż „Wielki“ Wager potrafi być emerytem? Nie. Już go woła śmierć.

Sprawy świata oddalają się stopniowo, krok za krokiem, powolutku, codzień mu coś ubywa z tego, co jeszcze wczoraj mocno tkwiło w myśli jako zainteresowanie lub zamiar. Niedługo nic nie zostanie z samej jego istoty. Rzut oka w jutro odbijał się jak od ściany lub natrafiał na ciemność. Za sobą czuł ogromny ciężar czasu, przed sobą jakby już nic. Cóż to znaczy? Nadchodzi koniec.

Wspinał się na najwyższe półki i szperał w nieruszanej nigdy bibliotece specjalnej, odziedziczonej po ojcu, który przez pół stulecia zajmował katedrę filozofii czystej na wszechnicy heidelberskiej. W starych zatechłych księgach szukał uczonych dociekań i ludzkich domysłów o śmierci. Przerzucił tego dużo i uśmiechał się, czytając — ileż pracy, przenikliwości, geniusza zużyły setki pokoleń mędrców, by bezskutecznie przesypywać pojęcia i słowa jak ów mialki piasek, który niezmiennie i niezawodnie przykryje kiedyś każde umarłe oczy człowieka... Więcej światła w pojęciu śmierci dawała mu już poezja.

Rytmiczne skojarzenie kilku słów, jakiś obraz irracjonalny, zapisany jakby z sennego majaczenia, rozwierał w duszy przecucie ogromu tej nicości, w której panuje śmierć. Czasami powaga i potęga straszliwego końca przemawiały z prostych, najzwyczajniejszych słów poety, który sam nie wiedział, że cudem udało mu się wyrazić samo tchnienie śmierci. Profesor lubił powtarzać sobie szeptem sielankowy, pogodny wierszyk Goethego

*Ueber allen Gipfeln
Ist Ruh,
In allen Wipfeln
Spuerest du
Kaum einen Hauch —
Die Voegelein schweigen im Walde,
Warte nur, balde
Ruhest du auch...*

Ten obraz ciszy po zachodzie słońca i zapadającego wieczoru dawał mu wizję dobrego dostojnego umierania, gdy w niezamąconym spokoju ducha spływa na człowieka łaska śmierci. Ale trzeba być mędrce i uczciwym człowiekiem, by zasłużyć na taki koniec. Kto zostawia za sobą żale, kogo dręczą wątpliwości, czy szedł przez życie drogą dobrą, ten nie doczeka pogody i ciszy w ostatniej godzinie. Trudno dojść ze sobą do ładu, gdy się żyło długo na tym świecie. W obliczu śmierci nie wystarcza ludzka miara i ocena — tajny radca, kawaler orde-

rów, komandor wielu gwiazd, profesor Wager — Twórca Zwycięstwa będzie miał wspaniały pogrzeb. Liczni mówcy opowiedzą o jego wiekopomnych zasługach dla wiedzy niemieckiej i dla zagrożonej ojczyzny. Jeszcze raz nad roztwartą mogiłą wypominać mu będą chlubę jego żywota — Żółty Krzyż...

Ale jaka jest istota wielkiego Wagera, naga prawda jego sześćdziesięciu siedmiu lat?

Utracił miłość żony... A może ją z własnej winy zagubił? Odebrano mu serce jedyne go syna, wychowała go matka zdaleka od ojcowskiego domu i wuj, kosmopolita i doktryner, rewolucjonista — manjak. Dopuścił do tego, zaprzątnięty chemją barwników na chwałę przemysłu i bogactwa narodowego... Córka chowała się sama bez żadnej więzi z ojcem, który tylko odziewał i żywił. I został sam jeden na schyłku lat. Dawno nie żyje żona, Rita pogrążona w swoich majakach zbliża się do obłędu, a Kurt...

On jeden towarzyszył mu wiernie w ciągu dwóch ostatnich lat od dnia, kiedy nadeszła wieść, że padł na polu chwały, na froncie wschodnim, w Karpatach. Fantastyczne dzieje... Dopiero gdy utracił syna uczuł go w sobie żyjącego. Śmierć uśmierzyła ich dawną niezgodę — syn nienawidził cesarskich pruskich Niemiec, a kochał jakieś swoje chimeryczne Niemcy. Kurt nienawidził wojny. Nie chciał brać urlopów, od chwili pamiętnego pożegnania, gdy ruszał w pole, nie widzieli się ze sobą. Cóż można powiedzieć w kartkach polowych, na-

gryzmołonych w pośpiechu ołówkiem? Wreszcie zginął...

Po roku brat zmarłej matki, wuj Niemeyer wręczył mu paczkę listów Kurta, pisanych z frontu i przesyłanych przez urlopowanych kolegów — bez cenzury wojskowej. Długo się męczył zanim zajrzał do tych papierów, które syn nie przeznaczał dla niego — był urażony, rozgoryczony, lękał się odnowić dawny ból, który już zaskrzepł był i stępsiał. Wreszcie odważył się...

Odtąd był z synem nierozłączny. Była to wspólnota burzliwa, pełna sporów. Kurt, jakby czując swoją przewagę nad ojcem, jako umarły, zdawał się wykorzystywać przywilej mogiły. Odbierał mu odziedziczone we krwi zasady, niezłomne przez całe życie. Podkopywał się podstępnie i wyważał z fundamentu ugruntowaną wiarę, wyszydzał to, co było zawsze święte. Bronił się stary ojciec, ale jakże trudno było walczyć ze zmarłym... Zachwiał w nim wszystko zuchwały syn, burzyciel starego świata — socjalista. Nie zdołał go przerobić na swoją wiarę, ale zabrał mu to, czem się trzymał w życiu, obrabował starego ojca bez miłosierdzia.

Wypadło to w okresie, gdy olbrzymie zamierzenia tajnego radcy, potentata broni chemicznej, zostały uchylone przez ministerstwo wojny, przez I. G. — centralę związków przemysłu chemicznego, i wreszcie w ostatniej instancji, przez boga wojny — pierwszego generał-kwaternistrza Ludendorffa. Epokowe odkrycie, niesłychany przewrót w wojnie chemicznej,

które mogły ostatecznie przeważać zwycięstwo, zostały zlekceważone przez ignorancję i rutynę biur ministerjalnych, przez drapieżników wojny, milionerów z I. G. i przez zaiste pruską butę i pewność siebie generała Ludendorffa. Wszystkie potęgi sprzymierzyły się, aby obalić wielkie dzieło i przedłużyć wojnę, może ją nawet przegrać. Stary Wager wyszedł z tych zapasów złamany, musiał się wyrzec olbrzymiego marzenia, zaprzepaścić sam szczyt swojej pracy naukowej. Na schyłku życia był bankrutem.

Na ten czas wpadły mu w ręce listy Kurta. Czytał je dorywczo, jakby ukradkiem, i odkładał na długo, gdyż przeszkadzały mu łyzy. I dotąd jeszcze nie przewertował ich wszystkich, zostało sporo nieznanych, a z innych zapamiętał tylko pewne oderwane myśli i one to nurtowały w nim bez ustanku, mącąc spokój i skazując go na ciężkie zwątpienia i walki wewnętrzne. Zamierzał przepisać wszystkie listy, gdyż Niemeyer zastrzegł sobie zwrot tej spuścizny — co za gruboskórny egoizm zabierać ojcu jedyną pamiątkę po synu...

Te nikłe kartki zawierały w sobie ukrytą mistyczną władzę, nie można było oswoić się z niemi, pociągały i odpychały zarazem, jątrzyły w ojcowskim sercu, które chciało tylko wspominać i kochać. Urażały boleśnie, oburzały swym wyzywającym tonem, ostremi słowy. Żył w nich buntowniczy, nieposkromiony duch Kurta Wagera, który oddawna spoczywa w mogile żołnierskiej, w obcej ziemi, w zapadłym górskim uroczysku. Z za grobu jeszcze

jątrzy i grozi. Ileż razy niepodobna było doczytać do końca kartki z żalu po zmarłym i z oburzenia za to, co ważył się napisać. Listy syna były dla staro- go ojca ciągłym niepokojem i walką. Czytać wszystko do końca? Dać spokój i nie zaglądać do nich więcej, zapomnieć?

Trudno było czytać, niepodobna było zapomnieć. Czemuż wpadły mu w ręce? Lepiej było nie wiedzieć o nich zupełnie — ale szwagier Niemeyer nie mógł wytrzymać, żeby mu nie zatruć świętej pamięci syna. Listy Kurta dręczyły, nawet spoczywając w szufladzie biurka, sama ich obecność w domu wytwarzała niepokój. Gdy nie zaglądał do nich przez tydzień i drugi i zaczynał się łudzić, że o nich nie myśli a może i nie wie, dopominały się natarczywie pamięci i uwagi z nieprzejednaną tyranją. Mieszały się do snów, ścigały go na mieście. O zmierzchu dnia, o szarej godzinie wśród ciszy zaszeptały przenikliwie... Niespodziewanie wśród białego dnia odezwie się ich śmiech zatajony, pełen szyderstwa...

„...Gdy połowy wielorybów rozwijały się coraz pomyślniej, William Baffin, wyborny żeglarz, usiłował rozszerzyć jeszcze bardziej zakres wód, dostępnych dla wypraw wielorybniczych, i w roku 1605-ym skierował swój statek „Discovery“ wzdłuż wybrzeży cieśniny Davisa i z uporem przebijał się przez lody ku północy, aż dotarł ku szerokiej przestrzeni wód, która odtąd znaną jest pod nazwą zatoki Baffina.

Zatoka ta, leżąca w samem sercu wód polarnych Ameryki...”

Profesor Wager dźwignął się z fotela, by zajrzeć do atlasu. Pierwsze wyprawy polarne były teraz jego ulubioną lekturą, czerpał ją ze stylowej empirowej szafki, nigdy nie otwieranej, która służyła jeno jako podstawa dla brązowego popiersia Humboldta, a zarówno szafka jak i książki pozostały po dziadku Wagerze, słynnym przed laty przyrodniku, geografie, profesorze wszechnicy lipskiej. Ale atlas leżał na biurku tuż nad prawą boczną szufladą, gdzie...

Z westchnieniem, podobnem do jęku, zasłonił twarz obu dłońmi. Stał długo bez ruchu w nagłym strapieniu, które spadło nań w ciszy spokoju i zapomnienia o tem, co jest. Opierał się jeszcze, choć już wiedział, że znajduje się we władzy złej godziny...

„...Wczoraj udało mi się szczęśliwie wymówić od odkomenderowania do szkoły oficerskiej. Prosiłem o odroczenie tego zaszczytu i dowódca bataljonu z trudem zgodził się skreślić mnie z listy kandydatów. Wśród moich kolegów podoficerów uchodzę za obłąkanego, a niektórzy z nich dochodzą również nieomal do obłądu, roztrząsając tę niesłychaną decyzję. Jakto? Zrzec się samowolnie kolosalnego przywileju, poborów, wygod, władzy? Pozostać w bydlęcym bycie żołnierskim, kiedy się mogło być panem? Wyrzec się conajmniej sześciu miesięcy

wywczasów szkolnych w życiu luksusowem zdala od kul i frontowej poniewierki? Nawet trzech bliscy ludzie, towarzysze partyjni z mojego plutonu, nie mogli mi zrozumieć i namawiali, bym nie robił tego głupstwa, gdyż jako oficer mogę czynić dużo dobrego dla żołnierzy. Zapewne... Jednak póki trwa wojna a ja żyję, nie zgodzę się zanic wejść do kasty oficerskiej, nie chcę bodaj formalnie i w najmniejszej części ponosić odpowiedzialności za zbrodnię rozkazywania w tej wojnie. Nie opuszczę masy żołnierskiej, wraz z nią wszystko wycierpię i doczekam końca...“

„...Gdy pomyślę, że za kilka dni przypada druga rocznica wybuchu wojny, mąci mi się w głowie. Jak mogłem wytrzymać i znieść te straszliwe dwa lata? Czem się to dzieje, jakim cudem, że zniósł to świat? Snać przywykliśmy obaj do tego stanu rzeczy i świat i ja — ale to jest właśnie niepojęte. Wojna kryje w sobie niezgłębioną tajemnicę, może w dalekiej przyszłości, gdy wymrze nasze pokolenie, jakiś genialny psycho-socjolog, patrząc wstecz w tę epokę, znajdzie wyjaśnienie obłądu narodów i da mu nazwę. My, uczestnicy i współcześni, już jesteśmy nawskroś przeżarci specyficzną psychozą, gubimy się w zagadnieniu i nawet najbardziej przenikliwi z nas mogą się tylko zdumiewać—i to coś znaczy, gdyż wszyscy inni tak dalece pogodzili się z wojną, że już nie zdołają wyobrazić sobie ani siebie i czasów z przed dwóch lat, ani tego, że kiedyś nastąpi wreszcie ko-

niec epopei. W tym stanie psychiki ludzkiej teoretycznie wojna może trwać do nieskończoności, to jest aż do zupełnego wyczerpania materialnego, czyli całkowitego wyrznięcia gotowego mięsa armatniego, spotrzebowania zasobów chleba, węgla, nafty i tak dalej, i tak dalej, tudzież — pieniędzy. Powszechne zbydlęcenie i ogłupienie ludzkości daje pewność, że Ludendorffom i Joffrom nie zabraknie mężnych żołnierzy i lojalnych obywateli.

Dwa lata! I cóż się staje z ugruntowaniem w człowieku pojęciem o tak zwanym czasie? Dwa lata wojny — czy to dużo, czy mało? Jak mierzyć te lata? Chwilami wydaje mi się, że wciąż jestem dopiero w początkach mego zawodu żołnierskiego, gdyż ów 1 sierpnia był jakby wczoraj... Chwilami mam przeświadczenie wewnętrzne, mocniejsze niż rozsądek i wszystkie fakty — że urodziłem się w toku odwiecznej nieprzerwanej wojny, że żołnierzem był mój pradziad i dziad i ojciec, a skolei i ja gdym podrósł stanąłem w szeregu. Okropna nuda wojny wlecze się za mną jak poczwarne obciążenie dziedziczne pokoleń i stuleci. I nędzny ludzki rozum wmawia we mnie, że to zaledwie dwa lata...

Koniec lipca 1914. Byłem i ja jako członek delegacji partyjnej na epokowej manifestacji międzynarodowego braterstwa proletariatu w Brukseli. Wraz z dziesięciu tysiącami towarzyszy dusiłem się, pocilem w ścisłości olbrzymiego cyrku, i ja wrzeszczałem do utraty głosu — precz z wojną, proletariatu nie dopuści do przelewu krwi! Na trybunie Jaurès... Pa-

trzałem zbliżka na wielkiego wodza, słuchałem w uniesieniu, nie tracąc jednego słowa, i dziś jeszcze mógłbym powtórzyć z pamięci wszystko, co mówił. On wierzył w swoje słowa i wierzyło mu dziesięć tysięcy słuchaczy, wierzył mu cały proletarijat świata — i ja wierzyłem. Tego wieczora Jaurès po raz ostatni przemawiał przed ludem Belgji do ludów ziemi. W kilka dni zginął. W ciągu tych paru dni zginął i bunt przeciw wojnie. Załamały się dusze wodzów, z godziny na godzinę rosły w masach zwątpienie, zawód, gorycz, nazajutrz po wrzaskach rewolty, po płomiennych odezwach, zanim jeszcze wkroczyła policja i prawo wojenne, rozległy się wstydlive, wykrętne hasła poddania się przemożnym okolicznościom, a w następane jutro robotnik niemiecki i robotnik francuski już szli na siebie w szeregach wrogich armij...

Poszedłem i ja — wszak mógłbym się zbuntować? Poszedłem z rozdartem sercem, wściekły z poniżenia i wstydu, zniewolony do absurdu, do wielkiej zbrodni — cóż się dziwić innym? Ale te ostatnie dni lipca z przed dwóch lat wryły we mnie głębszy ślad niż całe dwa lata okropności, które przeżyłem na wojnie. W tych dniach jak w nasieniu zawiera się cała moja przyszłość, jeżeli danem mi będzie doczekać końca, wszystkie moje zamiary i przysięgi, i czyny. Już wówczas gdy maszerowałem — nach Paris — przez ukwiecone, powiewające chorągwiemi ulice rodzinnego miasta, wśród grzmotu trąb, wśród okrzyków rozbestwionego tłumu, wie-

działem, że gdy ten pożar świata wypali się i zgaśnie, my żołnierze wrócimy do domów z karabinem w dłoni i rozpoczniemy drugą, nową, swoją własną świętą wojnę o nowy ład świata, o prawdę i sprawiedliwość. Do milionów trupów, które padną na polach bitew, dorzucimy nowe miliony, do powszechnego zniszczenia nowe zgliszcza i ruiny, będziemy bez miłosierdzia dla wrogów ludu, którzy unurzali świat we krwi.

Nie dla zemsty zbuntowanych niewolników przelejemy morze krwi w wojnie domowej, nie dla obrócenia świata do góry nogami, by nędzarze zamieszkali w pałacach, a wczorajsi bogacze, ministrowie, spekulanci, generałowie, uczeni, artyści i tak dalej poszli do kopalń i fabryk, bo tak wyobraża sobie rewolucję zdziczały wielkowiejski oberwaniec z przedmieść Berlina, bez pracy, bez dachu i bez jutra. Tak widzi przewrót społeczny giełdciarz, kamienicznik, sklepikarz, obszarnik-junkier i panujący maleńki wielki książę Schaumburg-Lippe, i mój drogi ojciec, profesor Wager. Nowoczesna socjal-demokracja, poparta przez armję proletarjuszy i chłopów, którzy z bronią w ręku wrócą z frontu, zdoła za cenę wszystkich okropności wojny domowej dać ustrój rozumny i sprawiedliwy. To samo czynić będą u siebie w domu armje wszystkich dziś walczących ze sobą narodów, albowiem to jest prawo niezłomne tej pierwszej wojny światowej, że ona ma być ostatnią w dziejach ludzkości i nie powtórzyć się nigdy.

O tem myślałem sobie w godzinie wymarszu

w pole przed dwoma laty. Tak samo czuł w tym dniu, to samo przysięgał sobie żołnierz francuski, rosyjski, austriacki, węgierski, angielski. Ta wojna z fatalną koniecznością o sto lat przyspieszy rozwój ludzkości, ale pomimo to niechże będzie na wieki wieków przeklęta!...“

„...Przed tygodniem zostałem odkomenderowany do egzekucji nad dwoma szpiegami, żołnierze z mojej sekcji wieszali, a ja musiałem nad tem stać i patrzeć. Jeden był to miejscowy chłop z gór, hucuł, drugi żyd. Do końca przysięgali się, że są niewinni i z pewnością tak było, a chociażby byli naprawdę winni... Mniejsza o to.

Cudowny poranek czerwcowy, las pachnie, polana zasypana kwiatami aż się mieni w oczach — błękit, czerwień, złoto, biel najczystsza. Niebo bez chmurki głęboko modre, dokoła góry piętrzą się tarasami, podkreślone ciemnymi smugami lasów, okryte jaskrawą zielenią łąk. Tuż biegnie, szmerze i pośpiewuje scicha na kamieniach na urwistym zakręcie dziwogłosey Czeremosz, rzeka o niewysłowionej zielonkawej toni...

Gdyby tak rzucić wszystko i ruszyć, nie oglądając się za siebie, tą drożyną nadbrzeżną wgórę rzeki i zniknąć za zakrętem?... Iść długo przez cały dzień za biegiem pluskającej wody, podnosić się coraz wyżej i wyżej aż do jej źródeł i tam gdzieś zająć w samo serce gór, w zaczarowany kraj szczęśliwości, gdzie rozpościera się baśń-ułuda, gdzie dobra

wrózka obudzi znękanego człowieka, sponiewieranego przez zmorę wojny i okaże mu piękno i łaskawość świata i powie — ocknij się i żyj! A wojna — to zły sen...

Ale taka wycieczka zwie się dezercją, bo w górze Czeremoszu, w tym kraju baśni stoją właśnie Moskale. Dawniej często rozważałem ten problem — dlaczego się dotychczas nie poddałem, pomimo tylu sposobności? Czyż może być coś prostszego, jeżeli się chce wyjść poza żelazne koło udręki, zrzucić ze siebie hańbę przymusu, oszukać wojnę? W mojem osobliwym położeniu byłoby to jedyne wyjście ze sprzeczności nie tylko logiczne, ale i nawskroś uczciwe. Teraz już nie zaprzątam sobie głowy, wiem, że tego nigdy nie zrobię. Dlaczego?

Możnaby inaczej.

— Panie kapitanie, melduję posłusznie, że nie będę wieształ hucuła i żyda, gdyż nie zgadza się to z moim honorem i sumieniem!

— Co?! Kapral Wager odmawia posłuszeństwa?! Kapral Wager chce pójść pod sąd polowy?!

— Tak jest, panie kapitanie!

Rozstrzelanie. Ale może być więzienie. Wreszcie wynik najłagodniejszy — bataljon karny. Dałoby się wymanewrować tak, żeby wypadło pięć do dziesięciu lat więzienia. Toby mi najbardziej odpowiadało. Iluż moich towarzyszy siedzi po więzieniach za niesubordynację, za występłą agitację w szeregach! Siedzi za kratą nasza chluba i nadzieja, czło-

wiek olbrzymiej przyszłości, „zły żołnierz“—Liebknecht... Odgrodzić się od wojny i od świata, odpoczywać, zapomnieć — a potem myśleć w samotności, w czterech ścianach, myśleć całą potęgą nad tem, co ma być dalej. Zawieszenie broni, pokój, demobilizacja, amnestja — i oto nadchodzi wreszcie godzina Kurta Wagera. Plan również rozumny i uczciwy jak pójść do niewoli. Ale teraz już wiem, że i tego nigdy nie uczynię.

Dlaczego?...”

„...Spotkał mnie wielki zaszczyt, raczył ze mną rozmawiać przez całe pięć minut jego ekscelencja sam dowódca korpusu. Byłem wywołany z szeregu przez mego kapitana, który mnie przedstawił panu majorowi dowodzącemu baonem, a ten powierzył mnie dowódcy pułku. Pan pułkownik zaprowadził mnie do komendanta brygady, poczem zabrał mnie generał dywizji i przedstawił samej ekscelencji. Jestem wielką osobliwością, jedyną na cały korpus, mam zaszczyt być synem tajnego radcy — „Twórcy Zwycięstwa“ — samego profesora Wagera. Najadłem się komplementów za ojca, za jego „Żółty Krzyż“ i za setki tysięcy zaduszonych i oślepionych przez niego Francuzów, Anglików i Moskali... I stał się cud w cesarskiej armji — ekscelencja raczyła podać rękę mnie, prostemu kapralowi! Stałem na baczność jak wryty i nie mogłem przemówić ani słowa, zapomniawszy języka w gębie. To też gdy ekscelencja wyraził zdziwienie, że nie jestem jeszcze oficerem,

musiał odpowiedzieć za mnie kapitan: — Doktor praw kapral Kurt Wager był przedstawiony przez pułk do szkoły oficerskiej na półroczny kurs, ale tenże, zgłosiwszy się do raportu, sam oznajmił, że nie uważa się jeszcze za dość przygotowanego do szczytnej roli niemieckiego oficera i jako kapral sekcyjny jest zupełnie zadowolony z osiągniętej w polu szarży. Ekscelencja wzniosła do góry krzaczaste siwe brwi i na tem się skończyła audjencja. A ja, odbierając powinszowania od oficerów i kolegów, długo nie mogłem przyjść do siebie ze wstydu. Musiałem go taić w sobie, bo i kóżby mnie zrozumiał na froncie? Ja tu jestem sam jeden, zatajony zdrajca ojczyzny, wróg wszystkiego co się tu dzieje i co sam czynię, wyrodek, obłąkaniec, niegodny Niemiec, zły żołnierz... Wstyd mi było, że jestem synem wielkiego Wagera!

Słynie i znaczy na cały świat wiedza niemiecka, od stu i więcej lat w każdym pokoleniu rodzą się epokowe zdobycze i odkrycia i zostają w historii wielkie imiona. Przyszedł i czas znakomitego Wagera... Chłuba nauki niemieckiej — jakże byłem z niego dumny jako uczeń-wyrostek i w uniwersytecie i jeszcze długo potem, choć różniło nas tyle... Nadeszła wojna i cała kultura, cała wiedza niemiecka stanęły do boju. Historycy mężnie fałszowali dzieje, zaczynając od Karola Wielkiego, a kończąc na Wilhelmie Nikczemnym, udowadniali odwieczne pokojowe dążenia Niemiec a napastliwość Anglososów i Franków. Socjologowie opiewali jedyną we

wszechświecie „Rasę Panów“ i cudowną harmonijną strukturę społeczną Cesarstwa, które daje Niemcom możność i pewność zwycięstwa nad całą Europą. Ekonomiści, piętząc cyfry, żonglując miliardami, domagali się ekspansji niemieckiej i gospodarczego podboju oceanów i lądów. Moraliści, etycy usprawiedliwiali wszystkie gwałty i pchali do nowych, szcycąc się nazwą Hunnów, nadaną przez całą ludzkość wodzom i żołnierzom, którzy przeszli przez Belgję... Matematycy dokonywali genialnych wyliczeń, aby oszukać własne społeczeństwo i dowieść naocznie, że rezerwy nieprzyjacielskie stopnieją znacznie wcześniej, zanim Niemcom zabraknie żołnierzy. Cóż mówić o literaturze, o sztuce... Znamy te oficjalne podżegające ody, nędzne dramacidła, fałszowane epepeje okopów, bohaterskie hymny, dostajemy tego wbród na froncie, bo to pisane dla nas. Szydzi z tej na obstalunek gryzmołonej literatury propagandowej cały front — nawet ostatni najgłupszy kucharz kompanijny. A bezczelne afisze, malowane przez bezdusznych utalentowanych artystów? Są one błazeństwem i zniewagą wobec grozy wojny i urągówiskiem ze strasznej doli żołnierza...

Twoje szczęście, drogi wuju, że masz za specjalność pająki, gdyby nie to i ty wystąpiłbyś do boju... Ale doprawdy nie mam ochoty do żartów. Ten mój stary biedny ojciec, czciciel wiedzy i Hohenzollernów, który pomimo naszych wiecznych kłótni jednak czasami usiłował mnie zrozumieć... Ten mądry, szlachetny człowiek... Czy on wie, czy przy-

puszcza bodaj w tych najrzadszych chwilach samowiedzy lub ocknienia się w nim podświadomego sumienia — że jest on jednym z największych zbrodniarzy tej wojny, że jego imię przejdzie do historii napiętnowane i przeklęte w dalekie pokolenia? Albowiem to on dał tej wojnie nieznaną potworną broń, jakby nie miała dość i ponadto środków mordowania i zniszczenia? Dał ją Niemcom dla zwycięstwa, ale przeciwnik musi ją osiąść i lada dzień—o ironjo— Francuzi, Anglicy, Moskale, Włosi na wszystkich frontach będą truć, oślepiać, dusić, palić i okrywać ranami tysiące Niemców tą samą piekielną bronią chemiczną, którą odkrył był dla pogrążenia wrogów znakomity „Twórca Zwycięstwa“ — profesor Wager. Mój rodzony ojciec...”

XIII

Pocziwy manjak wywiadu, zastępca szefa centrali francusko-angielskiej, agent aprowizacyjny linii kolejowej Berlin—Kolonja i genialny szmuglerz Abegglen dopiero od dwudziestu minut rozmawiał z dr. Ossianem Helmem i po raz dziesiąty ocierał pot z czoła, choć dzień bynajmniej nie był upalny. Dr. Helm śmiał mu się w żywe oczy i z tak cudowną prostotą odgrywał swoją rolę, że już to samo wzbudzało w napastniku najwyższy podziw ale i zamęt w głowie. Zaczynało go ogarniać jakieś absurdatne powątpiewanie... Oszołomiony tak niespodziewanem przyjęciem z trudem zbierał myśli, a chwilami oglądał się za drzwi — czyby nie należało już teraz, zaraz, bez zwłoki brać nogi za pas i umykać póki jeszcze można... Ten rzekomy kapitan francuski (Claude Déspaix) tak uparcie siedzi w skórze rzekomego amerykańskiego Niemca dr. Ossiana Helma, że niema możliwości wyciągnąć go stamtąd. Nie pomogły hasła i znaki, zawiodły już wszystkie manifestacje zdumienia, wytrzeszczanie oczu, dobroduszny śmiech, rozbijające gesty i inne perswazje. Ten przerażający osobnik postanowił sobie wytrwać

w obranej roli. Abbegglen w rozpaczy po raz niewiadomo który sprawdzał w pamięci czy nie przeoczył przypadkiem jakiegoś uzupełnienia do haseł i znaków? Nie, przedstawił się zupełnie wyczerpująco. A więc van Trothen zapomniał o czymś i Francuz pedant zaślania się teraz tym niewypełnionym szczegółikiem, choć każdy inny na jego miejscu i bez tego dodatku wiedziałby doskonale z kim ma do czynienia i nie utrudniałby pilnej sprawy. Jak go tu zażyć? Uśmiecha się zjadliwie i bierze całą rzecz lekko. A jednak tamtym razem przy analogicznym nieporozumieniu z Gretą von Senden, którą zresztą jakoby znał osobiście, już ją ciągnął do policji... Widać wówczas był w gorszym humorze. To jest chyba warjat.

— Eh bien, mon capitaine?

— Jeżeli pan jeszcze raz odezwiesz się do mnie po francusku, zatelefonuję po policję! Zrozumiane?!

— Niech będzie po niemiecku, ale proszę nie przypuszczać, że ja się obawiam policji. Chciałem powiedzieć, że pan w żadnym razie nie zadzwoni do policji.

— Dlaczego nie? Mogę to zrobić zaraz.

— Ani zaraz, ani później, ani nigdy, gdyż w podobnym wypadku zmuszony byłbym złożyć dowody, że dr. Ossian Helm nie istnieje na świecie i że takowego nigdy nie było w Ameryce.

— Ja nie istnieję?

— Tego nie mówię, pan kapitan Déspaix siedzi

naprzeciwko mnie po drugiej stronie tego właśnie stołu.

— Farsa! O ile się nie mylę, jest pan agentem kontrwywiadu i na mocy jakiegoś głupiego donosu kazano panu przytapać mnie. Źle się pan zabrał do rzeczy.

— Proszę mi wskazać łaskawie jak się mam zabrać do pana, gdyż obawiam się, że za chwilę dostanę bzika.

— Pan chyba już ma bzika!

— To samo przed chwilą myślałem o panu. Siedzieli, obserwując się nawzajem. Patrzyli na siebie z zawziętą złością. Abbegglen sapał, dr. Helm pogwizdywał jakąś niejasną melodję i czasami poziewał. Odrywali od siebie oczy i odpoczywali, patrząc w okno. Gdy znów spojrzeli na siebie, zadrgało w ich rysach coś w rodzaju powstrzymanego śmiechu.

— Panie Helm!

— Proszę?

— Dosyć tej szopy! Doprawdy nie należy przesadzać nawet w najlepszym! Jeżeli pan nadal będzie tak ostrożny, to z całej pańskiej misji zostanie sama ostrożność, a chyba nie poto jedynie odkomenderowano pana na tak doniosły posterunek?

W twarzy dr. Helma odbił się przymus i niczem nieosłonięte obrzydzenie. Spojrzał na zegarek— od pół godziny powinien był być u Rity. Hamował się, ale wydzieraa się z niego wściekłość.

— Dobrze, niech pan gada. Kiedy inaczej już

być nie może, wysłucham pana, ale proszę się śpieszyć, niech pan powie, co pan tam ma i wynosić mi się do wszystkich djabłów!

— Doskonale. Na początek nagana od pana szefa. Przed tygodniem nie chciał pan przyjąć naszej agentki, która przybyła specjalnie w pilnej sprawie i groził jej pan policją. Ten fakt niedopuszczalny został uwidoczniiony w raporcie do ministerstwa. Zapytuję, czy pan się czuje chory i nieodpowiedzialny za swoje postęпки? W takim razie możemy pana zwolnić i dopomóc mu do powrotu do Francji.

— Dziękuję za łaskawe względy. Nie jestem chory i nie mam zamiaru wracać.

— A więc przechodzę do rzeczy. Z Paryża domagają się od nas natarczywie formuły nowego wagerowskiego gazu, znanego pod nazwą Podwójnego Żółtego Krzyża.

— Niema żadnego nowego gazu i nie będzie. Profesor jest w zupełnej depresji moralnej i od miesiąca nic nie robi. Tutejsza tajna pracownia badań znajduje się w likwidacji. Ludendorff odmówił kredytów na nowe instalacje i zlekceważył odkrycie Wagera. Formułę nowej substancji przesałem w swoim czasie, zaznaczając, że nie przypisuję szczególnej wagi temu pół-odkryciu, gdyż profesor rozgoryczony przerwał studja. W sferach naukowych uważają go za manjaka. Wszystko to wyszczególniłem w ostatnim raporcie — czego wy jeszcze chcecie ode mnie?

— Sami jesteśmy naciskani z Paryża w sposób

niesłychany, pański raport nie znalazł tam wiary, w II Oddziale mają wprost przeciwne informacje, zresztą nie o to teraz idzie. Wczoraj otrzymaliśmy dla pana rozkaz, który musi być wykonany terminowo — najdalej do tygodnia.

— Słucham.

— Pomimo wszystko, co pan pisał w raportach i co pan powtórzył mi teraz jeszcze, profesor Wager uważany jest tam u góry za strasznego czarownika, który gotuje dla koalicji cios ostateczny. Nowa substancja, która wedle pańskich informacji nie istnieje, ma swym działaniem zabójczym przekraczać wszystko, co dotychczas wynaleziono w tej mierze lub nawet dopuszczano jako możliwe.

— Głupstwo!

— Owszem, ale to nic nie znaczy, rozkaz jest wyraźny i musi być wykonany.

Abbeglen przyciszył głos, wpatrzył się w Claude'a przenikliwie, nasrożył się i szeptał dobitnie, pomagając sobie energicznym postukiwaniem pięścią w stół.

— Ma pan wydostać i zbadać tajne notatki, dotyczące Podwójnego Żółtego Krzyża...

— Niema nic podobnego...

— Wszystko jedno. Wykradnie pan te papiery, gdyż profesor mógł utaić przed panem swoje odkrycie. A niezależnie od nowego odkrycia samo istnienie tego człowieka — jeżeli można tak nazwać podobnego potwora — zagraża armjom sprzymierzonym...

— Oho...

— Oraz całej cywilnej ludności Francji i Anglii, a w pierwszej linii obu stolicom. Ten szatan miał odkryć coś zaiste piekielnego, a Ludendorff zamierza podczas ostatniej ofensywy ważyć się na wszystko. Lotnicy nieprzyjacielscy zarzucą pociskami z nowym gazem pas szerokości stu kilometrów poza frontem i tak dalej... Słowem, gotują się okropności, przechodzące wyobraźnię ludzką. Postanowiono zatem w Paryżu, z uwagi na horrendalne bestjalstwo tych już ujawnionych zamierzeń oraz z uwagi na przyszłe jeszcze niewiadome wynalazki Wagera — usunąć go raz na zawsze i to w najbliższych dniach. Dajemy panu na to tydzień czasu.

— Widzę, że pan jest naprawdę warjatem...

— Niech pan myśli o mnie co się panu żywnie podoba, przynoszę panu rozkaz i na tem koniec.

— I na tem koniec — słusznie pan powiedział, bo ja nietylko nie wykonam tego rozkazu, ale go nawet nie przyjmuję.

— Co to znaczy?!

— Nic z tego nie będzie! Niech pan się nie sroży, bo to zbyt śmieszne.

— Panie kapitanie, a ojczyzna? A dyscyplina? A honor francuskiego oficera?!

— Spełniam lojalnie wszystko, do czego się zobowiązałem. Niechno pan lepiej milczy o ojczyźnie i o honorze. Zresztą, co tu dużo gadać, odpowiedz pan komu należy, że podtrzymuję w całej rozciągłości informacje, zawierające się w moim raporcie,

że jakiś nowy Żółty Krzyż jest wierutną bajką, a profesorowi włos z głowy nie spadnie. To wszystko — a teraz nie zatrzymuję pana, czyli proszę się wynosić.

Abbegglen posiniał. — Więc to tak?... Wszelkimi siłami gniótł i tłumił w sobie wściekłość. Przez twarz dr. Helma przelatowały krótkie skurcze i drgania, a oczy stanęły w słup. — To jest grubo niebezpieczny neurastenik... Ten nas dopiero może urządzić...

Zagadał z dobrodusznym uśmiechem, pocziwie i niemal serdecznie. Tak człowiek starszy i doświadczony mówi do zapalczywego młodzieniaszka, gdy trzeba mu wybić z głowy jakieś głupstwo. Nie jak ojciec do krnąbrnego syna, bez żadnego nacisku i autorytetu władzy, ot, jak stary, pocziwy wuj do małoletniego siostrzeńca, który coś przeszkobał. Pocziwy wuj bez żadnej urazy jako osoba postronna dopomaga smarkaczowi do wybrnięcia z kłopotu...

— Widzę, że kochany pan nie ma czasu, to też zabiorę mu najwyżej dziesięć minut... W tym celu kładę oto przed sobą zegarek.

— Szkoda i dziesięciu minut. Nic innego pan ode mnie nie usłyszysz.

— Wiem o tem i nie będę nastawał.

— Do mordowania ludzi przyślijcie tu jakiego draba, bylebym ja o tem nie wiedział.

— O tem niema mowy. Ale proszę posłuchać. Otóż posterunek tutejszy jest istotnie bardzo dener-

wujący, szczególnie dla oficera z frontu. Pomimo to położył pan niespożyte zasługi, zwłaszcza nie wyspał się pan przez te kilka miesięcy, choć z pewnością był pan i jest jeszcze teraz pod ścisłą obserwacją. Z ową panią von Senden odegrał pan swoją rolę znakomicie, jeżeli udało się panu zwieść taką szczywaną i kutą szelmę. W istocie było to zbędne a nawet szkodliwe, ale wykazało w panu pierwszorzędną materjał na agenta dla misyj specjalnych. Potrafi pan wytrzymać zaskoczenie — rzecz bardzo trudna. Czyjni to pan doskonale nawet wówczas, gdy to jest zupełnie niepotrzebne, tembardziej ma pan szanse sprostać realnej zasadzce, a takie rzeczy czyhają na pana każdego dnia i godziny. Dobrze, bardzo dobrze! Jednak pozwoli kochany pan, że, korzystając z naszego spotkania, nie pominę sposobności, aby zwrócić pańską uwagę na pewne pojęcia zasadnicze. Nie mam zaszczytu być wojskowym, ale od trzech lat służę na eksponowanym odcinku, na którym codzień zagraża mi szubienica.

— Do czego pan zmierza?

— Chcę powiedzieć tylko tyle, że będziemy z panem kapitanem rozmawiali na równej stopie. Wojskowi miewają czasami śmieszne uprzedzenia względem tak zwanych cywilów. Nieprawdaż? A armja jest integralną całością — obaj jesteśmy żołnierzami.

— Owszem, owszem... Ja nie mam żadnych przesądów... Niechże pan tak nie nudzi...

— Proszę posłuchać. Co do pańskich przesąd-

dów, to pomówimy i o nich. Jak powiedziałem, obaj jesteście na froncie i to w pierwszej linii. Czy kochany pan kapitan, siedząc w okopach ze swoją kompanją, odpowiedziałby tak jak mnie na rozkaz dowódcy pułku? Nie. Rozkaz mógłby być wedle pańskiego najlepszego rozumienia zupełnie głupi, zgubny dla kompanji lub zgoła niewykonalny, kochany kapitan kłąłby w duchu — ale posłuchałby bez żadnego oporu — prawda? Pan powiada, że polecenie z Paryża nie odpowiada istotnej potrzebie, że jest oparte na złych informacjach i tak dalej, a ja zapytam, skąd pan o tem wie? Co pan wogóle wie o zamiarach i źródłach informacyjnych co do broni chemicznej naszego naczelnego dowództwa, sztabu głównego, oddziału II-go i tak dalej? Czy to na panu kapitanie kończy się całe zagadnienie? Czy pan ma monopol na rozumienie sprawy? A może się pan właśnie fatalnie myli co do biegu odkryć niemieckich w dziedzinie broni chemicznej, a nawet co do samej osoby profesora Wagera? Nie można być tak zarozumiałym. A może oprócz kochanego kapitana mamy jeszcze kogoś w Ludwigshafen? W tem samym tajemnym laboratorium? W najbliższem otoczeniu profesora? Proszę się nad tem zastanowić.

— Dobrze, jeżeli jest ktoś taki, to dlaczego jemu nie każecie zamordować starego?

— Bo może jest teraz chory, może jest kobietą, a może nawet całkiem nie istnieje — wszystko jedno. Czy w okopach na rozkaz wyjścia nocą na

patrol za druty ośmieliłby się pan odpowiedzieć — niech za mnie pójdzie kto inny? Niechże się kochany kapitan opamięta!

Claude patrzył na swego gościa z taką piekielną nienawiścią, że Abegglen zarechotał, trzęsąc brzuchem, i śmiał się dobrodusznie. Na swoje niezszcęście przesadził, śmiał się trochę za długo.

— Kpię sobie z pańskich pouczeń! I z pańskich rozkazów! Niech to pan zamelduje w Berlinie i w Paryżu!

Abegglen wytrzymał ten wybuch i ciągnął dalej.

— A teraz o pańskich przesądach, których rzekomo pan nie posiada. Jest ich sporo. A więc — rozkaz na froncie i rozkaz, który przynosi moja skromna osoba. Doprawdy, panie kapitanie, tu nie ma różnicy. Przeze mnie rozkazuje panu ten sam Foch jako świeżo mianowany wódz naczelny armij sprzymierzonych i ten sam Pétain, wódz naczelny wszystkich żołnierzy francuskich, zarówno mój, jak i pański... Proszę mi dać dokończyć, wiem co pan chce powiedzieć, oto że szperanie w cudzych papierach i wykradanie dokumentów nie licuje z honorem oficera? A cóż pan tu robił przez cały czas? Pod fałszywym nazwiskiem, oszukując wszystkich, wykradał pan cudze tajemnice...

— Ależ nie o to idzie — była mowa o ordynarnem morderstwie!

— Ordynarne morderstwo... Chyba na froncie mordował pan znacznie ordynarniej! Poprostu trze-

ba dla celów natury idealnej usunąć potwora moralnego, którego samo istnienie zagraża setkom tysięcy niewinnych ludzi. Wsypie mu pan cośkolwiek do kawy, czy do piwa... Bez żadnych trudności, przy pierwszym lepszym obiedzie — a pan tam bywa co dzień na obiadach? To potrafi każdy, widział pan chyba conajmniej ze sto razy, jak to robią w dramatach filmowych? Choć pan jest chemikiem i łatwo panu samemu spreparować coś takiego, przywiozłem panu komplet gotowych proszków. Są tam piorunujące, średnie i działające przewlekle, co pan woli, na każdej paczusce znajduje się odpowiedni przepis. Trucizna jest tu jedynie wskazanym środkiem, chyba że kochany pan miałby inne pomysły?

— Nie mam żadnych pomysłów. Odmawiam wykonania tego łajdactwa! Nie wiedziałem, że przyjdzie mi odbierać rozkazy od zbrodniarzy.

— Łajdactwo... Zbrodniarze... Panie kapitanie, cała wojna jest jedną kolosalną zbrodnią i niema łajdactwa, które byłoby wykluczone ze sztuki wojennej — czyż pan o tem nie wiedział? Te i tym podobne brzydkie słowa to nomenklatura za normalnych pokojowych czasów. Mamy jeszcze jeden pański przesąd. Niech się kochany pan nie upiera, bo nic łatwiejszego, jak rozbić pańskie poglądy. Chyba, że pan się boi? Wiem, że to przykro słuchać oficerowi z frontu, ale może jednak tak właśnie jest? Tam był pan z pewnością bardzo mężny, ale tutaj... Proszę się nie gniewać, wszak musimy się porozumieć.

— Nic z tego nie będzie! Szkoda pańskiej wymowy. Profesor Wager nic ode mnie nie ucierpi.

Abbegglen już miał dosyć. Wzbierała w nim złość. Kończyła się rola poczciwego wuja wobec upartego głupiego siostrzeńca. Ten malec jest jakoś zanadto pewny siebie, trzeba to utracić... Jeżeli nie chce po ludzku, po dobroci, pogada z nim inaczej. Swoją drogą przeklinał Paryż. Alarmy o nowym gazie, kategoryczne rozkazy, demonizm starego Wagera — może to tylko popłoch biurokratyczny, wywołany doniesieniem jakichś agentów genewskich, którzy żyją z fabrykowania alarmów? Kto wie, czy ten kapitan nie ma całkowitej słuszności, ale rozkaz jest rozkazem. Van Trothen ma władzę zmiany a nawet odwoływania podobnych rozkazów, ale w danym razie choćby to nawet uważał za rozumne nie uczyni tego, zbyt mocno go naciskają. Zresztą niepodobna ustąpić choćby dla samego podtrzymania dyscypliny. Co on sobie myśli, taki kapitan? Niech pozna, że z nami nie żarty...

— Co też panu kapitanowi zależy na tym starym? Czy go pan tak pokochał? Przecież nie wymagamy, ażeby pan otruł naprzykład jego piękną córkę? Chyba, że zamierza pan wejść formalnie do rodziny, w takim razie, rzeczywiście, przykro mordować własnego teścia... Inaczej z teściową — ha, ha — ale niestety teściowa nie wchodzi tu w grę...

Claude nie zdobył się na jedno słowo, na żaden gest, nawet bodaj na spojrzenie, któreby zdradzały to, co się w nim działo. Siedział spokojnie, jakby nic

nie słyszał, co ośmieliło Abbeglena do dalszych konceptów... Obezwładniła go jakaś cuchnąca, dusząca odraza do całego świata — do tego uśmiechniętego oberszpiega, do swoich dalekich wysokich rozkazodawców, do siebie samego za to, że podjął się haniebną szpiegowskiej roli.

Nadewszystko zdjęła go odraza do wojny, jakby dopiero w tej chwili uświadomił sobie czy też odgadł niespodziewanie — czym ona jest. Przerażała go jej potworna władza, zdumiewa jej nieprawdopodobne trwanie. Dobiega czwarty rok... Czwarty rok... Tak jest — czwarty... Powtarzało się to wciąż szybko wraz z rytmem starego ściennego zegara szwajcarskiego, który machał drewnianym wahadełkiem i za każdym razem odcinał — po cztery lata. Czas gromadził się i rósł w pokolenia i w stulecia — to była wojna. Bitwa pod Charleroi, Marna, okopy we Flandrji, okopy nad Mozą, okopy nad Sommą...

Niezliczona nawała znajomych twarzy i postaci żołnierskich, a wszyscy z jednej jego kompanji. Starczyłoby ich na dobry bataljon, ba, może na jaki taki pułk!... Gdzież oni się u niego zmieszczą? Ale jedni giną i znikają, a na ich miejsca natychmiast ukazują się inni i niebawem podziewają się gdzieś bez śladu, a w ich opróżnione miejsca wsuwają się automatycznie nowi żołnierze. Ktoś mu uparcie niszczy kompanję, odrąbuje z niej całe sekcje i plutony, wybija szerokie szczyrby, ale z jeszcze większym uporem napływają skądś nowi ludzie

i stają w szeregu. Cóż to znaczy? To kompanja liczy czas wojny...

...Patrzy sam na siebie i widzi nie jedną postać, a skolei kilkanaście, jak na szeregu kartek fotograficznych, wszędzie jest to on, a każdy inny. Co za przemiany! Na samym końcu ktoś nieznamy, nieuchwytny, obcy — ale to również chyba on, ten dzisiejszy — Niemiec z Ameryki, Ossian Helm. Cóż będzie dalej?

Poczuł na barkach niezmierny ciężar, ugiął się, usiłował podołać, ale wciąż mu ktoś dokładał kamieni, lada chwila brzemień obali go i zgniecie na miazgę. Litości, jakże można tak obarczać człowieka!...

— Wytrzymaj — to wojna!...

Zaczynał się znajomy zamęt, ten, który przychodził w samotnych godzinach o zmierzchu, ten, który budził go po nocach. Stawało się wszystko niepewne, dowolne, dręczące i rozkoszne... On sam zaczynał się gmatwać w swem istnieniu, był tu i był tam, był Francuzem i był Niemcem, nazywał się i tak i owak. Świat wyglądał jak przez sen, cudaczny, nienamacalny, pełen dziwolągów. Nic nie było prawdą, głowa zaczynała się wypełniać miłą lekkością, za chwilę rozwieje się reszta i zostanie niepamięć i nieogarniona nicość. Aż tam, hen poza ciemną pustynią, która odgrodzi go od całego świata, ukaże się świetna gwiazda — jedyne, co jest — ona

— Pan zasypia? Pan nie słyszał, co mówiłem?!

Claude ocknął się. Słyszał, tak, wszystko słyszał, wszak nie dalej niż przed sekundą ten łotr wspomniał imię Rity i puszczał się na dowcipy. A na stole leży zawinięta w żółtym papierze paczuszka z truciznami dla jej ojca. Cóż, szkoda czasu na kłótnię, na gadanie, trzeba go poprostu wyrzucić za drzwi. Wstał i szybko przechylił się ku niemu przez stół. Zerwał się i Abbeggen i odskoczył od stołu.

— Czy pan zostawi mnie nareszcie w spokoju? Marsz za drzwi! Już!

— Kochany kapitan doskonale udaje warjata i po pewnej wprawie będzie miał szanse dostania się do tutejszego szpitala. To zaś w swoich następstwach może się okazać kłopotliwe dla Francji, więc będziemy nad panem czuwać. Obecnie wydaje mi się pan dość przytomny, aby spełnić otrzymane rozkazy, czekamy więc do tygodnia, powiedzmy — do dziesięciu dni. W tym czasie przyjadę znowu. Do miłego widzenia! A na ostatek chciałbym wyjaśnić pewne nieporozumienie, które, jak mi się zdaje, spowodowało, że pan się zachowuje wobec mnie tak odpornie i, że tak powiem, wyniośle. Pan kapitan na froncie był oficerem wzorowo dyscyplinowanym, gdyż poza zupełnie innymi warunkami służby i tak dalej — był tam tuż, niedaleko, na podorędziu cały aparat władzy i sąd polowy. Tutaj, we wrogim kraju... Pan rozumie, co chcę powiedzieć? Że tu można sobie pozwolić na opór władzy, Francja nie ma tu prawa sankcji ani egze-

kutywy, a zanim dojdzie do końca wojny, wobec zwycięstwa wina będzie panu zapomniana, a w razie klęski tembardziej... Otóż to jest złudzenie. Każdej chwili karząca ręka Francji może osiągnąć i zgnieść za nieposłuszeństwo lub zdradę naszego agenta czy oficera. Mamy na to sporo środków i sposobów, niechże kochany kapitan pamięta o tem. Do widzenia za dziesięć dni, przyjadę tak jak dzisiaj, porannym pociągiem.

Abbegglen dawno już poszedł, minęła godzina obiadowa w willi „Zyglinda“, a Claude wciąż siedział za stołem, zapatrzony w małą pękatą paczuszkę, zawiniętą w żółty papier. Nie myślał o niej, a patrząc nawet jej jakby nie dostrzegał, pogrążony w ciężkiej zadumie, ale od czasu do czasu ten maleńki przedmiot nastroczał mu się i wydierał go z półsennego trwania. Napomykał o czemś, drażnił. Wówczas Claude wracał do rzeczywistości i pogrążał się w zdumieniu nad tem, co się jednak stało. Mogło i to być jednym więcej przywidzeniem, gdyby nie to, że na stole leżał dowód rzeczowy i podpowiadał o tem sennej pamięci. Żółta paczuszka była coprawda jedynym śladem, który pozostał po wiadomem wydarzeniu, ale w niej zawierała się cała jego poczwarna treść.

Co chwila ukazywał się za stołem i znikał złowrogi gość, jego pan i władca, pełnomocnik dalekiej ojczyzny. Claude nie zaprzętał sobie głowy kosztowną zjawą, ani jej rozkazami i pogróżkami, jak-

by cała ta wizyta nie dotyczyła go bezpośrednio i nie mogła mieć żadnych następstw. Była ona tylko powodem do rozważań abstrakcyjnych, które nabrały niespodziewanie niezmiernej wagi. Dość powiedzieć, że nie mógł się od nich oderwać, choć czekała nań Rita...

Uczepiła go się wizja udreżonego świata. POCO, naco te cierpienia i zbrodnie? Kto pchnął ludzkość w gorejącą przepaść, w krater wulkanu? Kto oszalał — Bóg czy ludzie?! Jak długo to będzie trwać? Co z tego wyniknie?...

Pytania nawałał wybuchwały i rozpryskiwały się w pustej głowie. Jedyłą odpowiedzią była niewiarogodna oczywistość kataklizmu.

Od początku wojny Claude nie odczuwał nic podobnego nawet w najcięższych swoich momentach. W okopach nie miał na to czasu, w szpitalu zbyt dręczył go ból, a ostatnich kilka miesięcy swojej misji spędził jakby poza wojną, odpoczywał po niej i znowu nie zaprzętał sobie głowy jej zagadnieniami, a choć codziennie czytywał komunikaty z placu boju i wiedział, że sam pracuje dla wojny, było to jakieś dalekie, nieistotne. Zresztą, o czym tu było myśleć? Sprawa przedstawiała się prosto i jasno — była wojna i tyle.

Teraz ta krótka formuła rozrastała się w oczach, rozgałęziała się w olbrzymie drzewo, które już zakryło słońce, niebo, rzucało czarny cień na cały świat. W pomroce uwijały się szybkie sny, a w nich powtarzały się jego zapomniane myśli i niezliczo-

ne epizody przeżyć — za całe cztery lata. Wszystko to czekało na swoją chwilę i zważyło się na niego odrazu. Jak ogarnięty zamiecią śnieżną stracił z oczu świat, a w każdym płatku śniegu przełykała jakaś drobina jego samego, zapomnianego, którym jednak był kiedyś bodaj przez jedną chwilę. Szybko przeleciała zamieć. Claude ocknął się jak z mimowiednego zaśnienienia i pierwsze, co ujrzał, był to wciąż jeszcze ten sam żółty pakiecik. Wparł weń oczy z nienawiścią, jakgdyby w nim to streściła się cała ohyda zjawiska wojny. Gdy go wziął do ręki, zdumiał go jego ciężar. Niepojęta była waga gatunkowa substancji, którą zawierał, nieznaną, niedopuszczalną w nauce. Czyż w niej to zaciężyła wojna?...

Tak mu się przywidziało.

Gdy wszedł na most, wyjął z kieszeni swoją paczkę i cisnął ją z zamachem. Spadła i popłynęła z prądem. Roześmiał się bezwiednie, widząc, że niezmierny w swym symbolu ciężar wojny płynie, oddala się i uparcie nie chce zatonać. Śledził za nikłym żółciejącym punkcikiem, dopóki mu nie znikł z oczu. Pozbył się kłopotu.

Na nadbrzeżu wczorajsze pąki kasztanów rozwarły się nocą i wypuściły jasno zielone włochate łapki młodzięcych listeczków, zawiązki białego kwiatu, rozpierały się, potężnie pracując ku słońcu. Wzdłuż domów po ogródkach krzewy obrosły już bujną, pachnącą zielenią. Urok wiosny, dopiero dziś

poraz pierwszy postrzeżony, wzruszył go swoją łaskawością, jakby usłyszał dobre słowo na powitanie od bliskiego człowieka, który długo, długo gdzieś przebywał, ale wrócił nareszcie i przynosi dobre nowiny... Ocknęła się w nim nadzieja, ufny, śmiały rzut oka w jutro, w to jutro, od którego dawno, dawno i jeszcze przed chwilą nie oczekiwał niczego. Dostrzegł, że istnieje, może czeka go jeszcze długie życie, cóż, że się zabłąkał ze swoją dolą — to minie... Gotów był rozpocząć nowy byt, poczuł w sobie siły i ochotę i ciekawość ku nieznannej swojej przyszłości. Któż mu powie, jak rozwiąże się węzeł, na który zacisnął się jego los? Ku czemu zmierza jego fantastyczny żywot? Czyż może dążyć do czegoś, snuć plany, rządzić sobą człowiek, pozostający we władzy wojny? Ale w tym samym jarzmie dręczy się jego naród i cała Europa, setki milionów ludzi — a świat nie może przecie zagiąć, minie wojna i jak ta nowa wiosna odrodzi się ludzkość, jej prawo do życia i jej dostojność. Trzeba przeczekać.

Z ogrodu willi „Zyglinda“ przewieszały się na ulicę przez parkan pędy krzewów, okryte blade-różowem kwieciem, a pod ścianą domu bezlistna magnolja rozpościerała się jak wieloramienny świecznik i lśniła śnieżną bielą wielkich pąków. Claude stanął, oczarowany niespodzianką, bywał tu codziennie, a nie wiedział o istnieniu w starym domu Wagerów tak wspianiałego drzewa. — Ta magnolja — to ona, tajemnicza, przezczysta i taka zimna...

Z pierwszego piętra przez otwarte okno uderzył akord. Claude drgnął, jakby wywołano jego imię. Gdy wszedł i zamknął za sobą furtkę, odgrodził się od całej prawdy świata, odciął się od wojny. Zostały daleko poza nim zdarzenia tego dnia.

Śmieszny gość... Rozkazy, pogrożki... Żółta paczka płynnie sobie Renem...

Dziwaczny sen...

Już po raz trzeci stukał ostrożnie, stojąc przed drzwiami, nikt mu nie odpowiadał. Stał i słuchał. Uderzały akordy w nierównych odstępach czasu, rzadziej, częściej i rozplływały się w ciszy. Były niespodziane, bądź harmonijne, bądź drażniące w rozmyślnem skłóceniu tonów. Krótsze, dłuższe. Momenty ciszy między nimi zdawały się zawierać całą istotę tej muzyki. Było to niesamowite, dręczące ponurością i smutkiem. Za temi zamkniętymi drzwiami dopełniało się dzieło obłędu, nigdy jeszcze tak nie grała Rita... Claude nie mógł tego znieść dłużej, nacisnął klamkę. Rita siedziała twarzą ku drzwiom i spostrzegła go odrazu. Odjęła ręce od klawiatury, spojrzała ku niemu, jak wyrwana z innego świata, palcem nakazując ciszę. Przymknęła oczy i wróciła do swojej muzyki. Długo szukała akordu, pocierała czoło, zaciskała mocno powieki, jej ręce błąkały się po klawiszach, znać było, że się męczy.

— Pani Rito, niech pani przestanie. To, co

pani gra, jest straszne, stałem pode drzwiami... To było przerażające, niech się pani nie dręczy...

Odjął jej ręce od klawiatury, były posłuszne, bezwładne. Spojrzała nań z rozdzierającym smutkiem.

— Grałam o mojem nowem nieszczęściu, pan wie, co się stało? Niema go tam. Ani w Szkocji, ani nigdzie w całej Anglji, co gorsza, nieznany jest i w obozach we Francji, bo i tam pisałam, wszak mógł go równie dobrze wyratować statek francuski... Wrócono mi listy ze strasznymi oficjalnymi dopiskami. Poco ja nieszczęsna pisałam? Panie Helm, gdzież on, na Boga, może być? Boję się, boję się...

Czepiała się jego ręk, tuliła się do niego. Opowiadał jej o zawiłanej organizacji centrali dla jeńców, o ustawicznych błędach w ewidencji, przytaczał wypadki i przykłady, skłamane na oczekaniu, i mimowoli przesuwiał ręką po jej głowie, pocieszał ją jak splakane dziecko. Dotknięcie jej włosów sprawiało mu niewysłowioną, świętokradczą rozkosz. Zdawało mu się, że w tej chwili przebył niezgłębioną przepaść, dzielącą go od niej.

Rozwiał się dawny, święty urok Rity, ogarniał go nowy czar, uwielbienie rozkoszne i śmiertelnie beznadziejne. Już przemknęło się w szaleńczej wizji to, co jeszcze nigdy nie powstało mu w głowie, i wiedział, że już nie odejdzie z myśli. Zostanie między nimi jak było, nigdy Rita nie usłyszy jego wyznań, błagań, a mimo to wszystko się między nimi

odmieni. Radość mieszała się z udręką. Rita będzie jego tajemnym skarbem, zakopany w duszy, i cokolwiek się stanie, do końca życia ona będzie osią jego istnienia. Pochylił się nad jej głową i lekko, niedostrzegalnie dotknął ustami włosów. Posępnie-rdzawe i promiennie-jasne powikłane, słoneczne nici i pasemka musnęły jego twarz pieszczotą — łaską. Nie pytał, czy o tem wiedziała.

Rita odjęła mu ręce i odsunęła się od niego, odstąpił o krok. Ujrzał oczy, utkwione w sobie, pytające, zakłopotane.

— Czy pan wierzy w te listy?

Był stropiony, już wiedział, o co pyta — jakże jej odpowiedzieć... Rozpoczął zawile, usiłując skierować jej uwagę na zagadnienie o niedostateczności faktów. Fakt lub jego nieobecność nie rozstrzygają jeszcze o istotnej prawdzie w świecie odczuć... Myśl, zachcenie same w sobie mogą przeważać nad niepoznaną jeszcze rzeczywistością i są czasami samowystarczalne... Nieraz czysta fikcja dopomaga rodzić się faktom, ona je poprzedza... Intuicja, władza tajemna...

Zaplątał się i umilkł.

— To dla mnie za mądre, nic nie rozumiem. Poco mnie pan oszczędza? Ze mną też można czasami mówić poważnie, o, nie zawsze, nawet niezbyt często... Wyznam panu wręcz, że cały ten obóz jeńców w Szkocji, gdzie ma przebywać Fell... Poprostu przywidziało mi się wszystko od początku do końca. Znowu zwiodły mnie przeróżne okoliczności.

szczególne, tak wyraźnie widziałam te rzeczy... Mogłabym opowiedzieć jednym ciągiem wszystkie koleje i przygody, które doprowadziły Fella od topieli morza pod Dogger Bank aż do rzekomego obozu jeńców w północnej Szkocji... Cóż, szczególne są zawsze najłatwiejsze, wyobraźnia jest niewyczerpaną, ale główna rzecz — czy on się uratował — pozostaje ciemną, jak noc, w której nic nie widać... Byłam w rozterce, nie mogłam sobie dać rady w osamotnieniu i wzięłam pana za współnika wielkiej tajemnicy. Znowu śmieszna fikcja, bo czyż przez to, że się komuś powierzy swoje urojenie, ono staje się czemś innym? I dziś nawet, chcąc się wyplątać z tych kłamstw, zabrnęłam znowu... Nie zwrócono mi żadnych listów, bo ich zupełnie nie wysłałam, napisałam, ale bałam się zaufać strasznej rzeczywistości, której nie znam. Lepiej nie kusić prawdy, niech zostanie, jak było... Zato wysłałam naprawdę list do Freda. Fred Hasshagen, pan pamięta? To przyjaciel męża, jego zastępca na U.C. 17, ten na pewno odpisze... Jeżeli wogóle żyje... Ten Fred nie jest zbyt poważnym człowiekiem, ale zato zuch! Trudno mi przypuścić, żeby taki jak on mógł zgiąć, jak każdy inny... Zobaczymy. Panie Helm...

— Słucham?

— Niech mi pan nie pozwala kłamać! Bardzo o to proszę. Ja nie jestem histeryczką ani obłąkaną, jestem tylko bardzo nieszczęśliwą. Ratuje się, jak mogę, ale, przewaźnie czynię to głupio. Zazwyczaj wierzę w moje urojenia i wówczas jest mi dobrze,

nieraz przez długie tygodnie, najgorzej, gdy się we mnie ocknie rozsądek, właśnie jak teraz. Teraz naprawdę wiem, że jest wojna i to jest straszne. Wie pan dlaczego? Bo chociaż to wiem, to jednak nie wierzę, że to prawda, poprostu nie mieści mi się to w głowie. Jakto, tylko jakieś trzy miesiące dzieli nas od czwartego roku wojny? Panie Helm, pan to rozumie? Wiem, że wszyscy to rozumieją, nie, bo zrozumieć tego przecież niepodobna, cały świat raczej przywykł do wojny, stępsiał... A ja nie mogę.

— I ja niezawsze się z tem godzę. Często mięwam momenty zamęczenia, gdy zdrowy rozsądek buntuje się we mnie przeciwko oczywistości. Trudna to walka, trzeba ustąpić — biada temu, kto się uprze.

— Biada mnie nieszczęsnej... Ja się nie upieram, to moja głowa nie może podołać koszmarowi wojny. Fell to tylko troska najbardziej własna, najbliższa, ale nie jedyna, może nawet nie najważniejsza. Duszę mam zatrutą, a na to niema rady. Zapewne w tych czasach takich jak ja jest mnóstwo i u nas i we wszystkich krajach walczących. Ja już jestem złamana, nie dźwignę się nigdy, choć nastanie pokój... Nawet, gdyby się stał cud i Fell powrócił, nie zaznam spokoju i radości. Zastałby mnie inną, niezdolną do prawdziwego życia, chorą, chimeryczną, nie poznałby we mnie swojej dawnej Rity. Kto wie, możeby mnie nawet przestał kochać? Rozmyślałam nad tem i bardzo się boję... A ja? Czy zdol-

na jeszcze jestem kochać? Stałam się żalobnicą, zatopioną we łzach i w żalu, kocham zmarłego, kocham przeszłość, ale gdyby on wstał z martwych, ożył?... Trzeba mieć w duszy dużo pogody, dużo prostoty, żeby podołać takiemu obrotowi losu. Gdy się raz pogrzebało kogoś drogiego... Powrót Fella byłby dla nas obojga straszną próbą... I powiem szczerze, że przychodzą godziny, gdy niemal pragnę, żeby zostało jak jest. Na nic nie mam już sił.

Na fortepianie stał wazon z pękiem rozkwitłych gałązek tarniny. Rita wskazała nań z bolesnym uśmiechem.

— Widzi pan? To jest cud wiosny... Przyszła nareszcie, oczekiwana, wytęskniona, tak strasznie potrzebna zdręczonym ludzkim sercom. Któż się nią nie cieszy? Żołnierze w okopach witają jej powrót, czołgają się, narażając życie, aż pod druty, żeby zerwać garść złotych kaczeńców, które wyrosły z ziemi śmierci, z błotnistych lejów po granatach... Radują się wszyscy, choć żaden nie wie, czy dla niego przetrwa wiosna cały ten dzień, czy bodaj jedną godzinę. Ociemniały inwalida wchłania jej tchnienie i wyciąga ramiona ku słońcu... A mnie dręczy i boli ta nowa cudna zieloność, i ciepło, i słońce, drażnią mnie otwarte okna, chciałabym się wrócić w głęboką zimę, zamknąć się w domu, niech będzie mróz, śnieg, słota, wicher i długa noc... Skuliłabym się w sobie, trwałabym w nicości moich smutków... Niech na mnie nic nie woła z pól i la-

sów! Nie chcę! Nie chcę!

...Rok temu Fell był na swoim przedostatnim urlopie i właśnie jak zawsze niespodziewanie przyszła wiosna. Cieszyło nas, zdumiewało nas wszystko, jakbyśmy po raz pierwszy w życiu oddychali zapachem obudzonej ziemi i oglądali rozkwitające drzewa. Odbywaliśmy dalekie wycieczki, bawiliśmy się, jak puste dzieci, które nie zaznały żadnej troski. A za parę dni on wracał na morze i wiedziałam przecie, co to dla mnie znaczy... Mogłam jeszcze wówczas żyć chwilą, szaleć z radości, że z nim jestem, mniejsza o to, co będzie jutro...

Rita zamilkła, w jej twarzy wśród zamierających uśmiechów już przebijał się płacz. Drgały usta, głowa przechylała się coraz niżej... Nagle zerwała się, spojrzała ostro, dziko i zaśmiała się szyderczo.

— Wie pan, panie Helm? Zaczynam nienawidzić wszystkich najdroższych moich wspomnień! Czemuż nie można zabić w sobie pamięci? Żał mi życia, od którego jestem odcięta, bierze mnie wstręt do mojej niedoli. Co za nuda w tych smutkach! Zapomnieć! Obudzić się ze snu, za długo już mnie dręczą widma i upiory. Zbuntować się! Zadrwić sobie z ran i klęsk! Nie mam na to sił, a któż mi dopomoże? Sama zostałam na świecie, a żadna kobieta nie da sobie rady sama. Cóż pocznę? Dzisiaj, może przez tę wiosnę, czuję inaczej, i we mnie budzi się żądza życia, wydziera się jak te kielki nowej trawy z pod ziemi, groza mnie bierze, gdy pomyślę, że dziś jeszcze, za godzinę wrócę do mego

więziennego zasklepienia się w mroku i ponurości, a każda żywsza chwila, odczucie, nadzieja — wszystko to będzie udane, skłamane. Ludzie mówią, że jestem odziwniała, że melancholja rodzi we mnie przywidzenia, ale lekarze twierdzą, że jestem chora nerwowo. Mojemi dziwactwami, moją muzyką zwiodę ojca, zwiodę pana, ale sama siebie nie zdołam oszukać, nigdy nie zapamiętam się do tego stopnia, żeby bodaj na chwilę uwierzyć w moje chimery. To są gusła, któremi chcę odzegnać zły urok, ale ja sama w nie nie wierzę, one są nieszczerze, sztuczne. Przychodzą chwile, kiedy wstydzę się tych kłamstw sama przed sobą, a to jest najgorszy wstyd, najbardziej poniżający. Przed samą sobą grać komedje? Śmieszne jest moje życie... Powiedziałam panu całą prawdę, niech się pan ze mnie śmieje, ja jakoś nie mogę... Choć zrzadka, zazwyczaj po nocy, gdy rozmyślam o sobie, napada mnie gwałtowny śmiech, którego nie umiem opanować, ale w tym śmiechu też niema nic szczerego, to tylko nerwy, czysta histerja. Dużo trzeba siły na to, żeby zbuntować się przeciwko własnemu nie szczęściu, nawet wiem, jakby to wypadało zrobić, ale mnie biednej na to nie stać. Bo to byłoby podłe, brzydkie... Nie wiem, czy słusznie pielęgnowanie cierpienia od wieków uchodzi wśród ludzi za piękne, opiewają to poeci, idealizują wieczną żałobę po zmarłych i przesiadywanie na cmentarzach. A jednak, pomimo wojny, świat jest piękny i życie ma swój urok, choćby gdy się patrzy na te świeżo

rozkwitłe gałęzie, które zaglądały do nas przez okna... Wiosna niesie w sobie szaleństwo — skąd we mnie, znękaney i zgnębioney, zrodził się bunt przeciwko mojej niedoli? Chciałoby się ją zabić w sobie i raz na zawsze zapomnieć o tem, co było najdroższe. Ośmielam się pomyśleć, że gdybym zdołała zdeptać i splugawić to, co święte, wydarłabym się na wolność... Ale jak znienawidzić swoje ukochanie? Mścić się na niem za wszystko, co się wycierpiało? To trudniej, niż od kornej modlitwy przejść nagle do szyderstwa i bluźnienia Bogu. To straszniej nawet, niż złamać wiarę ukochanemu i zdradzić...

XIV

„Bogowie Germanji“ nie mieli szczęścia. Nie-
dość, że znakomity Hjalmar Butzke (bohaterski ka-
pitan Hoffacker a zarazem iście germański i wa-
gnerowski Wotan) siedział nadal w okupowanej
Belgji, ale alarmował w listach, że go zabrano
z Generał-Gubernatorstwa do koszar, wcielono do
kadry i niewiele brakuje, żeby go wysłano na
front. Dyrektor van Trothen robił, co mógł, latał
po wszystkich urzędach wojskowych i zamęczał
wpływowo osobistości, w pierwszej linii generała
Sittenfelda. Generał ze swojej strony robił, co mógł,
psuł i paraliżował te zabiegi na złość Evie, ażeby
ją zatrzymać w Berlinie, gdyż doszły go wiadomo-
ści, że natychmiast po ukończeniu zdjęć w terenie,
zamierza wraz ze swym kniazem wyjechać do Ro-
sj. Wśród tych kłopotów dyrektor Mundus Filmu
pewnego dnia stał się sensacją Berlina, ni mniej,
ni więcej został aresztowany i osadzony w więzieniu
wojskowym...

Cenzura wzbroniła gazetom domyślać się pod-
staw i uzasadnień tego niesłychanego skandalu, ale
i tak wszyscy wiedzieli, że aresztowanie pozostaje

w związku z wielką aferą szpiegowską. Liczni przyjaciele van Trothena ręczyli za niego honorem i całym majątkiem i nagabywali generała Sittenfelda, ale ten zawarł się w oficjalnem milczeniu i odrzucał wszelkie pośrednictwo nawet ze strony nasyłanych mu pięknych pań oraz wysoko postawionych osobistości. Sam był bodaj najmocniej wstrząśnięty tą sprawą.

Jakto? Więc centrala wywiadu francuskiego od trzech lat działała bliżej, niż pod jego bokiem? Więc kierował nią stary znajomy, niemal przyjaciel, ulubiony partner szachowy, z którym wypili tyle butelek reńskiego we wszelkich jego gatunkach?

Było to niepojęte i w najwyższym stopniu kompromitujące. Ambicja jego była dotknięta najbrutalniej, a stanowisko służbowe i cała wielka karjera wręcz zachwiane.

W śledztwie van Trothen odstaniał rzeczy potworne i gdyby ten nędznik nie zdradził się samochcąc, w ostrym napadzie podrażnienia nerwowego, jego szatańska działalność trwałaby nadal bez żadnej przeszkody. Znalezione u niego podejrzone rachunki i notatki, ale nic więcej. Aresztowany, przyznał się odrazu do swojej zbrodni, ale narazie milczał o współnikach, o agentach i o całej organizacji szajki, zato rozprawiał z ochotą o metodach wywiadu, krytykując ostro doktryny i zwyczaje niemieckie i angielskie, a bardzo wysoko stawiał pod tym względem Francję. Van Trothen był zupełnie

spokojny i na posiedzeniach z audytorem wojskowym zdradzał nawet coś w rodzaju humoru, przeplatając swoje zeznania anegdotami oraz chorobliwymi dygresjami, które wkraczały już w dziedzinę czystego absurdu. Było widoczne, że nie zdaje sobie sprawy z grozy swojego położenia. Generał narazie surowo zakazał wszelkich środków przyspieszających zeznania i podniecających w oskarżonym szczerą pamięć. Był on w strasznym kłopotcie, co począć z tą sprawą, i przeklinał godzinę, w której wydał rozkaz aresztowania. Uczynił to chyba w jakimś chwilowym zamęczeniu...

Poniosła go namiętność, ta skandaliczna afeta dawała mu jeszcze jedną i to bardzo mocną broń przeciwko Evie — wszak miał prawo wezwać ją do śledztwa i mógł ją wplątać, a w ostateczności, gdyby jeszcze nie chciała zrozumieć o co idzie — nawet aresztować. Źle się stało, trzeba było wyzekać. Agenci, śledzący van Trothena, zestawili wyczerpujące wykazy jego znajomości, wizyt, spotkań, ale w całym tym materiale nie było śladu czegośkolwiek podejrzanego. Jedynym oskarżycielem i jedynym oskarżonym w zbrodniczej sprawie van Trothena był on sam. Fakt nieznan w dziejach kryminalistyki!

Generał zmagął się ze sobą. Prowadzić dalej śledztwo, czekać, aż van Trothen zacznie gadać nie tylko o sobie, ale i o innych, a gdyby zwłóczył, puścić w ruch wiadome metody policyjne? Im szersze kręgi ogarnie sprawa, tem gorzej odbije się ona

na jego karierze, w opinii publicznej będzie naważsze ośmieszony, dość powiedzieć — szef szpiegostwa francuskiego przyjacielem szefa niemieckiego kontrwywiadu... Trzeba się będzie podać do dymisji, a bodaj że iść na front na podrzędne i tem bardziej niebezpieczne stanowisko... Wycofać się ze stosunków stolicy pod przymusem śmieszności... Klęska.

Na ratunek pośpieszył niezawodny kapitan Gutzner. Dyskretny, milczący, od paru dni już rzucał na generała pytające spojrzenia, które czekały jeno na zachętę ze strony szefa. Wówczas dopiero kapitan przemówił. Szef rozumiał się na tem, ale jeszcze się wstydził zdradzać z najtajemniejszą myślą. Wreszcie na czwarty dzień od aresztowania van Trothena, gdy sam minister zażądał raportu w tej sprawie, niepodobna było zwlekać dłużej.

— Gutzner, chciałbym znać pańskie zdanie.

— Słucham, panie generale?...

— Co my mamy robić z tem świństwem?

— Nic nie robić, panie generale. Sprawa jest jasna jak słońce. Na mocy skrupulatnego badania protokołów zeznań van Trothena każdy lekarz wyda orzeczenie, że to warjat. Trzeba go jaknajprędzej wypuścić i już. Wszystko to śmiechu warte.

Generał był oburzony. Zagadał ostro, głośno. Uniósł się, obraził kapitana. Ten zniósł mężnie obrazę i obstawał przy swoim. Ponieważ rozmawiali we cztery oczy, nie wysiłał się na zbyt obszerne uмотywowanie swego stanowiska. Chodziło o wypełnie-

nie ceremonjału pewnej przyzwoitości, trzeba było pozwolić generałowi wyzłócić się i wytargować, żeby mógł ulżyć swej radości z takiego obrotu sprawy.

— Owszem, Gutzner, niech będzie, że jest warjatem. Ale wypuścić go zaraz?

— Natychmiast, panie generale, zaraz wygotujemy rozkaz zwolnienia, pan generał podpisze i nasz motocyklista machnie się z tem do Moabitu. Z warjatami trzeba się śpieszyć, bo może zechce mu się jutro wymieniać nazwiska, wplątywać ludzi? Choć to będą ludzie niewinni, trzeba będzie prowadzić dochodzenia, sprawa się zawikła, nabierze rozgłosu i nie tak łatwo będzie ją skręcić. A tak,—da się komunikat do prasy...

— Skręcić? Panie kapitanie, co za wyrażenie?!

— Przepraszam pana generała, chciałem powiedzieć — zlikwidować...

— I cóż dalej? co z nim zrobimy?

— Zapakuje się go do porządnego sanatorjum, niech się leczy. Choćby dla tego jednego trzeba, żeby za godzinę był wolny, van Trothen to porządny kochany człowiek, zachorował z nadmiaru wyobraźni, to się zdarza starym filmiarzom, poprostu uderzył mu do głowy jakiś genialny pomysł do filmu ze szpiegostwa wojennego.

— A wiesz, Gutzner, że to napewno nic innego! Gutzner, jesteś cwaniak i psycholog pierwszej klasy!

— Pan generał jest zanadto na mnie łaskaw...

A teraz w innej sprawie — oto raporty tajnej agencji za ubiegłe pięć dni w skutku nadzoru nad księciem Uchmatowem.

— Jest co ciekawego?

— Trzymamy go mocno. Stało się, jak pan generał przewidywał. Mamy narazie trzy wypadki zbrodniczej agitacji wśród robotników fabryki amunicyjnej i dwa wypadki podmawiania żołnierzy do buntu. Wszystko sprawdzone i zeznane do protokołu.

— Hm... Pięć wypadków... Czy to się nie wyda za dużo?

— Hm... Panie generale, szkodaby było... Jeden protokulik odrzucimy?

— Myślę, że wystarczy i trzech.

— Zatem — trzy.

— A... ta osoba?

— Osoba nie była przy tem obecną, gdyż oczywiście nie dopuściłaby do podobnych wykroczeń i odnośnie protokoły nie mogłyby mieć miejsca. Co pan generał zarządza względem naszego bolszewika? Czy mamy uprzedzić nasze ministerstwo spraw zagranicznych, czy też lepiej przeoczyć tę obowiązującą zresztą formalność? Obawiam się, że ekscelecja Kriege, stróż prawa i gwarant lojalności Joffego i Comp. zechce wejrzeć w nasze protokoły — byłoby to nam mocno nie na rękę.

— Mniemam, że wszystko jest tam conajmniej autentyczne?

— Panie generale, lepiej niż autentyczne.

Było to niesłychane. Książ nie pokazywał się w ciągu całych dwóch dni. Ani listu, ani telefonu. Eva była zdziwiona, ale nie szukała go bynajmniej. Nie odczuwała niepokoju i pierwszego dnia, korzystając z wolnego czasu, wybrała się w parę miejsc z poobiednimi wizytami. Zaniedbała się w obowiązkach towarzyskich, pochłonięta swoim księciem. Była w trzech zaprzyjaźnionych domach i nigdzie nie została przyjęta.

— Państwa niema w domu?

— Owszem, są oboje państwo.

— Czy wiedzą kto przyszedł?

— Tak jest, zameldowałem — pani Eva Eward.

— I cóż?

— Państwo nie przyjmują.

Po trzech podobnych rozmowach ze służbą Eva straciła ochotę do czwartej wizyty. Dochodziły ją co prawda pogłoski i plotki o niezadowoleniu sfer towarzyskich z jej „skandalicznego“ stosunku z „bol-szewickim smarkaczem“, ale nie zwracała na to uwagi. Wiedziała, że w oczach towarzystwa berlińskiego zarówno ten „skandal“ jak i „zdradzenie“ generała Sittenfelda dodadzą jej jeszcze uroku sensacji. Przeliczyła się.

Był to dla niej cios potężny. Coś podobnego spotykało ją po raz pierwszy w życiu. Przywykła do hołdów, wszyscy ją psuli, nigdy nie potrzebowała liczyć się z tem, co powiedzą o jej postępowaniu.

Zawsze robiła co zechciała, a w momentach swoich uniesień miłosnych niebardzo przestrzegła pozorów. Tak bywało wszędzie i nikt jeszcze nie poważył się zrobić jej afrontu, dopiero te głupie Niemki—les dames boches... Napewno wchodzi tu w grę nienawiść do rewolucji, strach przed bolszewikami, bo przecież te berlińskie panie same bynajmniej nie obnoszą się ze swoją cnotą. Obraziła się za Sèrge'a, jeszcze tego brakowało, żeby jej kto miał dyktować, kogo jej wolno a kogo nie wypada wziąć sobie za kochanka! Ale nierównie boleśniej odczuła zniewagę jej własna duma, duma Evy Evard. Dobrze, będą Niemcy mieli, czego chcą, obrazili Evę Evard, niech się pożegnają z „Bogami Germanji“. Legendarna Brunhilda wraz ze współczesną Margaretą zabiorą się i opuszczą granice Niemiec. Van Trothen może ją ścigać procesami o złamanie kontraktu, chwała Bogu jest wojna, a po zawarciu pokoju ułożą się polubownie. Dokąd się uda?

Zdziwiło ją, że zamierzona wielka wyprawa do Bolszewji wydała jej się teraz niepodobieństwem. Byłby to eksperyment zbyt chimeryczny, nagle odechciało jej się wszelkich rozkoszy tej barbarzyńskiej rewolucji, które tak zachęcająco obiecywał jej Sèrge, nie wabiły jej rzezie, trupy, głód ani grzmiące hasła przewrotu społecznego. Zachwycające, tchnące zgrozą opowieści ukochanego, mniej podobne do prawdy niż do niebywałego fantastycznego filmu, teraz budziły w niej odrazę. Dlaczego? A proletarjackie instynkty Evy Evard, córki drwala z Maple Creek?

To były głupstwa. Śnać w księdze jej żywota znowu obróciła się karta.

— Dlaczego nie przychodzi ten Sèrge? — dziwiła się, jeszcze nie wiedząc, że i ten ubóstwiany, ongiś — jeszcze wczoraj — młodzieńczy półbożek rewolucji odsunął się już w niepowrotną przeszłość, odszedł do nieznanych sobie współtowarzyszy w szczęściu i w niełasce — na cmentarzysko wspomnień. Epizod z księciem Uchmatowem wyczerpał się i zgasł, odpadł łagodnie i nieznacznie jak liść jesienny. Eva czuła w sobie znużenie miłością i przedsmak nudy. Dobrze jej było w samotności. Kładąc się spać, błogostawiła czystość swej pościeli, już się w niej budził dreszcz odrazy do mężczyzny, radowała odzyskana swoboda. Tak samo bywało dawniej, tak bywało zawsze.

„Khness“ nie zjawił się i następnego dnia, i nazajutrz, i pojutrze. Czyżby przeczuł swój los? Było to dziwne, ale tak było właśnie najlepiej, oszczędzało błagań, gróźb, przykrych scen. Sama nie wiedząc kiedy, w ciągu niespełna czterech dni Eva zapomniała o nim. Miała w tym kierunku niezłą zaprawę.

Od paru dni Eva nie czytała gazet i o przygodzie van Trothena dowiedziała się dopiero po jego zwolnieniu. Z początku przeraziła się, potem się uśmieła. Zajrzała jej w oczy groza więzienia, obrzydliwego procesu w brudnej sprawie szpiegowskiej... Van Trothen pod śmiertelnym przymusem, broniąc się od szubienicy, mógł ją wydać,

a generał w zajądłości za zdradę zapewne nie osłoniłby jej przed sądem i karą... Szybko przemknęło ponure widmo jak gwizd kuli, która jednak nie trafiła.

Po chwili już nie wyobrażała sobie nawet, że generał mógłby i ją pociągnąć, pomimo wszystko jest to dżentelmen. Dżentelmenem jest również i van Trothen, jak mogła bodaj na chwilę przypuścić, że mógłby ją tak haniebnie zdradzić? A wreszcie czy to tak łatwo skompromitować, wsadzić do więzienia i zgubić Evę Evard, ubóstwianą na całej kuli ziemskiej?

Z całej afery zostało komiczne *qui pro quo* między starymi przyjaciółmi od szachów i butelki, a dla niej, która była świadomą rzeczy ukrytych, nierównie głębszy tragi-komizm — to w szyderyczym uśmiechu wojna obnażyła swe jadowite zęby.

Jak wielu przyjaciół i znajomych van Trothena wybrała się i Eva odwiedzić go dla złożenia kondolencji a zarazem gratulacji. Na Klosterstrasse zastała kilku panów siedzących dokoła stołu, zastawionego butelkami, wysokimi reńskimi kielichami i ogromnym tortem. Byli to sami znajomi. Gospodarz zerwał się na jej powitanie wzruszony i obsypał ją czułościami. Po trzech dniach więzienia postarzał, jakby wysiedział dziesięć lat. Panowie popijali, czyniąc zamęt i ożywienie, ale atmosfera była jakaś wymuszona. Van Trothen nadrabiał miną i dużo gadał, a goście poglądali po sobie ukradkiem

a znacząco, zresztą zainteresowanie towarzystwa przeniosło się niezwłocznie na Evę.

— Pani widzi, stary dostał małego bzika — szepnął jej socjaldemokratyczny poseł do parlamentu Noodt. — Pani nieszczęśliwy wielbiciel machnął srogie głupstwo, to jest możliwe tylko u nas, przy horrendalnym rozpanoszeniu się soldateski. Ten poczwiec gotów dostać na stałe manji prześladowczej. I powiedzieć, że byli starymi przyjaciółmi... Tamten łotr — przepraszam panią — przy szachach i butelce wina wyciągnął z niego jakieś niepoczytalne brednie i wsadził go, uszczęśliwiony, że nareszcie udało mu się nakryć wielki spisek...

— Z naszym starym oddawna działo się coś niedobrego, przemęczenie, kłopoty, no i wojna przede wszystkim, ja jako lekarz obserwuję niezliczone wypadki psychozy podobnego rodzaju, dojrzewało to w ciągu czterech lat a teraz zwali się na nas masowo.

— Przypuszczam, że niebawem wszyscy zwarujemy. Niepodobieństwo wytrzymać dłużej...

— Mój znajomy, bardzo ustosunkowany porucznik, zdradził mi szeptem wielką tajemnicę Głównej Kwatery, oto ostateczne zwycięstwo nastąpi w połowie...

— Czyje zwycięstwo?!

— Nasze, oczywiście — nastąpi w połowie czerwca...

— Błaga! Znamy się na tem! Świństwo!

— Niech żyje zwycięski czerwiec! Słyszeliśmy to samo w zeszłym roku.

— I w 1916-ym!

— I w 1915-ym!

— Otóż mój porucznik twierdzi, że tym razem czerwiec jest murowany. Zwycięstwo nastąpi w połowie czerwca, ale na przyszły rok.

— Co? Kiedy?!

— Boże sprawiedliwy...

— W roku 1919-ym, zupełnie serjo.

— Możemy czekać spokojnie. Zdążymy wszyscy powarjować.

— Ha — ha!...

— Pani Evo, proszę posiedzieć u nas do tego czasu, zobaczy pani monstrualny film.

— Czy już teraz nie jest on dosyć sensacyjny? Mnie wystarcza i to co widzę, doskonale się bawię.

— Pani Evo, jeszcze nic nie widać! Rzeczy niesłychane tają się u nas w ukryciu, nurtują pod powierzchnią życia, pod wszelkimi pozorami ładu, spokoju, instynktu moralnego społeczeństwa, pod okiem niemieckiego Boga, tudzież policji. Ale kto zaręczy, że jutro nie nastąpi eksplozja? Wylecą w powietrze wszystkie narodowe ideały i najwyższe głowy.

— Germanja jest w ósmym miesiącu ciąży, należy się spokój wielkiej matce, czekajmy z ufnością, a kto nie może, niech czeka z rezygnacją. Zobaczymy.

— Jesteśmy w czwartym roku tej ciąży! Niem-

cy urodzą potwora, gorszego niż rosyjski bolszewizm. Biada tym, którzy coś posiadają z dóbr tego świata!

— Jeżeli idzie o pieniądze...

— Gorzej z akcjami...

— Ale ja nie mogę uciec do Szwajcarii z moimi kamienicami...

— Ani ja z fabryką!

— Radzę panom wyprzedać się pocichu, a gotówkę przelać na banki neutralne.

— Mądra rada, ale nikt nie kupi, nawet za połowę wartości!

— To trudno, wyprzedawajcie się jaknajprędzej i kupujcie tylko złoto i brylanty!

— Tragedja!

— Dla kamieniczników i fabrykantów?

— Tragedja narodu!

— Dosyć, panowie! Powstydzmy się znakomitej cudzoziemki, która to słyszy! Pani Evo, to są tylko niemieckie „witze“, nie osolone po attyku!

— Trudno, Attyka leży w Grecji, a ta nas zdradziła, transporty wstrzymane, zapasy dawno wyczerpane, zaprawiamy nasz dowcip czysto germańską solą Glauberską...

— Pani Eva zbyt jest naszą, żeby się w jej obecności wzajemnie cenzurować. I jest zbyt świadomą naszych sił i zasobów, zarówno materialnych, jak moralnych. Mówiąc poważnie, stoimy u rogów Paryża. Anglicy stracili ostatnio w okrągłych cyfrach 300.000 żołnierzy i 14.000 oficerów i nie mają już

absolutnie żadnych rezerw. Fakt!

— Dobrze znamy te okrągłe cyfry, zaokrąglone w komunikatach, ja od wszystkich oficjalnych tryumfów zawsze odejmuję jedno zero, również okrągłe.

— A więc pan nie ma najmniejszego pojęcia o położeniu na froncie! Spójrzysz pan na mapę — po drugiej kwietniowej ofensywie uzyskaliśmy linię Bailleul, Mezville, Bethune, front wybrzusza się z dyrekcją na Boulogne — Calais. Stoimy u bram Paryża i u bram morza...

— Czy widział pan kiedy bramę morza?

— Niebawem z Calais i Boulogne nasze łodzie podwodne odetną...

— Nasze łodzie podwodne, jeżeli wierzyć komunikatom dla głupiej publiki i tajnym memorjałom Admiralicji dla ścisłych komisji parlamentarnych, już dawno powinny były doprowadzić tonaż koalicji, a nawet tonaż światowy do zera, jak tego dowodzą tablice najściślejszych cyfr Admiralicji. A tymczasem Amerykanie walą sobie przez Atlantyk jak za najlepszych czasów. W grudniu zeszłego roku Anglja zdychała z głodu, a w styczniu na kolanach miała błagać o pokój... Ale kochany wieczny Michel niemiecki nic z tego nie pamięta...

Głos zabrał van Trothen, trudno było dociec, czy mówi na serjo, czy drwi, koło jego ust ścigały się i wygładzały fałdy śmiechu a w nieruchomych, zapatrzonych w coś oczach zastygło jakby przerażenie.

— Cyfry... Die Zahl regiert die Welt... Nie wierzyć cyfrom to gorzej niż nie wierzyć w Boga! Co nam zostanie? Są czynniki mistyczne, odgrywające wielką rolę w wojnie, jedne są przeciw nam, inne zwalczają naszych wrogów. Kto je zna? Kto zmierzy ich działanie i przeciwdziałanie? Tylko cyfra! Weźmy dla przykładu ogłodzenie Niemiec i ogłodzenie koalicji, w pierwszej linii Anglii. Można sobie drwić z wielu rzeczy ludzkich i boskich, ale niepodobna lekceważyć szczurów...

— Szczurów... — westchnął ktoś.

Goście spojrzeli po sobie, jedni się uśmiechali, inni wykręcali twarze z niesmakiem, inni oglądali się niespokojnie jakby tu wymknąć się niepostrzeżenie, dziki wyraz oczu van Trothena nie wróżył nic dobrego.

— Że my jesteśmy ogłodzeni, tego sędzę nie trzeba dowodzić nawet największemu wojennemu sceptykowi, który z zasady w nic już nie wierzy. Ale koalicja, ale Anglia? Rzecz sporna. Otóż przypomnę państwu tajny raport Admiralicji, przedstawiony komisji parlamentu na jesieni zeszłego roku. W swoim czasie wlał on w nasze serca dużo otuchy. Dowiedzieliśmy się, że okręty handlowe nieprzyjacielskie i neutralne stoją po portach i nie wazą się wykraść na pełne morze. Poco mają wyruszać w drogę, kiedy przy brzegach Anglii czeka je niechybna zguba? A i na drugiej półkuli, nawet na antypodach czyha na nich „Die Möwe“, „Seeadler“, „Wolf“ ze swoim płatowcem „Wölfchen“ i z tysiącami min, które roz-

siewa w portach Indyj, Australji, Afryki południowej... A nasze najnowsze krążowniki podwodne dotarły już do Ameryki.

— A jak było z temi szczurami?

— Van Trothen, zlituj się, gdzie są twoje szczury?

— Narobił nam apetytu i zapomniał...

— Panowie, proszę nie przeszkadzać! — upominała ich surowo Eva, w strachu, że wciągną biedaka w jakieś niepoczytalne brednie.

— Nie zapomniałem, poczekajcie chwilę, będzie i o szczurach! Otóż klęska żeglugi światowej jest zupełna...

— Którędyż przybyła do Francji armja amerykańska?

— Około miliona ludzi! Armaty, konie, zapasy!...

— To rzecz inna, tu wchodzi w grę flota wojenna, eskortująca transporty... Zapytajmy lepiej, co dziś Anglicy jedli na obiad?

— Niech djabli wezmą Anglików! Ja jadłem pęczak na wodzie plus dziesięć gramów tłuszczu z niewiadomego świństwa!

— A ja brukiew z odżywczym proszkiem doktora Fidibusa. Bez chleba!

— Zapytajmyż, co dziś jedli na obiad w Anglii...

— Szczury?

— Więc to takie są twoje szczury? Van Trothen, jesteśmy rozczarowani!

— Całkiem nie jesteście rozczarowani, bo wszystko mi jedno co dziś jedli na obiad Anglicy, zato

odpowiedźno który, co będą jadły jutro szczury wszystkich dominjów brytyjskich?

— Szczury... dominjów... brytyjskich... I to jutro? Jedź dalej, bo mi się...

— Jutro? Powiedz naprzód, co żarły dzisiaj, to pomyślę o jutrze!

— Redaktorze, sam nie wiesz, że jesteś na dobrej drodze.

— Nie wiem! Nie wiem i przestańże nas człowieka dręczyć!

— Dobrze! Ponieważ nie dajecie mi być dowcipnym, powiem wprost. W wiadomym raporcie Admiralicji udowodniono cyframi, że wskutek sparaliżowania żeglugi w ciągu roku zeszłego w jednej Australji szczury zjadły trzy miliony tonn zboża przeznaczonego na eksport. W raporcie nie podano ilości szcurów, niezbędnych do takiej operacji...

— Uchodzi to zapewne za tajemnicę wojskową!

— Nie mogło być takiego raportu!

— Był! Był, w sierpniu roku zeszłego! Przypominam sobie doskonale. Z australijskich szcurów śmiał się cały parlament...

— Nasz parlament składa się z ludzi małej wiary i żadnej wiedzy, bo z tej zawrotnej cyfry trzech milionów zniszczonych tonn można wysnuć najradośniejsze wnioski. Naprzód, biorę pod uwagę potworne mnożenie się szcurów, zwłaszcza w tak sprzyjających warunkach — o tej porze niezliczone kwintyljony i więcej szcurów pożarły już całą

Australję oprócz tych nielicznych Anglosasów, którzy ratowali się ucieczką i po drodze padli ofiarą naszych krążowników korsarskich i łodzi podwodnych. Ten sam proces dewastacyjny ma miejsce w Indjach z ryżem, w Egipcie z pszenicą, w Kanadzie z owsem i tak dalej. Wszędzie szczury! Nawet Stany Zjednoczone wstrzymały wysyłkę wojsk do Europy, gdyż trzeba im gwałtownie ludzi, armat i gazów do zwalczania szczurów, które wdarły się z Kanady, zjedzonej już doszczętnie. Nareszcie dobry Bóg, któremu się jednak jak wiadomo nigdy nie śpieszy, wysłuchał naszego — „Gott strafe England“ i zesłał na nią śmiertelną plagę szczurów...

Van Trothen zamilkł, rozejrzał się po gościach, mrugnął porozumiewawczo na Evę i dopił swego kielicha. W jego twarzy zaskrzepło ciężkie zgniebienie, tylko usta rozchyłały się w jakimś obłąkanym uśmiechu.

— Ponieważ widzę, że nikt się nie śmieje, dochodzę do przekonania, że panowie biorą moje wywody zupełnie serjo. Jest to słuszne. Dowiodłem bowiem na podstawie ścisłych danych urzędowych, co znaczy potęga cyfr, którymi nas raczą w enuncjacjach oficjalnych, jeżeli zastanowić się nad nimi z logiką i z ołówkiem w ręku. Upajanie się cyfrą jest formą obłądu wybitnie niemiecką, ostrzegam przeto moich drogich przyjaciół...

Dalsze wywody przerwało uroczyste wkroczenie pana tajnego radcy Bunterbardta z ministerstwa spraw wewnętrznych, który demonstracyjnie raczył

odwiedzić ofiarę karygodnej lekkomyślności klikł wojskowej.

— Drogi przyjacielu, dziś w Niemczech nikt nie jest pewny jutra. Każdy z nas nie noszących munduru i długich butów jest podejrzany o zdradę ojczyzny, wojskowa sieć inwigilacyjna, rozbudowana do absurdu, potrzebuje swego usprawiedliwienia. Tyśiące wyższych i niższych oficerów, aspirantów i feldfeblów znajduje tam najlepszą ochronę przed frontem...

Tajny radca z całą arogancją zajął miejsce przy Evie, zabierając krzesło pośła Hundiusa, który nieopatrznie powstał był, aby powitać dygnitarza. Spożywał łąpczywie wielką porcję fenomenalnego tortu i popijał gęsto. Jedząc, poglądał na Evę znacząco i kiwał nad nią głową z wyrazem ubolewania.

— Pan radca ma mi coś do powiedzenia?

— Ach, pani, chciałbym i ja wyrazić pani... Pani rozumie... Wobec tego nic nie powiem, ale niech pani wierzy...

— Nie rozumiem...

— Dobrze! Dobrze! Pomówmy o rzeczach weselszych. Van Trothen, ten tort jest chyba z prawdziwej mąki?

— I z prawdziwym cukrem, panie tajny radco!

— Jest to jednak wykroczenie... Obowiązany jestem z tytułu mego urzędu...

— Panie tajny radco, jeszcze porcyjkę — gotów jestem pójść za to do kozy, mam już wprawę... Nadmienię, że w tym torcie i jaja są prawdziwe, i masło...

— Cudowny specjał! Któryż to z naszych cukierników wyrabia te pyszności? Chciałbym na urodziny żony...

— O nie, panie tajny radco! Znamy się na urodzinach żon tajnych radców, dyktatorów aprowizacji! Nie będę Judaszem temu zacnemu człowiekowi!

Tajny radca nabrał drugą porcję i, pochyliwszy się ku Evie, zaszeptał:

— Sądzę, że to chwilowe nieporozumienie, na pewno go uwolnią. Z legacją sowiecką musimy być narazie w dobrych stosunkach... Sittenfeld zapomniał się fatalnie... Uniósł go afekt, zemsta na rywalu... Trudno mu się dziwić, ale z punktu widzenia interesów państwa jest to karygodne nadużycie władzy. Nasz genialny hrabia Mirbach knuje z „Wcikiem“ w Moskwie kolosalną intrygę dyplomatyczną, która może zmienić postać Europy, a my tutaj...

— O czym pan mówi, panie radco?

— Jakto o czym? O sprawie księcia Uchmatowa.

— A co się stało? Nie widziałam go od paru dni...

— To niesłychane! Ależ aresztowano go przed trzema dniami!

Eva była zdumiona. Niemniej zdumiony był i tajny radca. Zatrwożył się, zaszeptał.

— Jakto? Jakto? Pani nie wiedziała? Cały Berlin o niczem innym nie mówi, cały Berlin się zaśmiewa z generała. Gdyby nie cenzura wojenna, wyobrażam sobie, co za arcydzieło dałby nam Gulbransson

w „Simplicissimusie“ w serji swoich małych obrazków... Ale zapominam się... Bardzo panią przepraszam! Przykro to być pierwszym, który oznajmia złą wieść...

Eva już się opanowała, uśmiechnęła się swobodnie.

— Z generałem rozstaliśmy się dość oryginalnie, gdyby nie to, podziękowałabym mu za ten wybryk gorliwości. Wyświadczył mi zapewne wbrew woli wielką usługę.

— Pani jest okrutnicą!

Van Trothen snuł się po salonie, przystawał to tu to tam, zatopiony w myślach i zdawał się zapominać o gościach. Pokazywano go sobie nawzajem oczami ze współczuciem, szeptało, jutro miał być przewieziony do sanatorium Hansa Schönowa w Zehlendorfie pod Berlinem. Doktor Olympius, stary przyjaciel, który zamieszkał z nim dla opieki, zaczął wyprawiać gości, prosząc, by wynosili się nieznacznie po jednym, bez żadnych pożegnań. Eva podniosła się pierwsza, lekkim uśmiechem i jednym skinieniem głowy pożegnała całe towarzystwo i wyszła. Panowie zaczęli się unosić nad tym uśmiechem i nieznacznym ruchem głowy.

— Co za wdziek, co za czar!...

— Jakaż kobieta potrafi wyrazić tyle w jednym geście...

— To wyuczone przed lustrem...

— Przenigdy nie dojdzie się do tego żadną

sztuką! Czy to mało znamy uroczych gwiazd, a cóż ich cały kunszt przy jednym półuśmiechu Ewy?

— Fenomenalna kobieta... Ach, panowie, kobieta... Kobieta... Cóż to za kobieta!...

— Redaktor przypuszcza, że nas trzeba o tem przekonywać? Każdyby chciał...

— Co ona może dać człowiekowi w miłości!... Ach, moi drodzy, to przechodzi wszelką wyobraźnię...

— Zapytaj się pan generała Sittenfelda... Znać się tak dobrze.

— Ciekawy byłbym, jak to było z tem rewolucyjnym książątkiem. Podobno cudowny chłopak?

— Eva Eward musiała go w cudowny sposób wprowadzać w kunszt miłosny, ach, gdyby tak bodaj przez dziurkę od klucza...

— Do diabła, daj pan spokój, bo ciarki biorą...

— Te wiadome ciarki sprawiły właśnie, że generał chwycił szczęśliwe bolszewiatko w swoje żelazne łapy.

— Potrzyma go i puści.

— No nie, już on się zaopatrzył doskonale w dowody, w świadków i tak dalej, kontrwywiad ma na wszystko swoje sposoby.

— Eva pochodzi trochę po wyższych szczeblach naszej berlińskiej drabiny i wyciągnie swego małego.

— No, Sittenfeld potrafi obronić swoją zdobycz, to jest wilk!

— Eva dobrze zna kogoś takiego, przed którym ten straszny wilk musi warować jak pudel.

W przedpokoju van Trothen dogonił Evę, dziękował najserdeczniej za odwiedziny, ubrał ją, wycalował po rękach ku jej wielkiemu zdumieniu, gdyż zdarzało się to poraz pierwszy od początku ich znajomości. Już zamykał za nią drzwi, Eva żegnała go ostatnim uśmiechem, gdy nagle wypadł na schody i, ująwszy za obie ręce, bez słowa wciągnął ją z powrotem.

— Pani Evo, lepiej będzie... No cóż... Powiem pani wszystko... Żeby pani potem nie mówiła, że van Trothen jest bez honoru... Proszę, proszę — o tutaj, na małą chwilę...

Wprowadził ją do bocznego gabinetu, którego ściany wyklejone były szczerze niezliczonymi photosami z dziesięciu lat działalności wytwórni Mundus-Film. Dookoła pokoju obiegał jaskrawy fryz, złożony z barwnych zdjęć Evy Evard we wszystkich niemal kreacjach od samego początku jej wielkiej kariery.

— Pani Evo... Widzi pani przed sobą człowieka najnieszczęśliwszego na świecie. Nie jestem skrzywdzony przez nikogo z ludzi. Jestem zdruzgotany przez los i dni moje są policzone. Ślepe fatum zepchnęło mnie na samo dno nędzy, ale i na tem dnie jestem istotą najniebezpieczniejszą, gorzej niż jadowity wąż, gorzej niż najbardziej perfidny zdrajca. Pani Evo, niech się pani strzeże! Mówi do pani przyjaciel w chwilowym przebłytku opamiętania, albowiem i takowe zdarzają się jeszcze w mojej nieszczęsnej głowie... Niech pani nie patrzy na mnie z tem cudownem swoim zdumieniem, niech pani słucha, na

miłość boską, niechże pani siada! Muszę się bardzo śpieszyć, bo mi się znowu wszystko zacznie mącić...

Przymknął oczy, rysy jego zwały się w skupieniu i na twarzy odbiła się pieczęć śmierci, wyglądał na trupa. Gdy się ocknął zasiadł naprzeciwko Evy i, unikając jej spojrzenia, zaczął mówić szybko, pomagając sobie gwałtownymi gestami, które niczego nie wyrażały, tylko snąć odprężały w nim zbyt męczące napięcie nerwów.

— Nie mam wrogów, oprócz siebie jednego, ale tego nie mogę się pozbyć żadną miarą, gdyż noszę go w sobie. Nie wierzę w żadne leczenie i wiem, że zginę. Tak jest... Brak mi sił na to, żeby skończyć ze sobą i odejść z godnością, jakbym tego chciał. Zresztą pogubiłem gdzieś moje cyjankali, a do rewolweru czuję odrazę... Mniejsza o to, nie będę pani zaprzętał mojami kłopotami. Wie pani dlaczego mnie aresztowano? Sittenfeld nie miał co do mnie nigdy najślabszego podejrzenia, to ja sam oddałem się w jego ręce, nie mogąc znieść myśli, że jestem śledzony na każdym kroku. Opowiedziałem mu o sobie szczerą prawdę, potem na badaniach w protokółach potwierdziłem to na piśmie, dodając zresztą wiele rzeczy przeważnie zmyślonych a nie należących do sprawy. Coś mnie pchało do zguby, a zarazem coś mnie jeszcze broniło przed zbrodnią zdrady wobec innych, w tej liczbie i wobec pani, ale to może zawieść w każdej chwili. Moi ludzie na wieść, że jestem wzięty, rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony świata, który mógł uciekć zagranicę. Teraz,

gdy mnie zwolniono i w oficjalnym komunikacie — pani wie, dziś ukazał się w gazetach — jestem przywrócony do czci, ale zarazem ogłoszony za coś w rodzaju obłąkanego, zaczyna się najniebezpieczniejsza faza dla naszej tajnej centrali. Każdy z naszych i pani również jest na łasce i niełasce zwarzowanego diabła, który we mnie, skądinąd uczciwym i mężnym van Trothenie, obrał sobie siedlisko. Choćby mnie Sittenfeld nie ruszył i zostawił w zupełnym spokoju, ja sam przyjdę do niego, czuję to w sobie nieomylnie... Ale wiem, że wypuścił mnie tylko dla łatwiejszej obserwacji, a właściwie w słusznym przekonaniu, że na wolności moja psychoza rozwinie się dla niego pomyślniej niż w samotnej celi i że pewnego dnia sam zgłoszę się z dalszemi rewelacjami, wyznaniem — rachuba nieomylna...

Zaśmiał się i dość długo chichotał bezmyślnie jak obłąkany, a z oczu kapały mu łzy. Evę ogarnęła litość nad taką nędzą, ale jeszcze bardziej odraza, gdzieś w pobliżu czaił się strach...

— To co pan mówi jest niemożliwe! Rozumie pan? Niech mi pan patrzy prosto w oczy — tak. I niech pan słucha! Pan wszystko skłamał, to za nadto fantastyczne. Prawda? Proszę się przyznać!

Van Trothen był pod władzą jej spojrzenia, zapatrzył się w głębię tych oczu i zapomniał o swoim nieszczęściu, o sprawach centrali, o Sittenfeldzie, o wszystkim. Zdawało mu się, że gra z Evą w jakimś filmie pod obiektywem aparatu w przeraźliwym blasku jupiterów. Moment był ważny, zdejmowano

ich w wielkiem zbliżeniu, trzeba było uważać na każde drgnienie twarzy, cała treść filmu, wszystkie osoby i obrazy przemknęły się przed nim w błyskawicznym przyśpieszeniu... Z roli wypadło, że on ma zgubić Ewę, przez niego ta przepiękna kobieta pójdzie pod topór kata i teraz patrzy weń badawczo, chce odgadnąć, czy on zdradzi jej zbrodnię czy przemilczy...

— I cóż?!

W tym głosie zabrzmiało zniecierpliwienie, w oczach błysnął gniew. Przeląkł się jak małe dziecko. Zaczął się tłumaczyć i usprawiedliwiać pośpieszenie, zająkliwe, pochlipując.

— Mówiłem świętą prawdę... Tak jest, pani Evo, proszę się na mnie nie gniewać... I cóż, że się to wydaje fantastyczne? Przecież przez całe te cztery lata każdy mój dzień, każda godzina były fantastyczne! Więc i koniec tego koszmaru jest absurdalny i dziki — nie do pojęcia, ale w tem jest logika olbrzymiego łańcucha faktów. A wreszcie, widać nie mogło się to skończyć inaczej, trzeba się z tem pogodzić i już... Niechże się pani zlituje nade mną! Niech pani tak nie patrzy!

— Jakto, więc ja mam uwierzyć, że pan... Mniejsza o pańskich pomocników i agentów i o tę całą kanalję zaprzańców, kupionych za francuskie pieniądze, ale ja? Panby mnie wydał? Mnie?!

— Tak jest! Niestety, to właśnie pociąga mnie straszliwie, zapewne pani będzie pierwszą, która padnie ofiarą mojego szaleństwa.

- I co panu z tego przyjdzie?
- Nic, prócz hańby.
- Ależ pan chyba naprawdę jest warjatem?!
- Jestem, jestem... Niech mnie pani zabije... Co za szczęście zginąć z pani ręki!...

Eva roześmiała się głośno, potoczyście, jej srebrzysto-dźwięczne koloratury oszołomiły znękanego van Trothena. Wnet zaśmiał się i on cieniusiętko, piskliwym, płaczkliwym dyszkantem. Podnieciło to Evę, a ona skolei porwała go za sobą. Śmieli się, prześcigając jedno drugie jak opętani, trwało to z minutę. Wreszcie van Trothen opamiętał się pierwszy, wstał i zaczął mówić rzeczowo, rozumnie i stanowczo, po swojemu, po dawnemu.

— Pani Evo, pani musi wyjechać stąd jaknajprędzej. Jutro! Lepiejby było — jeszcze dziś na noc. Niech pani rzuci wszystko, niech pani zostawi rzeczy, walizy... Idzie o pani życie! W wypadku najwyższej łaski dostanie pani dożywotnie ciężkie więzienie. Pośpiech! Pani Evo! Schnell! Schnell! Formalności potrzebne do wyjazdu zabrałyby pani przy największych protekcjach z tydzień czasu, a do tego paszporty zagraniczne idą przez biuro Sittenfelda, ten pani nie wypuści, za to ręczę... Dam pani adres i hasło, nawet parę słów polecenia. W pewnem mieście zaopiekują się panią, stamtąd przeprowadzą przez nasz tajny punkt graniczny i już...

- Ależ ja tak nie mogę natychmiast...
- Więc pani zginie marnie!
- Czyż pan nie wytrzyma kilku dni?!

— Nie wiem, czy wytrzymam przez jedną godzinę po pani odejściu... Już mnie kusi telefon... Ach, ten telefon...

— Otóż oznajmiam panu, że nie boję się pana ani pańskiego telefonu, rób pan co chcesz, ja zostaję.

— Pani jeszcze liczy na Sittenfelda? Jakież to śmieszne! Ależ on panią zgubi, zmiażdży z rozkoszą!

— Jeżeli uwolnił pana, znaczy to, że nie uwierzył w pańskie samooskarżenie, tak samo nie będzie wierzył w rewelacje obłąkanego co do innych, a więc i mnie nic nie grozi.

— Proszę się nie posługiwać logiką ani rozumowaniem, to wszystko nanic z naszym generałem, jego taktyka wobec mnie jest na to zbyt osobliwą... ale nieomylną. Pani Evo, błagam, usłuchaj mnie!

— Czyż nie ma pan nikogo, ktoby pana pilnował i nie dał panu robić głupstw? Na tyłu przyjaciół?

— Pani zapomina, moi przyjaciele to porządni Niemcy, żadnemu przecież nie mogę się przyznać, że jestem szefem francuskiego szpiegostwa, a moi ludzie rozpierzchli się i będą mnie unikać jak zapowietrzonego. Żaden się nie pokaże, nawet ten jedyny, na którego liczyłem zawsze w każdej potrzebie... Jestem samotny jak pies, oddany na pastwę swojego demona.

— W sanatorium pan odpocznie i opamięta się.

— W Zehlendorfie już o tej porze oczekuje mnie agentka w postaci najpiękniejszej pielęgniarki, wyznaczona przez Sittenfelda z jego ścisłą instrukcją.

ta mi już doskonale pomoże... Jaka pani naiwna! Czy pani zapomniała, że jest wojna?

Eva uparła się. Wyjechać? Owszem, sama miała ten zamiar, ale uciekać tak jak stoi, nagwałt? Nie! Nie znosiła przymusu. Pozatem nie mogła jeszcze uwierzyć, żeby jej groziło prawdziwe niebezpieczeństwo, van Trothen jest bezsprzecznie chory nerwowo, ale to nie znaczy jeszcze, żeby miał naprawdę popełnić jakieś szaleństwo.

— A cóż będzie z „Bogami Germanji“?

— Mój nowy wspólnik pan Kampf wypłaci pani resztę honorarjum, należność prześlemy w ciągu tygodnia na bank w Genewie.

— A dalsze zdjęcia?

— Pani Evo, nie pora na żarty! Uciekaj! Ratuj się, póki jeszcze można!

Ujął ją mocno pod rękę i podprowadził do samej ściany, odkręcił kontakt i pokój zalało ostre światło.

— Patrz!

Był to jaskrawy kolorowany photos Evy z przedwojennego filmu „Tajemnica Domu Gry“. Bohaterka siedzi na ławie oskarżonych pod zarzutem morderstwa starego lorda Patstone. Przewód sądowy ukończony, już mówili prokurator i obrońca, przysięgli udali się na naradę. Eva zapatrzona na widowie, w jej twarzy legła już pieczęć śmierci. Dowody zbrodni są oczywiste i niezbite, a jednak każdy ujrzy w tych oczach prawdę — bohaterka jest niewinna. Wie, że zginie, wszystko jest przeciw niej,

ale przez rozpacz i strach przebija ekstaza, wiara w niemożliwe — tylko cud może ją uratować. I naturalnie w ostatniej chwili zjawi się cud filmowy.

— Pani Evo, jeżeli mnie nie posłuchasz, będziesz miała sposobność odegrania jeszcze raz tej roli. Wiem, że zachwycisz salę sądu, która zresztą będzie pusta, bo sprawy tego rodzaju odgrywają się u nas przy drzwiach zamkniętych. Ale tym razem będziesz naprawdę winną i to nie będzie żaden film z happy end'em, cudem na samym końcu, tylko prawda. Widzę cię na podwórzu więziennym... Kat z toporem i pień, na którym rzemieniami przytwierdzone jest twoja przepyszna głowa... Widzę straszliwie wyraźnie... Bo, powtarzam, to nie dramacidło, nagrywane w atélíer... Zrozumże to nareszcie, póki czas, ty Evo Evard, rozpieszczona przez los i ludzi! Ty, która tak się ubawiłaś życiem, aż ci się zachciało poigrać z wojną... Zginiesz!!

Podczas tej tyrady w uchylonych drzwiach ukazała się wielka czerwona tłusta twarz, poczciwa i jowialna.

— Przepraszam państwa... Czy można?

Van Trothen rzucił się na przybyłego i oplótł go ramionami. Łkał, szlochał i bełkotał słowa niezrozumiałe.

— Dobrze, dobrze... No już dobrze... Van Trothen, wstydźże się u diabła... Mam zaszczyt i honor przedstawić się wielkiej Evie Evard, której urok i sława... Jestem Abbegglen, przyjaciel naszego kochanego dyrektora... Kochany dyrektor jest jak widzę

porządnie zdenerwowany... ale bo też trafiła go niewiarogodna przygoda... Ha — ha — ha! Van Trotten, oskarżony o szpiegostwo, ha — ha — ha!... Aresztowany przez starego przyjaciela... Ha — ha — ha!

— Nareszcie, Boże miłosierny — nareszcie! Jestem uratowany! Abbegglen, biorę za świadka tu obecną panią Evę i zapisuję ci cały mój majątek. Komuż mam go zostawić, jak nie temu, który...

— Ostrożnie, dyrektorze, poco te komplementy?

— Evo, pan Abbegglen jest jednym z najmężniejszych żołnierzy tej wielkiej wojny, gdzie tylu męźnych... To więcej, niż iść do ataku w ogień huraganowy... To gorzej, niż wisieć na aeroplanie na trzy tysiące metrów wśród pękających szrapneli... On włazi w paszczkę samemu djabłu! Pogardza śmiercią i to jaką śmiercią... Wszystko dla honoru i przyjaźni...

— Dyrektorze, co sobie pomyśli pani Evard?

— Podziękuj mu, Evo, albowiem to w nim objawił się nasz Deus ex machina, cud filmowy! Już on przypilnuje mojego demona, może go nawet we mnie zdusi. A jeżeli nie da mu rady inaczej, to nie zawaha się i zamorduje i mnie samego — i dobrze zrobi. Popatrzno w jego dobroduszne oczy, spojrzysz na tę zacną gębę i, że tak powiem, głupowatą — i nie daj się uwieść pozorom. Ten się nie zawaha...

W pewnych godzinach w ciągu ostatnich dni Evę napastował przykry niepokój, chwilami przemie-

niał się on w napady strachu. Wyglądała przez okno i naraz ulica stawała się wrogą, wszyscy przechodnie z Behrenstrasse, którzy nic o niej nie wiedzieli, gotowi byli na pierwszy znak stłoczyć się u bramy hotelu Windsor i wśród tumultu i wrzasków zażądać jej głowy. W uprzejmym, uniżonym uśmiechu pokojowej widziała obłudę i zdradę. Portjer zdawał się wiedzieć o wszystkim. Nawet wśród odwiedzających ją panów odróżniała zatajonych wrogów, nasłańców Sittenfelda. Conajmniej raz do nocy z zawikłanych nie do zapamiętania snów wynurzał się strach, budził ją i dręczył już na jawie, szeptał, groził, naglił do pośpiechu.. Uciekaj! Uciekaj!

Była na wyjeździe i czekała tylko wiadomości od Abbegglena, gdyż zapewnił ją, że osobiście odstawi ją całą i zdrową na terytorjum Szwajcarji bez żadnych oficjalnych zezwoleń i wiz, które w tych czasach, przed nową ofensywą były wogóle zawodne, a przedewszystkiem niepotrzebnie zwróciłyby na nią uwagę. Sprawa van Trothena była najosobliwszą na świecie. Sittenfeld knuł coś nad wyraz misternie i pocziwiec Abbegglen potrzebował około tygodnia czasu na zorientowanie się w położeniu, a zresztą siedział w Zehlendorfie nie opuszczając ani na chwilę przyjaciela i pilnując, by ten nie puścił się na jakiś kawał, który odrazu zgubiłby wszystko.

— Kochany szef jest w fazie początkowej, najostrzejszej i męczy się bardzo, gdyż przeważnie przebywa w stanie zupełnej świadomości i dręczy się. Napady zdarzają się po parę razy na dzień, a choć

krótkie, są groźne, gdyż nasz drogi chory stara się mnie oszukać wszelkimi sposobami, co się zresztą nie udaje, i wówczas szuka sojuszników u lekarzy, a nawet wśród pielęgniarek. Raz wymknął mi się, ale wiedziałem gdzie go szukać — znalazłem go w miejscowym biurze pocztowym. Ten stary łobuz czekał na połączenie telefoniczne z Berlinem. Ha—ha! Nigdy się tak dobrze nie bawiłem, wydaje mi się, że siedzę na beczce z prochem, dokoła której mój kochany przyjaciel krąży nieustannie z zapaloną głownią. Niemniej proszę być zupełnie spokojną, w każdym razie dam sobie z nim radę... Nawet w najgorszym razie... Ale tymczasem proszę nie mówić nikomu, że pani wyjeżdża... Nikomu!

Ogarniała ją tęsknota za wiosną na słodkiej ziemi francuskiej, za ukochanym Paryżem. To miasto było jedyną jej ojczyzną, tam miała prawdziwych przyjaciół, tam zdobyła sławę. Brak jej było słodczy tamtejszego powietrza i melodji mowy francuskiej, potężnego rytmu i oddechu stolicy świata, znajomych twarzy, znajomych ulic.

Pocóż, goniąc za przelotnem zachceniem, rzuciła ten kraj? Żeby zobaczyć jak wygląda wojna po tamtej stronie frontu? Zażyć przygód i niebezpieczeństwa, spróbować swoich sił na śliskiej drodze intrygi wojennej? Może poto, żeby spotkać swojego bolszewika? A może tylko poto, żeby tu zginąć zanic, marnie i śmiesznie i zostawić swoje imię w rocznikach tej wojny, dla koalicji opromienione bohaterstwem, które nie miało miejsca, dla Niemców ska-

lane wielką zbrodnią, której też nie było. Gdyby zginęła, jej złowroga sława będzie fałszywą, a koniec Evy Evard — absurdem, tragifarsą. Będą ją wspominali narówni z Mata-Hari, tancerką jawajską, ale tamta przynajmniej czegoś dokonała, zarobiła na swoją śmierć. O niej to wspominał Sittenfeld, że godna była żelaznego krzyża i żołnierskiej mogiły a nad nią w dniu pogrzebu honorów wojskowych... Aż zazdrość...

Eva widziała olbrzymie nagłówki w *Matin'ie*, w *Journal'u*, obwieszczające jej bohaterską śmierć dla sprawy Francji. Pompatyczne frazesy gazeciarskie, fałsze zmyślane przez bezczelnych reporterów o jej doniosłych czynach, o jej fantastycznych przygodach, godnych brukowych romansów feljetonowych, o tysiącach żywotów żołnierskich, ocalałych dzięki jej informacjom i ostrzeżeniom... W Paryżu, w Londynie, w Rzymie, w Ameryce i na całym świecie tłumy cisną się na jej stare filmy, wznowione dzięki kolosalnej reklamie, jaką stworzyła jej śmierć. Francuski związek artystów filmowych, Syndykat wytwórców wraz z gronem jej przyjaciół olbrzymiami klepsydrami ogłaszają uroczyste nabożeństwo żałobne, zapewne w Madeleine — i kto wie, czy kochany stary przyjaciel, gubernator wojenny Paryża nie odkomenderuje nawet na tę uroczystość jakiej półkompanji garde municipale? Powstanie cała literatura o Evie Evard, o jej życiu, o jej genjuszu, o jej kreacjach i mnóstwo skandalicznych elukubracyj tandety w jaskrawych okładkach na najohydniejszym

papierze wojennym, z fotografjami, z „autentycznymi“ listami, pełne potwornych łgarstw... Cała jej sława będzie wierutnym fałszem i to przejmowało ją wstydem i wstrętem. Stąd też płynął strach przed podobnym końcem.

Tembardziej dusza wydzieriała się z niej do Paryża, zdawało jej się, że wyjechała z Francji przed wielu laty, gdy od tego czasu nie upłynęło i pół roku. Zatęskniła za rojowiskiem wielkich bulwarów i za wspaniałością bogatych dzielnic Etoile, la Mouette, parku Monceau, i za uliczkami starego miasta poza ratuszem, na wyspie św. Ludwika. Wabił ją goetycki zmrok witraży katedry Nôtre Dame, kościoła St. Germain d'Auxerrois i labirynt Louvre'u, gdzie miała swoje ukochane ołtarze świętości — Nike Samotrakeńską, Giocondę...

Stanąc na moście Pont des Arts w sercu miasta i spojrzeć na prawo i na lewo, wgórze i wdół Sekwany, ujrzeć panoramę Paryża ze szczytu Montmartre'u od Sacré Coeur, z Łuku Tryumfalnego, z tarasu parku w Meudon... Wiosna wśród polan i gajów Chaville, w lesie St. Germain en Laye, wiosna Francji — co za cud...

Gdy uprzytomniła sobie, że w tę czarowną porę narodzin wiosny pola, i lasy, i wzgórza, i rzeki słodkiej Francji są pobojuwiskami, gdzie w słońcu, ciepłe i w świeżej zieleni codzien giną tysiące synów tej ziemi, zdjęły ją zgroza i żal i rozwarło się serce w zapamiętałem ukochaniu nieszczęsnego narodu, jakgdyby odezwała się w niej krew ojca, którego da-

leki przodek, zanim przebył ocean i zagubił się w puszczach Kanady, był jednak w szeregu pokoleń Francuzem. A jednocześnie w tej samej sekundzie czasu zbudziła się w niej i rasowa nienawiść do najeźdźcy ojczyzny, do dziedzicznego wroga, do Niemca.

XV

Front wypiętrzył się w fantastyczną linię ku zachodowi, ku morzu i wygiął się na południe, zaciężył, wisiał nad Paryżem. Zerwała się więź między armjami sojuszniczymi, w samym ich styku ziała pustka i nie było czem jej wypełnić. Armja angielska zdawała się być zniszczoną na długo, może na zawsze, bo gdy Niemcy uderzą jeszcze raz, zgniotą ostatnie resztki, otoczą i zmuszą do kapitulacji i wreszcie w czwartą rocznicę tej wojny staną nad morzem, do którego parli w olbrzymich bojach od początku. Już toczyły się spory o zniszczenie portów Boulogne i Calais, zanim wpadną w ręce nieprzyjaciela. Anglicy nastawali, Francuzi wzdragali się jeszcze...

Szala losów wojny przechylała się groźnie na stronę Niemców.

Jeszcze jedno potężne uderzenie i wypełnią się czasy — nadejdzie koniec. W wyniku czterech lat krwawego sporu, obustronnych zwycięstw i klęsk, milionowych strat, nadludzkiego wysiłku, bohaterstwa, okrucieństwa, wszystkich cnót i wszelkich

zbrodni zbliżał się ostateczny wyrok. Z potwornego napięcia codziennych faktów, niezliczonych, zapomnianych, wyłaniało się zimne i nieomyłne widmo, które, zastępując oszalałych ludzi, liczyło i pamiętało każdy miniony dzień.

O tej porze nikt nie znał ani własnych sił, ani przeciwnika. Pomieszały się kunsztowne wyliczenia sztabowych rachmistrzów, którzy w ciągu lat mozolili się nad wykradzeniem z chaosu życia, z chaosu wojny wyraźnej cyfry, jasnej odpowiedzi na pytanie — jak długo starczy jeszcze żywej siły narodu, ilu żołnierzy, bohaterów, ile dywizyj da się jeszcze wycisnąć na mięso armatnie? Niezbite, zimne kolumny cyfr mącił szary żołnierz nieznan, obalał je bezimienny niewiadomy, uciemieżony i do końca posłuszny człowiek z masy, albowiem w każdym z nich tkwił okruch globalnej cyfry, każdy niósł w swojej znękaney duszy, w strudzonem ciele zaledwie ułamek żołnierza i resztkę wytrzymałości. W tej wojnie cyfr przeciwko cyfrom ani po tej ani po tamtej stronie nikt nie znał i nie zdołał odkryć tajemniczego „X“, niematerialnej, nieobliczalnej wartości, tej mistycznej poprawki, które tały się w każdym starym żołnierzu i w każdym nowym, powoływanym pod broń. Brak było na to metody i oceny w ścisłej, wszechogarniającej wiedzy, w niezawodnej matematyce wojny. Każdy wódz miał na zawołanie raport ścisłych cyfr, które roztrząsały i sumowały wszystko, temi cyframi myślał i sądził, na nich opierał swoje plany i odgadywał możliwości przeciwnika, na nich budował

zwycięstwo — ale o tej porze były one martwe i nie wyrażały nic z tego, co było prawdą. Zawodziła rachuba oparta na oficjalnej literze cyfry, pełnej wewnętrzznego fałszu, ludzie kierujący wojną teraz o jej schyłku wchodzili w mgłę...

Generał Foch, postawiony na czele wszystkich sił zbrojnych koalicji, drżał patrząc na mapę frontu, rozwieszoną w olbrzymiej starożytnej komnacie na zamku Bombon. Drżał generał Pétain, rozpaczliwie zgadując zamiary nieprzyjaciela, i pchał na podejrzane odcinki frontu swoje ostatnie rezerwy. Drżał marszałek Douglas Haig, przeglądając „ordre de bataille“ sił brytyjskich i licząc szczątki swojej armji. Zwycięstwo przechylało się na stronę Niemiec — niech uderzą jeszcze raz...

Nie uderzali.

W wielu punktach zagmatwanej linii frontu wabiły ich miejsca słabe, tu i owdzie ziały nieosłonięte luki. Nastęrczały się olbrzymie rozstrzygające zadania strategiczne, osiągnięcie morza, marsz na Paryż czekały na zwycięzcę, licząc ostatnie godziny swych możliwości. Gdyby ruszyć jeszcze dziś, można przełamać ostatni opór przeciwnika, zgnieść, rozproszyć jego ostatnie siły i zwyciężyć — dokonać cudu — zakończyć wojnę. Ale jutro będzie zapóźno.

Cisza i spokój na stanowiskach niemieckich... Niepodobna rzucić rozkazu — naprzód! Zawiodła olbrzymia, sprawna, pierwsza na świecie niemiecka machina wojny. Wystrzelały amunicję armaty, zużyły

się rezerwy, wyczerpała się ostatnia resztką sił w niezłomnym żołnierzu niemieckim — pierwszym na świecie... Nie dała się oszukać, nie dała się przeskoczyć oporna, nieubłagana moc czasu. Trzeba było odnowić stargane siły, trzeba było zaczekać...

Przemijała jedyna chwila dziejowa, na obliczu wojny zamierał uśmiech zwycięstwa, już zastyga ono w śpiżowym, nieodgadnionym wyrazie, groźne, mrozące strachem.

Więc drży w kamiennem swoim sercu pierwszy na świecie człowiek wojny, Ludendorff, pierwszy generał kwatermistrz armji niemieckiej. Najbliższe jutro przechylało się na stronę koalicji...

XVI

Nareszcie Hjalmar Butzke otrzymał trzytygodniowy urlop i Mundus Film niezwłocznie przystąpił do zdjęć w terenie. Pogoda była piękna, drzewa rzucały już cień i każdy dzień wiosny potęgował urok lasów w Buckow. Ale również z dnia na dzień piętrzyły się niepowodzenia i przeszkody.

Główny urząd propagandy naglił do pośpiechu, komisarz przydzielony do Mundus Filmu mieszał się do wszystkiego, przeszkadzając pracom zespołu, zdjęciami zainteresował się sam deputowany Erzberger, szef biura propagandy wyłonionego przez parlament, a tymczasem niepodobna było w ciągu całego tygodnia ściągnąć do Buckow solennie przyobiecanego i już odkomenderowanego bataljonu landsturmu oraz półbaterji polowej, bez których całe bohaterstwo Hjalmara Butzke wisiało w próżni i nie mogło być chwycone przez obiektyw.

Na dobitkę znakomity aktor tak był zgnębiony widmem prawdziwego frontu, który mu groził za parę tygodni, że nie mógł się opanować ani rozruszać i przerażał reżysera swoim skapcianiętym wy-

głędem. Eva zaśmiewała się, patrząc na rozpaczliwe wyczyny nieszczęsnego wojaka na czele podstarzałych, ociężałych landsturmistów, niezbyt podobnych do prawdziwych żołnierzy, którzy walczyli ongiś w strasznym lesie Argońskim w sierpniu roku 1914-ego. Niektóre epizody bojowe zakrawały na farsę, oficerowie bataljonu, zarówno Francuzi jak Niemcy, ubawiwszy się dowoli, zgłosili pewnego dnia solidarny protest przeciwko interpretowaniu roli dowodzącego kapitana. Obrazy walki ponawiano i przerabiano bez końca, nieszczęsny Butzke miotał się jak obłąkany...

Van Trothen zjawiał się od czasu do czasu na zdjęciach, przywożony samochodem przez wiernego Abbegglena, który zapewniał Evę, że „kochany szef“ ma się coraz lepiej, manja samooskarżenia minęła zda się bezpowrotnie, przynajmniej chory zapomniał o niej, przez jakiś czas trzeba go nadal pilnować w dzień i w nocy dopóki nie zabezpieczy się sporej ilości ludzi, narażonych na wyspę, i dopóki cała machina i sieć centrali nie ulegnie radykalnemu przeobrażeniu, gdyż tego rodzaju manjacy są mistrzami w oszukiwaniu bliźnich swoich i lubią czasami przycupnąć, właśnie przed najgorszym wybuchem. Zresztą wszystko jest na dobrej drodze.

Jakby dla zaprzeczenia tej pomyślnej diagnozie van Trothen po chwili miłej rozmowy z Evą zwrócił się wprost do starego generała francuskiego, odpoczywającego właśnie po dramatycznym zdjęciu, w którym po rozpaczliwej obronie dostał się do nie-

woli wraz z kolosalnym sztandarem. Wkrótce stary aktor wytrzeszczył oczy, cygaro wypadło mu z ręki.

Widząc to Abbegglen ruszył do nich natychmiast ze swoim pocziwym uśmiechem. Na to van Trothen porwał trójkolorowy sztandar, stojący pod lipą, i w poprawnej francuszczyźnie zaczął płomienną przemowę do jeńców nieprzyjacielskich, leżących pokotem w cieniu lipy. Landsturmiści nie rozumieli, czego od nich chce ten zapalczywy jegomość wymachujący sztandarem. Wówczas van Trothen rzucił szereg komend niemieckich i porwał na nogi jeńców, którzy wśród reżyserów, ich pomocników, operatorów, własnych oficerów i aktorów, przebranych za oficerów, stracili poczucie kto w tych komedjach dowodzi naprawdę.

— Rozstrzelać mi tego grubego! To szpieg! Cel! Pal!

Abbegglen śmiał się najgłośniej ze wszystkich, a po chwili rozpaczliwego szamotania się z przyjacielem śmiał się wraz z innymi i obezwładniony van Trothen.

— Sama pani widzi... Niech pani będzie gotowa każdej chwili...

Nazajutrz padał deszcz, a gdy dnia następnego w ślicznem słońcu wszystko było przygotowane do wymarszu kompanji kapitana Hofackera (Hjalmar Butzke) na plac boju i wzruszającego pożegnania jego z narzeczoną, piękną i bohaterską Margaretą, napróżno czekano na Evę. Telefony, wyrzekania, nie-

pokoje... Wysłano samochód do Berlina. Godziny mijały...

W ciągu tygodnia gazety berlińskie prześcigały się, alarmując opinię wciąż nowymi rewelacjami o tajemniczym zniknięciu Ewy Eward. Nagromadzono odmęt informacji, prawdopodobnych i nieprawdopodobnych przypuszczeń, plotek, bajek, absurdów.

— Ewę Eward porwała i uwiozła kędyś banda zamaskowanych automobilowych złoczyńców w celu wymuszenia na niej grubego okupu.

— Wiadoma redakcji pani M., która również znikła bez śladu, była ostatnią osobą, którą widziano w jej towarzystwie.

— Dramat zazdrości! Eva Eward na schadzce w jednym z pałacyków na Kurfürstendamm została straszliwie i nieodwołalnie zeszepeconą zapomocą witrjolu i brzytwy przez jedną z arystokratycznych swoich kochanek. Śledztwo w toku. Nieszczęśliwa ofiara, której boskie oblicze stało się jedną krwawą maską, walczy ze śmiercią. Pozostaje jeszcze pewna nadzieja uratowania oczu. Okrutną zbrodniarkę baronową S. aresztowano, śledztwo otoczone najgłębszą tajemnicą.

— Zamordowanie Ewy Eward! Znakomita artystka padła ofiarą zbirów bolszewickich, zbrodnia ta pozostaje w ścisłym związku z aresztowaniem przez władze niemieckie rzekomego księcia Uchmatowa, jedyne go spadkobiercy milionów, złożonych przez jego ojca w Deutsches Bank. Krwawy Kreml wywarł

swą zemstę na Evie Evard, podejrzewając, że ona to wpłynęła na młodzieńczego fanatyka nihilizmu, który oparł się naciskowi Joffego, by oddać odziedziczone miliony na rzecz Sowietów...

Widziano Evę w Studgardzie, w Lipsku, w Mannheimie, w Augsburgu, w Norymberdze, we Wrocławiu i w innych miastach. Mnóstwo listów napływało do prezydum policji ze wskazówkami, z poszlakami, z głupimi radami, z hipotezami, wylęgniętymi w malignie. Prasa wyliczała inwentarz wspaniałych tualet, kostjumów egzotycznych, luster, kufrów, pozostawionych w Hotelu „Windsor“, zastanawiał tylko brak klejnotów, a między innymi bezcennej broszy w kształcie liścia klonowego — symbol Kanady — wysadzanego brylantami, szmaragdami i opalami...

Generał Sittenfeld zarządził również poszukiwania. Zawiedziony sromotnie we wszystkich swoich obliczeniach i przewidywaniach rozjadł się i zawział, żeby za wszelką cenę dostać w swoje ręce Evę, znie-nawidzoną i pożądaną do granic obłędu. Ani na jedną chwilę nie uwierzył w porwanie, w morderstwo ani w jakąkolwiek katastrofę — Eva poprostu ukryła się, uciekła spłoszona, w strachu przed czemś, przed kimś... Coby to mogło być?

W ciągu kilku dni mozolił się nad tem jednym pytaniem, przerobił sam ze sobą nieskończone mnóstwo hipotez dopuszczalnych, ostatecznie możliwych i wreszcie warjackich, wysilił i wyczerpał swą wyobraźnię aż do granic zupełnego ogłupienia. Zdrę-

czony, z pustą głową przeczekał jeszcze jeden dzień i dopiero raczył zauważyć spojrzenia, które od paru dni rzucał ku niemu dyskretnie, zrzadka, w ciągu godzin biurowych kapitan Gutzner.

— Morgen, kapitanie, co tam dziś nowego?

Kapitan Gutzner odgadł wlot, że biedny generał już nie może sobie dać rady i nagwałt potrzebuje otuchy i pomocy.

Oznajmił w krótkich słowach, poprawnie oficjalnych, że wszystkie stacje i posterunki pograniczne cesarstwa oraz krajów okupowanych od trzech dni czuwają nad tem, aby zaginiona nie przemknęła się pod jakimkolwiek nazwiskiem i za jakimkolwiek paszportem. Na szczęście wszyscy znają zaginioną z ekranu, a choćby z fotografii, nieustannie umieszczanych w dziennikach. Zaginiona ma być zatrzymana na granicy z zachowaniem najwyższej kurtuazji pod pozorem wyjaśnienia rzekomych nieformalności w papierach i pod ścisłym, choć niejawnym nadzorem skierowana z powrotem do Berlina.

Generał oniemiał. Poczzerwieniał, napęczniał, na szczęście ersatze wojenne tudzież pęczak, brukiew, śledzie pozbawiły go dawniejszych skłonności apoplektycznych.

— Panie generale, rozporządzenie to pochodzi od policji politycznej, dopiero dzisiaj rano otrzymaliśmy odnośne zawiadomienie za podpisem...

— To Gneist! Ta bezczelna kanalja!...

— Tak jest... Za podpisem doktora Gneista. Skądinąd wiadomo mi, że wzmiankowana osoba jest

tam u nich podejrzaną o udział w wielkiej intrydze politycznej. Oczywiście jakieś bzdury...

— Co za intryga! Mów pan co wiesz, do wszystkich djabłów!

— Otóż dr. Gneist odkrył rzekomo, że pani Eva Evard rzekomo prowadziła w imieniu koalicji rokowania z nieoficjalnym agentem dyplomatycznym podwójnej monarchji o pokój odrębny. Jest nim rzekomo redaktor Max Edeling, obserwowany od dłuższego czasu przez policję polityczną.

— Absurd! Nonsens! Haniebne przekroczenie kompetencji! Zbrodnicze nadużycie władzy! Wyrażny spisek, wymierzony przeciwko mnie! Proszę się natychmiast połączyć z ministrem wojny i zażądać dla mnie osobistego widzenia na dzisiaj.

— Pan minister znajduje się w Głównej Kwaterze, powraca jutro...

— Więc z ministrem spraw wewnętrznych!

— Dr. Gneist obiecuje być u nas w godzinach poobiednich, ma jeszcze telefonować.

— Dobrze, niech przyjdzie, każę go spuścić ze schodów!

— To mu się należy, ale, panie generale ma on zarazem coś ważnego do oznajmienia w związku z nadspodziewaną śmiercią tego biednego van Trothena...

— Co? Kiedy? Jak?

— Wczoraj wieczorem zakończył śmiercią samobójczą w przystępie ostrej neurastenji. Otruł się.

— Boże miłosierny! Jeszcze tego mi było potrzeba...

— Dr. Gneist twierdzi stanowczo, że został on otruty przez niejakiego...

— Do wszystkich djabłów!... Tegoby jeszcze brakowało! Ależ ten podlec Gneist jest w dodatku niebezpiecznym manjakiem...

— Posiada on protokularne zeznanie swojej agentki, pielęgniarki z zakładu Schönowa, przydzielonej do chorego.

— Protokularne zeznanie!... Znamy się na tem, Gutzner? Co?

XVII

Major Darbois zakupił w kiosku przed dworcem paczkę gazet francuskich i niemieckich i czekał na peronie kolejki zębatej, uporczywie przyglądając się stalowej linie, która naprężona w powietrzu drgała w wysiłku dźwigając wagony i w pewnym stopniu pomagała mu odpędzić nieposkromioną żądzę ciekawości. Postanowił sobie nie zajrzeć do gazet aż zjedzie na sam dół, potem około piętnastu minut zabierze mu podróż na kulach aleją nad brzegiem jeziora do ławki pod platanami. Dyscyplina ta była dzisiaj potrzebna, gdyż w ciągu dwóch ostatnich dni nowa filozofja zawodziła a nawet kapitulowała haniebnie przed nawałą straszliwego realizmu wydarzeń.

Sąsiad w wagonie rozwinął swoją gazetę i major Darbois natychmiast odwrócił głowę, ale już ujrzał nagłówek, odbity literami olbrzymiego gotyku.

— Trzeci dzień ofensywy! Droga do Paryża stoi otworem!

Sąsiad niemiecki i filoniemiecki obywatel neutralnej Szwajcarji promieniał radością. Czyż nie wol-

no mu odczuwać a nawet wyrażać swoich sympatji? Oczywiście, ale major sponął tym dawnym, pierwotnym, stadnym, żywiołowym gniewem, który wydo był się z filozoficznego ujarzżenia. Jakże ciężko dźwigać w tych czasach powołanie mędrca, jak trudno utrzymać się na śliskiej drodze ku duchowemu udoskonaleniu...

Kapitan Kunert niecierpliwie poglądał w głąb ocienionej alei, oczekując przybycia przyjaciela. Znał już ostatnie komunikaty i komentarze prasy obu stron. W ciągu ubiegłych czterech dni wojna olbrzymimi krokami zbliżyła się ku rozstrzygnięciu—zwycięski miecz niemiecki zatknęty na krwawym polu czterech lat walki nakaże pokój Europie i światu. Nastanie długi okres brutalnej przemocy, dalszy ciąg wojny wśród pozorów pokoju — biada zwyciężonym...

Biada i zwycięzcom! Kiedy odrodzi się ludzkość? Kiedyż rozpocznie się dostojne, chrześcijańskie współżycie narodów, jeżeli i ta najokrutniejsza z wojen za cenę milionów poległych i nieprzeliczonych strat nie zostawi światu nauki, że podobne kolosalne zmagania się nie prowadzą do rozstrzygnięcia, że siły i możliwości przymierzy i sojuszków równoważą się... Że milionowe armje, że miljardy pieniędzy, że nowoczesny materiał techniczny służą jednako obu stronom, zarówno jak nienawiść, szal zaślepienia i bohaterstwo tudzież łaska czy niełaska Pana Boga, który zda się aż dotychczas pomimo wszyst-

kich modłów i błagań z tej i z tamtej strony nie przekroczył swej niebiańskiej neutralności...

Należy pożegnać mądrą, opartą na faktach doktrynę, pełną otuchy dla przyszłego wiecznego pokoju świata, a ukutą tu na tej samej ławce wspólnie z droгим nieprzyjacielskim majorem. Ciężko będzie wyrzec jej się choćby bodaj dlatego, że w jej narodzinach poza dużą pracą i drobiazgową analizą wszystkich czynników i momentów tych czterech lat tkwi głęboka symbolika, niemal mistyczna, z którą żyły się serca obu wrogich wojowników.

Obaj przeszli piekło trzech lat wojny, rany, niewolę, mękę sal operacyjnych aż wreszcie jako nieuleczalni inwalidzi uzyskali prawo na wyjazd do kraju neutralnego na pobyt do końca działań wojennych. Obaj wybrali Szwajcarię a w niej miasto Lozannę— obaj wreszcie zostali ranni i wzięci do niewoli pod Verdun... Obaj mieli za sobą chlubną zasługę boju i wysokie odznaczenia za męstwo, obaj nieśli kiedyś w sercach szaleństwo walki i nienawiści do wroga. Tu — zetknąwszy się przypadkowo zaprzyjaźnili się odrazu, choć napozór wszystko ich od siebie odtrącało. Pociągnęła ich ku sobie ciekawość. Niemiec dla Francuza, Francuz dla Niemca był w tych czasach mytem, zjawiskiem fantastycznym, pojmo- wano się nawzajem jeno jako cel dla strzału, wyliczany teoretycznie, niedostrzegalny, a spotykano się oko w oko jedynie w momencie ataku i starcia wręcz, w ciasnocie zdobywanych okopów, w huku i dymie

granatów, w łyskaniu nożów. Ich kraje, ich życie, ich istota ludzka odgradzone były żelazną zaporą.

Pokrótkce żyli się ze sobą w trybie nader prostym, jakoś po żołniersku. W rozmowach nie unikali rzeczy drażliwych, często się kłócili, parę razy zrywali stosunki, ale nazajutrz się godzili. Rozmawiali wyłącznie o wojnie i o nowym ustroju świata, który winien nastąpić po jej zakończeniu. Miała to być ostatnia wojna w dziejach ludzkości, pozostawało tylko zbudować pokój na ziemi. Układali nową mapę Europy i jej stany zjednoczone, detronizowali monarchów, obmyślali statuty i konstytucje, marzyli. Prześcigali się w zohydowaniu rzezi światowej, wyzbyli się przesądów narodowych i żyli przyszłością, nie zaprzatając się zbyt wiele wydarzeniami na linii bojowej. Nie opuszczali wyżyn szczytnej filozofji, a jeden pilnował drugiego.

Tak spędzili szereg miesięcy w braterstwie, wspomagali się nawzajem, doglądali się w uporczywych niedomaganiach, które przynieśli z frontu. Swojego czasu złożyli wizytę apostołowi zgody i pokoju, autorowi „Au dessus de la mêlée“, który rezydował w Genewie. Major Darbois uwielbiał go za „Jean Christophe’a“, kapitan Kunert wielbił go tembardziej, że bohater dziewięciotomowego eposu był Niemcem, idealnem uosobieniem ducha i kultury tego prawdziwego rdzenia narodu niemieckiego, który tai się pod twardą skorupą wilhelmizmu, junkierstwa i prusactwa. Romain Rolland przyjął ich najuprzejmiej, ale przeraził obu swoim chorobliwym radyka-

lizmem społecznym, na to ani kapitan ani major nie byli jeszcze przygotowani — pomimo łaskawego zaproszenia ze strony znakomitego pisarza, żeby zechcieli odwiedzać go częściej, nie pokazali się więcej. Snuli dalej samodzielnie swoje samodzielne dociekania i prorocstwa, obywając się bez autorytetów. Zaczęli nawet opracowywać wspólnie broszurę propagandową z niemałym mozołem, gdyż obaj byli w równej mierze niepiśmienni.

Kapitan Kunert zapatrzył się w błękitno szarą dal jeziora, odpoczywał. Całą istotą swoją wchłaniał urok tego poranka po trzech dniach i trzech nocach cierpienia. Ulga po szarpiących bólach w głowie, w krzyżu, we wnętrzościach, w nogach i w rękach, nawet w obu nieistniejących już nazawsze, przed rokiem odjętych dłoniach i palcach... Narzeczcie wydobył się z poniżenia długich męczarni na światłość dnia i znowu chce żyć. Ocknienie się jasnej myśli po ohydnych zatruciu morfiną zdawało mu się najwyższym szczęściem, dostępnym dla człowieka — na tę chwilę zapomniał zeszczętem o swoim straszliwym kalectwie... Uśmiechał się, wraz z bólem opuściła go jakaś tajemna najcięższa troska, ustał śmiertelny o coś niepokój wiedział niezłomnie, że przesiliła się w jego losach cała niedola i już nie może wrócić...

Uśmiechał się. Już się nie bronił więcej przed dawnym opętaniem. Cóż że rozum, że sumienie nakazują sądzić niezłomnie i powściągać pustą radość? Śnać są rzeczy potężniejsze nad rozum i sumienie

jednostki, sprawy ponadludzkie. W nich tętni serce milionów, w nich to odzywa się duch narodu.

Armje niemieckie stoją nad Marną! Zwycięstwo!

W obliczu rozstrzygającego ostatecznego zwycięstwa. ta wojna przestaje być krwawym absurdem i dopustem bożym, który za jedyne zadanie ma okazać ludzkości jakieś przyszłe ogromne cele. Mistyka! To prawda, rozmaicie można obracać faktami, można rozumować bez końca, ale wobec tego zwycięstwa nabierają znaczenia i sensu wszystkie za całe cztery lata cierpienia i ofiary niemieckiego narodu. I cokolwiek by gadać—on, szczątek ludzki, cudem utrzymany przy życiu, przeszyty tysiącem bólów, niepotrzebny już ani sobie, ani ludziom, może podnieść do oczu swe nieszczęsne ramiona pozbawione dłoni i powiedzieć z niezgłębioną pociechą: — Nie zgiąłem na marne, i ja nie cały umrę w mojem plemienu!...

W oddali, w cieniu platanów ukazał się major Darbois, pracowicie, cierpliwie mierząc aleję swemi kulami. Kapitan patrzył ku niemu z głębokiem współczuciem. Wiedział, że obaj są zarówno mądrzy i dostatecznie uodpornieni na taki czy inny obrót fortuny wojennej, ale wiedział zarazem doskonale, co się dzieje dzisiaj w duszy drogiego przyjaciela, tego Francuza. Jego ból mierzył własną swoją radością—ostatecznie wszyscy jesteśmy tylko ludźmi...

Kapitan chciwie wciągnął pierwszy dym z cygara, które przyjaciel na powitanie wetknął mu w usta i zapalił. Major złożył na ławce swoje ga-

zety i nie odzywał się, jeno sapał odpoczywając po ciężkiej pracy z kulami. Siedzieli patrząc hen poza lazurową przestrzeń jeziora, gdzie brzeg Francji rozpościerał się ciemno granatową uzębioną ścianą. Milczeli tak długo, że wreszcie żaden już nie śmiał się odezwać. Stawało się to nieznośne, potrosze śmieszne, w istocie zaś było jakieś okropne. Żadną miarą nie można było wybrnąć z kłopotu i zagadać o rzeczach obojętnych. Szczerość ich stosunku nie pozwalała na omijanie tego, o czym każdy z nich właśnie myślał. Bez trudu i nieomylnie przenikali się nawzajem. Trzebaż było wkońcu zacząć, a żaden nie wiedział jak, dręczyli się i milczeli uparcie. Kapitan Kunert poczuwał się do pierwszego kroku i wysiłał się jakby rzecz zagaić. Wszak to jego armja była zwycięską...

Przypominał sobie tak niedawne dni pierwszej ofensywy wiosennej. I wówczas Niemcy posuwali się w piorunowych rzutach w głąb Francji, szli na Paryż i już odcinali Anglików od morza, a jednak jakoś udało im się przetrwać te czasy w szczerości i w przyjaźni aż do dnia, gdy ofensywa utknęła i załamała się. Ale tym razem nadchodzi kres, rozstrzyga się los wielkiej wojny, bo za parę dni Niemcy oczywiście staną w Paryżu, teraz trudniej, ba, niemal niemożliwie jest utrzymać się na wyżynach filozoficznej bezstronności.

Rozmyślali obaj nad znikomością wysiłków rozumu i woli wobec szaleństwa, które ogarniało świat. Złudzeniem jest mądrość, polegająca na ba-

daniu kataklizmu i beznamiętnem oczekiwaniu końca, nie jest to żadną mądrością, jeno zawodną samoobroną przed udręczeniem. Niepodobna wyłamać się z masy narodu, gdy ten porwany jest przez lawinę dziejów, może nawet nie wolno... Groza wspólnego niebezpieczeństwa, waga krwi wspólnie przełanej, obrona najpotężniejszej wspólnoty jaką jest naród, niosą w sobie nakazy, które przekroczyć może chyba nikczemny samolub lub zaprzaniec — zdrajca. A filozof-mędrzec, który z niezłomną odwagą patrzy w swój czas i widzi przyszłość, której nikt z walczących nie przenika? Mędrzec, jeżeli jest taki, jeżeli się jeszcze w tej epoce uchował, musi się zataić i milczeć, bo jeżeli jest mędrce, to wie, że póki trwa wojna — głos jego nie będzie wysłuchany, a powtórre zrozumie, że nie godzi się swoją bezsilną prawdą przeszkadzać tym, którzy wypełniają straszliwą rzecz wojny. Gdy zamilknie ostatni strzał nadejdzie czas filozofów...

Przesiedzieli tak już z pół godziny, nie pozostało nic innego jak wstać i rozejść się w różne strony bez jednego słowa, na zawsze.

Więc kapitan Kunert zmusił się i nie patrząc na towarzysza wybąkał głosem niepewnym:

— Prześliczny mamy dzisiaj dzień.

— O tak! — odpowiedział natychmiast major popędliwie, jakgdyby tylko czekał zaczepki—piękny to dzień, ale nie dla wszystkich! A dla niemieckich patriotów, dla cesarskiej armji — owszem, owszem— ma pan zupełną słusność! Winszuję...

— Drogi majorze, czyż pan przypuszczał, że ja nie mówię o pogodzie?

— Dajmy spokój! Dajmy już temu wszystkiemu spokój!

— Czyż nasza przyjaźń miałaby się potknąć o jakiś komunikat z frontu? Przetrwaliśmy już niejedno...

— Ależ teraz pańscy Niemcy dorzynają Francję! To jest pogrom, koniec wojny! A pan się z tego cieszysz, czyż ośmieliłby się pan powiedzieć mi teraz, tutaj, prosto w oczy, że tak nie jest?

— Mógłby pan przemilczeć to swoje przypuszczenie, pocóż zatruwać nasz tak wyjątkowy stosunek? Wszak pan zna moje przekonania?

— Cóż z tem mają wspólnego jakieś nasze przekonania? Pan się radujesz a ja się trapię — pan jesteś Niemcem, ja Francuzem... Wogóle nie powinniśmy się byli spotykać i wyczyniać głupich eksperymentów...

— Czy pan major chce przez to powiedzieć, że mamy się rozstać?

— Mniemam, że nikomu by to nie zaszkodziło pomimo całej szczytności misji dziejowej, którąśmy sobie uroili na tych lozańskich wywczasach.

— Niech pan nie drwi z rzeczy świętej, do której przecie sam mnie pan przekonał i pociągnął!

— Owszem, przyznaję się, byłem śmieszny. W samem założeniu naszej przyjaźni od samego jej początku tkwił fałsz!

Na te słowa cygaro wypadło z ust kapitana,

pochylił się instynktownie, ale nie miał czem i jak podnieść go z ziemi. Major Darbois uczynił wysiłek prostej przyzwoitości, zmusił się i chciał je podjąć, co widząc kapitan natychmiast nadeptał cygare sto-
pą i zgniótł. Zamilkli.

Z zapamiętałego zapatrzenia się w pogodną, przejrzystą dal jeziora wyrwał ich głos silny, melodyjny i głęboki, dźwięczący uprzejmością, za którą tała się szczerą dobroć. Drgały w nim serdeczne współczucie i smutek, nawet łzy. Major poruszył się niemrawie na ławce, chciał powstać, chwycił za swoje kule i zapomniał nawet zdjąć kapelusza na powitanie. Eva Evard położyła mu rękę na ramieniu ruchem uroczo macierzyńskim i siostrzanym, usiadła obok i patrzyła nań z tak ujmującą dobrocią, że kapitan Kunert widząc to uczuł łzy w oczach.

— Tak to spotykamy się znowu na tym świecie, panie Darbois... Rada pana widzę jak zawsze, panie poruczniku... Ale przez ten czas chyba pan dostał wyższej szarży?

— Owszem, awansowałem na inwalidę w stopniu zupełnej doskonałości, czyli na sto procent, bo więcej nie można! Zresztą, jeżeli o to idzie, jestem już majorem w stanie absolutnie nieczynnym i dlatego rozkoszuję się obrazem najpiękniejszego jeziora na świecie. Temu też zawdzięczam spotkanie z panią, pamięta pani naszą ostatnią rozmowę u państwa Bonnard...

— Państwo Bonnard...

— Piętnaście, rue du Bac. Madame Bonnard,

takie sobie paryskie nic, szalała chcąc panią poznać i ja to byłem właśnie pośrednikiem, a on nawet był przelotnie ministrem w gabinecie Ribot, ot taka zwyczajna małpa z menażerji w Palais Bourbon... Ale to było nasze ostatnie spotkanie przed moim powrotem na front. Przy pożegnaniu ośmieliłem się powiedzieć pani, że z rozkoszą bym zginął, gdyby mi było danem odegrać z panią bodaj jeden obraz, choćby w roli górnika Anzelma z „Pożaru na kopalni Fructidor“...

— Ach, podobne rzeczy mówił mi nie jeden...

— Bardzo wierzę, ale pani odpowiedziała mi, że niech powrócę cały i zdrowy na przyszły urlop, to zobaczymy...

— Ależ pamiętam!... Cóż z tego, pan się nie stawił... I musiałam pana zdradzić...

Kapitan Kunert nie mógł oderwać oczu od przedziwnej gry w tej twarzy, płocze, zalotne półuśmiechy ust i głęboka zaduma w spojrzeniu, a na dnie oczu ten żal... Pod pozorem lekkiego flirtu powitalnego dostrzegł dramat tych dwojga. Poruszył się chcąc odejść.

— Pani Evard, pani pozwoli — pan kapitan Kunert, oficer armji niemieckiej, mój towarzysz niedoli i przyjaciel.

— Witam pana!

Wyciągnęła do niego rękę po przyjacielsku, kapitan zmieszany promiennem spojrzeniem pięknej pani zapomniał się i podał jej swój swój nieszczęsny kikut. Eva dotknęła go palcami i ani jednym drgnięciem

twary nie dając mu poznać, że wie o jego kalectwie, przerzuciła się na język niemiecki i zaczęła mówić z ożywieniem o Berlinie, skąd właśnie powraca.

— Pani była w Berlinie? — zdumiał się major — cóż pani tam robiła?

— Co tam ja — ja — wiecznie ganiam po świecie, ale co pan porabiał przez te półtora roku? Ciężko panu było w niewoli?

— O tyle, że przez cały czas pobytu bez ustanku ucinano mi nogi po kawałku to prawą, to lewą, oczywiście za każdym razem coraz wyżej, wreszcie stało się to nudne. Z niewoli niemieckiej wysłano mnie do niewoli szwajcarskiej i obecnie jestem internowany jako jeńiec Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Poznałem mnóstwo systemów niemieckich protez, niektóre są poprostu genialne, cóż kiedy wytrzymać w tem niepodobna, to też chodzę po staroświecku, zupełnie bezwstydnie, na szrudłach...

— A więc pani jest naprawdę Evą Evard? To nieprawdopodobne — wyrwał się nagle kapitan Kunert z jakimś niespodziewanem zdumieniem.

Roześmieli się oboje.

— Dlaczego to pana tak dziwi?

— Bo to jest nieprawdopodobne... W mojem pojęciu pani była zawsze jakimś mytem. Gdy się zna i uwielbia tylko cień pani z ekranu... W tyłu postaciach... Ach, jakże ja głupi mogłem nie poznać pani od pierwszego spojrzenia! Nie poznałem, bo nie obrażałem siebie, że pani żyje naprawdę, czyli że można panią spotkać... Mówię nonsensy, ale inaczej

trudno mi wyrazić... Nie, tego zupełnie nie można wyrazić!

— Innemi słowy spotkał pana zawód?

— Czyż pani nie widzi, że jest zakochany?

— Majorze! Moznaby jednak nieco subtelniej...

— Ależ oczywiście, że tylko najsubtelniej! Bo inaczej się nie da, kapitanie, trudno i darmo. Wzajemność Ewy Evard to dopiero myt!

— Kto to wie...

— Ja wiem, pani Evo!

— Majorze, doprawdy nie uchodzi!

— Kapitanie, nam z panem ujdzie o wiele więcej a nawet już wszystko, bo obaj jesteśmy skreśleni z tych uroczych spraw, poza nawiasem życia, cienie, błakające się po tym padole. Zato każda kobieta na świecie nazwie pana bohaterem i tyle pan będziesz miał.

— Poco pan to wszystko wygaduje?

— Bo dopiero patrząc na panią czuję całą swoją nędzę! I dawniej nie byłem tak naiwny, żeby się czegoś od pani spodziewać, ale przynajmniej było się człowiekiem — do stu diabłów, miało się obie nogi! Miało się prawo bodaj patrzeć na panią...

— Nikt panu nie broni patrzeć.

— To też patrzę, patrzę, ale jak?... Niczem pies.

Zamilkli. Wiatr od jeziora od dalekich gór zaszumiał w platanach, jedna z gazet na ławce roztworzyła się i zaczęła trzepotać sztywnym przykrym szelestem. Eva wzięła ją, rozprostowała i rzuciła

okiem na pierwszą stronicę, ale major Darbois szybkim ruchem odebrał ją jej, zmiął i rzucił na ziemię.

— Na miły Bóg! Pani Evo, gadajmy dalej o głupstwach, o niczem! Niech nam pani opowie coś ciekawego z szerokiego świata... Albo posiedźmy sobie cicho, patrzmy na wodę! Byle o tamtem ani słowa, zaklinam panią...

XVIII

W ciągu pierwszych kilku dni Eva Evard utaiła się w hotelu „Lutetia“, nie składała wizyt, unikała nawet wielkich kawiarni, teatrów, gdzie mogłaby spotkać znajomych. Uprosiła dyrekcję hotelu, żeby nie ogłaszano jej nazwiska na liście gości, obawiając się natarczywości reporterów. Cały dzień spędzała na mieście. Paryż ją upajał. Gdziekolwiek się obróciła, wszędzie witał ją urok jej jedyne go na świecie miasta, za każdym razem przybierał inną postać, inny wyraz, a zawsze był ten sam, wierny sobie i jej. Opuściła Paryż w zimnych mgłach i w nawałnicach listopada, witała go w słońcu i ciepłe, w zieleni i w kwiatkach, przyozdobił się i wypiękniał, ze wszystkich kątów wykwiatał uśmiech wiosny. Chciało się ludzić, że na świecie panuje pokój i szczęście, że prawda tego, co się działo, była koszmarem źle przespanej nocy...

Pospołu z tchnieniem wiosny zewsząd wyzierała nie tylko wojna, z którą oblicze Paryża zżyło się i zrosło, ale groza klęski i zatracenia, strach, rozpacz — na ulicach już się widziało widma zwy-

cięskich niemieckich żołnierzy, którzy wkroczą tu nie dziś to jutro. Nieprzyjaciel zajął właśnie Château-Thierry i w niepowstrzymanym zapędzie całą swoją masą przewalał się przez Marnę.

Codzień o świcie pod hotelem „Lutetia“ rozlegał się grzmot mierzonych kroków piechoty, bulwarem Raspail ciągnęły oddziały wojsk francuskich, angielskich, amerykańskich, ciężko hurkotały armaty i jaszczce i nieskończone sznury taborów. Co rano, gdy pierwsze poranne dzienniki pojawiały się na mieście, Eva z okien swego pokoju widziała na obszernej przestrzeni na skrzyżowaniu wielkich ulic mnóstwo przechodniów, skamieniałych na chodnikach i pośrodku jezdni, który gdzie stanął, zapatrzonych w rozwinięte płachty gazet. Po dwa razy na dobę w dzień i po nocy setki dział przeciwlotniczych grzmiało, ścigając po niebie eskadry samolotów, niedostrzegalnych na zawrotnej wyżynie. W tych dniach znowu ozwały się po wszystkich dzielnicach Paryża wybuchy pocisków monstrualnej dalekosiężnej baterji.

Evie nie chciało się o tem wszystkiem wiedzieć. Co ma być to będzie, jednak wydawało się jej niemożliwością i absurdem, by ona, wymknąwszy się tak nadzwyczajnie i romantycznie z dalekiego Berlina z paszczyki niemieckiej, miała ich spotkać właśnie tutaj w Paryżu — byłoby to zbyt fantastyczne nawet na te czasy. Więc, naprzykład, generał von Sittenfeld, który bezsilnie pieni się i miota gdzieś w bezgranicznej przestrzeni, a który zgasł dla niej i roz-

wiał się na zawsze, mógłby — dlaczegożby nie — zmaterializować się i zjawić się tutaj wślad za zwycięską armją niemiecką i znowu sięgnąć po nią?

Byłoby to zbyt kolosalnie śmieszne, takie farsy nie zdarzają się w żadnej rzeczywistości. I czyż dlatego właśnie, żeby się to nie stało, napór nieprzyjaciela ma być koniecznie złamany, a Niemcy mają być nieodzownie odparci z powrotem za Marnę?

Bądź co bądź Eva nie wierzyła w zdobycie Paryża, ale myślała o tych sprawach jakoś nierealnie. Szły wydarzenia ogromne, przełomowe, a jej zdawały się one jak zmyślone lub przyśnione. Usiłowała strząsnąć ze siebie natarczywość rzeczy widzianych, opędzała się przed rzeczywistością bezmiernego wysiłku, bohaterstwa, rozpaczy, strachu, paniki, które biły z ulic miasta. Ona była pośród tego odrębnym samotnym światem, własnym, samowystarczalnym.

Nosiła w sobie jakąś tajemną sprawę, niewiadomą ale najważniejszą jaka tylko mogła zdarzyć się w jej życiu. Nie miała pojęcia, co to jest, ale od chwili przyjazdu ogarnęło ją dziwne poczucie, że poza jej wiedzą i władzą zachodzi w jej losach jakiś zwrot ku czemuś, czego nie zaznała jeszcze. Czeką ją jakaś bezprzykładna nowość, moc bezimienna, niewiedomo dobra czy zła. Cóż to ma być? Snując się po mieście, witając znajome ulice, parki, gmachy, kościoły, muzea, mieszając się z tłumem, bezwiednie oczekiwała, że owa rzecz niepojęta lada chwila objawi się jej znienacka, w spotkanyim znajomym czy nieznanym człowieku, w przypadku ulicznym,

w wiadomości z gazety... Może to przeczucie, że trafi w nią granat z samolotu nieprzyjacielskiego, czy też pocisk z „Grubej Berty“, który oddawna czekał na nią wiernie, aż sama podstawy się pod strzał w wiadomem, zgóry przeznaczonem miejscu—na carrefour du Chateaudun, w ogrodzie Luxemburskim pod ukochanym posągiem pani George Sand, na Père Lachaise u grobowca Balzaca?...

Śmiała się ze siebie i niepokoiła się, ogarniało ją niecierpliwe pragnienie tej rzeczy, a chwilami i prawdziwy strach. Przypuszczała nawet, że to przychodzą nie w porę, nieproszone, znajome jej wstępne oznaki mającej nastąpić furji miłosnej, było to oczekiwanie z pozoru jakby podobne a jednak w głębi wręcz potężniejsze i nowe, a wznagało się z każdym dniem, dochodząc w pewnych godzinach do opętania.

Wreszcie piątego dnia po przyjeździe znużyła ją samotność, wybrała się między ludzi. Dyrekcja hotelu „Lutetia“ dotrzymała słowa, zresztą wobec grozy położenia, gdy nieprzyjaciel stał u bram stolicy, dzienniki miały co innego do roboty, niż zaprzętać się nawet tak fenomenalną sensacją jak bohaterska ucieczka i szczęśliwe przybycie do Paryża tak znakomitej osobistości jak Eva Evard. Nigdzie nie pojawiła się o niej najłżejsza wzmianka. Eva zgóry wyobrażała sobie wrażenie, jakie wywołają jej pierwsze odwiedziny w zaprzyjaźnionych domach. Nazajutrz oczywiście gruchnie po mieście wieść, reporterzy zapełnią hall „Latetii“, będzie musiała dać

wywiady w Figaro i w Matin'ie choćby dlatego, żeby sprostować legendy i fałszy, które natychmiast zaczął fabrykować i puszczać w świat brukowi feljtoniści...

Komunikat poranny tego dnia był uspakajający — rozpęd nieprzyjaciela w kierunku stolicy został ostatecznie zahamowany, nieprzyjaciel obwarowuje swoje nowe pozycje na południe od Marny — ale Eva знаła się na komunikatach, zresztą wiedziała gdzie trzeba szukać prawdy. Madame Sarment-Durand miała męża znanego dziennikarza w Biurze Informacyjnym Ministerstwa Wojny, powitała ona Evę bez żadnych oznak zdumienia ani radości, jakgdyby widziały się wczoraj i odrazu o nic nie pytając ani nie pytana zaczęła szeptać pod największą tajemnicą o nieuchronnym i już postanowionym opuszczeniu Paryża przez armję, parlament i wyższe władze państwowe.

— To sprawa kilku dni! Męstwo naszych żołnierzy jest niesłychane! Straty straszliwe! Marna znowu spłynęła krwią! Foch i Pétain dokonywują cudów, ale Anglicy zdradzili nas haniebnie, myślą jedynie o obronie swojego morza i nie okazali nam najmniejszej pomocy, Amerykanie, których pełno w Paryżu i w całej Francji, zupełnie nie kwapią się na front. Ja z dziećmi wyjeżdżam jutro do matki, do Grenobli, co za przekłeta praca z pakowaniem nawałt!... Czeka nas ruina, Niemcy postawią warunki niepojęcie haniebnej kapitulacji. Żegnaj nazawsze Alzacja, żegnaj Lotaryngjo! Tracimy Nancy i wielki

pas pogranicza. Sto miliardów kontrybucji! To koniec Francji, reszty dokona bolszewicka rewolucja! Ach, okropnie jestem zajęta, a do tego zakupy przed wyjazdem... Doprawdy głowa mi pęka, nie wiem jak nadążę z tem wszystkim do jutra... Pani wie, jak ja niecierpię tej Grenoble!... Dom matki jest bardzo niewygodnie rozplanowany... Co za ścisk będzie w ciągu o ile się wogóle dostaniemy do wagonu... Boże miłosierny, w te straszne upały! Z dziećmi! Z bagażami!...

I tak dalej.

Baronostwo de Schropff już wyjechali do Chamonix a państwo Castelain do Aix les Bains. W château Lambesc na Avenue Henry Martin odpowiedziano jej uprzejmie, że pani margrabina nie przyjmuje, pomimo że przed domem stało kilka samochodów. Eva wyobrażała sobie, co będzie wyprawiała stara patriotka, jak ją będzie przepraszała, gdy za parę dni dowie się o niej całej prawdy. Eva pojechała dalej, przenosząc się w swoich poszukiwaniach na lewy brzeg Sekwany. Yvonne Arbey, aktorka teatrzyków dzielnicowych, głośna z występów w mimodramach z życia bandytów wielkomiejskich i początkująca w filmie, przyjęła ją ze łzami radości. Yvonne wiedziała o niej to i owo.

— Evo, nie chodź do swoich arystokratów, do tych ministrów ani do bogatych Żydów, tam cię zaszczyją za historję z tym berlińskim generałem i za niemiecki film.

— Na szczęście jestem wolną obywatelką

neutralnego państwa i nic sobie z tego nie robię.

— Brawo, Evo Evard! Śmiało powiedziane— precz z burżuazją! Ale jakże ty wytrzymasz bez ich zapowietrzonych salonów, ty biedna znakomita osoba?

— Poczekaj z parę dni, jeszcze się dowiesz o mnie ciekawych rzeczy!

— To prawda, że miałaś również romans z młodym cesarzem austriackim? Jaki on jest?

— Yvonne, co tu jeszcze o mnie gadali?

— Że pojechałaś w imieniu Anglii prowadzić rokowania o odrębny pokój z podwójną monarchją, ale że Niemcy cię przekupili..

— Ileż dostałam?

— Nie pamiętam, ale oczywiście bardzo dużo. Deputowany Depéret, wiesz, ten co zbankrutował zeszłej jesieni na Lili Corbière i na jej teatryku „O-la-la“ na rue Blanche..

— Nie znałam tego pana.

— Podobno złożył wniosek, żeby cię nie wpuszczano więcej w granice Francji.

— A jednak jestem tutaj.

— Widzę, widzę. Oficjalnie nic ci nie mogą zrobić, ale wszystkie salony, tak zwane sfery, dygnitarze i cała bogata hołota zmówili się, żeby cię zbojkotować.

— Oho, Yvonne, robisz karierę, jeżeli tak dobrze wiesz, co się tam u nich dzieje?

— Niestety, nie robię kariery, opowiadał mi to Pépi Thureau-Dangin, który mnie gnębi w tych cza-

sach systematycznie i codziennie, ten zawsze wszystko wie.

— A co pan hrabia mówi o położeniu na froncie? Kiedy Niemcy tu przyjdą?

— O, te sprawy go nie zajmują, mój hrabicz wysiła się tylko, żeby się nie dostać na front. To genialny dekownik, zdumiewający — bo pomyśl tylko — wymyka im się tak przez całe cztery lata wojny! Na co on już nie chorował! Czem on już nie był! A gdy się wyczerpały wszystkie „plecy“, kruczki i sposoby został przydzielony do jakiegoś mieszanego biura prasowego i niebawem — on, rodowity Francuz — jakimś cudem został angielskim „War Correspondent“ i z dumą nosi na rękawie frencza litery W. C., choć tych panów powszechnie nazywają w armji — waterklozetami. Powiada, że zniesie wszystko, bo zbyt kocha życie.

— A nasza stara banda z „La Rotonde“?

— O, tego już niema! Nic nie zostało z całej bandy, jedni siedzą w Santé, gdzie ich zapakował nasz stary Tigre...

— Tigre?

— No, nasza opatrność — le premier Flick de France, sam się tak nazwał... Jednem słowem — Clemenceau. Jack Broquet i Benneteau na chwałę Republiki dostali po pięć lat a kilku zginęło na froncie, Joujou-le-Bec, strzelony w krzyż, włóczy nogi na kulach, Anzelmini dogorywa w szpitalu, mały Rouchon stracił wzrok...

— A twój dawny poeta, wskrzesiciel ody, zwa-

ny Odéonem, nie pamiętam jak się nazywał?

Szelmowskie czarne oczy Yvonne natychmiast zapłynęły łzami, usta skuliły się w podkówkę jak u dziecka.

— Nie widzisz, że jestem ubrana czarno, choć to wiosna? Nieszczęsny chłopiec pomimo strasznych awantur, które mu wyprawiałam, uparł się i poszedł na ochotnika, choć dwukrotnie był zwolniony przez komisję. Poszedł na warjata w obronie honoru grupy poetów „L'Aigle à pied“, o których reakcyjne gazety pisały, że są zaprzędani Niemcom. Odeon został pod... Zapomniałam jak się to nazywa — gdzieś daleko w Argonnach. To bohater i prawdziwy poeta, bo przecież i on był zajadłym antymilitarystą. Podła „La Source“ podała o jego śmierci, że to była jego jedyna znośna oda, za co nasz Duvier, członek grupy „L'Aigle à pied“, dopiero co wypuszczony z więzienia pana Clémenceau, sprął na ulicy kijem jakiegoś bonhomme'a, który był uderzająco podobny do naczelnego redaktora „La Source“. Staramy się zebrać najlepsze ody i wydać w ozdobnej plakiecie z życiorysem i z programową przedmową, ale zupełnie nie mamy pieniędzy. Dałabyś cośkolwiek na to, Evo, z tych niemieckich kapitałów, żeby ci nie ciążyły za nadto na sumieniu...

— POCO z niemieckich, dam z moich własnych.

Rzeczywiście Eva nie została przyjęta ani przez prezesa Czerwonego Krzyża, ani przez dyrektora Komedji Francuskiej, ani przez sekretarza generalnego

Instytutu — ludzi, którzy byli dla niej kiedyś bardzo grzeczni, a jeden, najstarszy wiekiem, mocno zabiegał o jej względy. Nie przyjęto jej ani u byłego ministra Sadron, ani u generałostwa Goulay.

W hallu Lutetii zgłaszały się jedynie jakieś marne figury z nieznanymi, pośledniejszych gazetek, żyjących ze skandalu. Gdy Eva nie zechciała z nimi mówić, zaczęły się ukazywać lakoniczne parowierszowe wzmianki. Eva nie wierzyła własnym oczom, tak dalece było to niktzemne i plugawe. Wielkie dzienniki pomijały milczeniem te napaści, nikt nie wziął jej w obronę, a były to redakcje zaprzyjaźnione, które nigdy nie odzywały się o Evie Evard inaczej, jak z najwyższym uwielbieniem. Wówczas zaczęła telefonować, ale dziwnym trafem nigdy nie mogła uzyskać połączenia z żadnym ze znajomych redaktorów.

Tego jeszcze nie zaznała w życiu. Przywykła do hołdów, oblegana była przez reporterów i fotografów... Czyżby opuścili ją wszyscy? Co za fantastyczne nieporozumienie... Przecie wystarczy jednego słowa z II-go Biura Ministerstwa Wojny ażeby ją nie tylko zrehabilitować, ale podnieść na wyżyny i w jednej chwili odmienić wszystkie sądy. Czemuż nie poszła od razu po przyjeździe do starego przyjaciela generała Dubreuil, ażeby urobił o niej należyłą opinię w prasie i zgóry nakazał powstrzymać przypuszczalne plotki? Cenzura wojenna była wszechmocną i bez jej przyzwolenia nie przekradłoby się jedno słowo wymierzone przeciwko osobie tak zasłużonej dla armji jak ona. Czemu nie poszła? Poprostu jakoś

nie chciało jej się. Był to wielki błąd, bo teraz trzeba będzie prostować, bronić się, a to już wygląda na ponizenie, to przeoczenie czy zaniedbanie może ją drogo kosztować...

Na rue St. Dominique, gdzie w listopadzie miała długą poufną konferencję z szefem II-go Biura, zjawienie się jej nie wywarło najmniejszego wrażenia. Około godziny wysiedziała się w poczekalni, gdzie wciąż przechodziło i szastało się mnóstwo oficerów a każdy przyglądał jej się natarczywie. Była najpewniejszą, że przychodzili umyślnie ze wszystkich biur żeby na nią popatrzeć. Sekretarz szefa siedzący w kącie nie zwracał na nią żadnej uwagi.

Nareszcie ktoś znajomy!

Smukła postawa, twarz jednooka, zeszepecona, cała w szwach i bliznach — ależ to on, poległy przed pół rokiem kapitan Percin... Spojrzał i podszedł do niej z wysiłkiem o lasce, suwając nogami, pod pachą dźwigał wielką wypchaną tekę.

— Więc pan żyje!...

— Miło mi powitać panią, pani Evo! Żyję, choć w oficjalnych wykazach zaliczono mnie wśród tych, którzy padli w listopadzie pod Soissons. Byłem ciężko poparzony i nawpół uduszony—Żółty Krzyż! A zanim mnie dowieziono do Paryża pani już mi znikła.

— Byłam tak zrozpaczona... Właściwie dlatego tylko wyjechałam, na moje utrapienie... Wszystko przez pana.

— Widzi pani co za los... Pomyłka jakiegoś

sierżanta ewidencyjnego w pułku... I wszystko na-
nic. Niczem w wojennym kinodramacie.

— Wcale niezły pomysł, ale w kinie reżyser nie
zmarnowałby tematu, byłby napewno ciąg dalszy—
„w pół roku później“ i tak dalej, gdy tymczasem
nasz scenarjusz, panie kapitanie...

— Wiem, wiem — i może szkoda, że inaczej
być nie może.

— Zaprawdę szkoda, że wówczas nie stało się
jak być miało, ale teraz... Lepiej że nic z tego nie
będzie, ale możemy jeżeli pan zechce zachować sto-
sunek przyjacielski?

— Z pewnością, pani Evo, ale nigdy już nie bę-
dziemy ze sobą mówić o tem co było? Nieprawdaż?

— Oczywiście! Ani o tem, czego nie było!

— Tak jest! A teraz, co panią sprowadza do
tak osobliwej instytucji jak to biuro?

Eva zaczęła się skarżyć. Nic nie wiedział o jej
przygodach berlińskich, ani o ucieczce, ani o powro-
cie, ani o tem, jak ją tu przyjęto. W krótkich sło-
wach opowiedziała mu o sobie — wkońcu przy-
chodzi prosić o pomoc starego przyjaciela generała
Dubreuil i od godziny czeka oto na audjencję.

— Na audjencję u generała Dubreuil może pa-
ni czekać przez całą wieczność. Generał Dubreuil już
od dwóch miesięcy nie jest kierownikiem II-go
Biura.

— Więc dlaczego ten pan, który siedzi za stoli-
kiem pod oknem nie powiedział mi o tem ani słowa?

— Tu są takie zwyczaje, ale z pewnością za-

meldował panią nowemu szefowi.

— Nie mam żadnego interesu do nowego szefa. Pan nie zna adresu generała Dubreuil?

— Ach, pani, nie chciałbym żartować, ale o ile wiem, to na cmentarzu Gentilly. Prostu umarł...

— Jakto?

— Był stary, spracowany, wojna go dobiła. Zachorował, chorował — i już.

— Biada mi! On jeden jedyny we Francji wiedział o mojej misji, która była najpoufniejszej natury. On jeden mógł poinformować prasę, że moje germanofilskie wynurzenia w Berlinie, generał Sittenfeld, film „Bogowie Germanji“ i wszystko temu podobne było bezpośrednio związane z moją misją. A tymczasem on sobie umiera... To niesłychane!

— Pani Evo, wszyscy jesteśmy śmiertelni.

— Piękna pociecha!

— Mówię to, ponieważ i generał znał tę prostą prawdę, więc na wypadek śmierci napewno zachował w swoich papierach jakiś ślad owej tajemniczej misji. Zresztą w naszych biurach nic nie zostaje bez należytego utrwalenia i zadokumentowania. Z pewnością istnieje dossier Evy Evard. Będziemy szukać, obronimy panią, proszę się uspokoić! Ale co do szerokiej opinii o pani, będzie to trudna sprawa. Opinia nasza jest w tych czasach wyjątkowo zawzięta i chciwa na zdrajców — potrzeba jej wciąż świeżego żeru, to też rzuca się jej na pastwę coraz to nowe ofiary... Pani zna sprawę Caillaux? Człowieka

tego trzyma się w więzieniu w znacznym stopniu dla uspokojenia chorobliwej opinii. Żałuję, że obecnie nie należę służbowo ani do II-go Biura ani wogóle do Ministerstwa, jednak ma się znajomości i drogi... Proszę wierzyć, Pani Evo...

Paryż odetchnął swobodnie i ochłonał. Ustały nocne alarmy z atakami powietrznymi, zamilkła dalekosiężna baterja, nieprzyjaciel wyczerpany utknął na drodze do stolicy i umacniał się na krwawo zdobytych stanowiskach. Na ulicach ukazały się kolumny jeńców, przeciągały zdobyczne niemieckie baterje, dzienniki w arcyprzemądrze motywowanych artykułach dowodziły, że cała ta kampanja, zwana „zaskoczeniem 27-go maja“ skończyła się ostatecznem wyczerpaniem żywej siły nieprzyjaciela, a zdobycze w terenie, pomyślne do pewnego stopnia, taktycznie zepchnęły Niemców z drogi ich naczelnej doktryny strategicznej i, biorąc rzecz strategicznie, pogorszyły ich położenie, odbierając im, za tym razem już ostatecznie, wszelką nadzieję na osiągnięcie celów wojny.

Swoją drogą zastanawiającą ilość dowódców, którzy dali się byli „zaskoczyć“ odesłano do Limoges „w stan rozporządzalności“, oddając ich w pazury „Tygrysa“, srogiego ministra wojny. Swoją drogą nie podano wykazu strat, to też szeptano sobie o nich cyfry straszliwe. Swoją drogą pomstowano na Anglików a zwłaszcza na przeubóstwionych Amerykanów, którzy w dniach grozy zalewali ulice, kawiarnie, teatry paryskie i nie zaznaczyli bodaj jako tako

poważniejszego udziału w ostatnich walkach. Swoją drogą potęga niemiecka wisiała nadal nad Paryżem jak złowroga czarna chmura.

Na dworcach znowu tłok i zamęt, zewsząd przybywały przepelnione pociągi zwożąc z powrotem rzesze uprzywilejowane, które miały za co uciekać. Pewnego dnia przyjechał wraz z innymi senator Guillet-Goudon i tego samego jeszcze dnia, gdy tylko dowiedział się o powrocie Ewy, przybiegł do hotelu Lutetia zawsze wierny i zawsze ten sam, z pięciem wspaniałych róż Maréchal Niel.

— Wiem, wiem, wszystko już wiem! Tragiczne nieporozumienie, które ośmiesza nasze wyższe sfery... Ale zarazem jest to hańbą Francji! Jakto? Piętnować bojkotem największą artystkę świata? Jakto? Czyż, wojna nie wojna, Eva Evard nie ma prawa służyć sztuce gdzie i jak jej się podoba? Czem my jesteśmy? Co zrobiła z nas wojna?

Eva dała mu się wygadać, dała mu po wielokrotnie ucałować obie ręce, wreszcie oznajmiła mu o swojej tajnej misji, wiedząc, że stary zacznie natychmiast biegać po ludziach i jutro cały Paryż będzie wiedział o jej zasługach wobec Francji i o jej krzywdzie.

Senator osłupiał. Skandal przechodził granice wyobraźni! Więc ta, która narażała życie dla Francji nie jest, gdy szczęśliwie uniosła głowę, witaną tryumfalnie, noszoną na rękach, dekorowaną, a wręcz prześladowaną? Więc osławione II Biuro odmawia wszelkiej interwencji i przyjmuje znakomitą artystkę

i bohaterkę narodową bezprzykładnie oziębłe a nawet drwiąco? Te ohydne salony... Te redakcje, skorumpowane przez „Tygrysa“...

Na szczęście jest człowiek, który stawi czoło nieludzkiej nagance szowinizmu i ignorancji i podniesie swój głos na całą Francję. Odsłoni prawdę. Przedstawi bezmiar ohydnej krzywdy. Zażądaadośćuczynienia za zniewagę i nagrody za czyny bohaterstwa.

— Pani Evo, natychmiast staję do walki. Na szczęście położenie na froncie ustaliło się, Komitet Obrony Stolicy, do którego mam zaszczyt należeć, zwolni tempo swoich prac, które zabierały mnie w całości. Mam czas, jestem przekonany, że już po paru dniach zwyciężymy na całej linii, w istocie całe nieporozumienie polega na jakimś kolosalnym głupstwie, które nawet nie zasługuje na miano absurdu... Jest to produkt wojny — ogłupienie masowe, nagminne, zaraźliwe. Bywa ono inspirowane, bywa i samorzutne, rodzi się z niczego i grasuje bez żadnej zasady ani przyczyny, gubi jednych, wywyższa innych, grzebie sprawy najsprawiedliwsze a buduje fikcje, rujnuje przyzwoitych ludzi, służy hultajom... Pokolenia miną, zanim Francja otrząśnie się z tej zarazy, zgaśnie pamięć bohaterstwa i cześć dla krwi przelanej, a z ojców na synów i na wnuków przetrwa najpodlejsze nasienie wojny — upadek intelektualny i moralny społeczeństwa.

Na pytanie Ewy co do położenia na froncie i widoków na najbliższą przyszłość senator Guillet-

Goudon wypowiedział mnóstwo mądrych frazesów, a wkońcu przyznał się ze swoją szlachetną szczerością, że na te pytania nie może jej dać żadnej odpowiedzi. Dlaczego? Dlatego, że sam nic już nie rozumie, a więc i nic nie wie.

— Ani jeden człowiek w Paryżu nie da Pani podobnej odpowiedzi. Każdy generał, mąż stanu, gazeciarz będzie wywodził przed panią mnóstwo racji co trzeba uczynić, kogo obalić a kogo postawić na jego miejsce, żeby osiągnąć zwycięstwo. Każdy gazeciarz zna położenie Anglii, Francji, Włoch, Ameryki, a z drugiej strony Niemiec, Austro-Węgier, Turcji i przeniknął ducha ich żołnierzy oraz ich zasoby aż do ostatniego guzika, ten wie, że zwycięstwo nasze jest zgóry zapewnione. I niech no kto spróbuje wątpić! Biada mu! Ale ja twierdzę, że nikt u nas nic nie wie. Tak samo z całą pewnością jest i po tamtej stronie, bo w tej tak zwanej końcowej fazie wojny inaczej być nie może. Przez cztery lata nagromadziło się w nas za wiele okropności, kryzysów, zawodów, ciosów, straconych nadziei, nadaremnych wysiłków, potwornych błędów. W mózgach mężów kierowniczych zebrało się pełno osadu, który paraliżuje myśl i wolę. Brniemy na ślepo macając przed sobą jak w ciemnościach, kto teraz zna własne siły, nie mówiąc już o siłach przeciwnika? Codziennie i to po dziesięć razy na dzień przysięgamy sobie nawzajem wiarę w zwycięstwo a po sto razy na dzień, nieustannie zapytujemy się w duchu, czy to wszystko co czynimy i w czym żyjemy nie jest snem? Każdy

chce się przebudzić, wydrzeć się z koszmaru i ocknąć się w jakimś innym świecie. Nawała faktów bije nas po łbie i nie da ani na chwilę spocząć żeby zebrać myśli. Gdzie się podział genjusz ludzki, który daje moc przenikania wszelkich zakamarków i w jasnowidzeniu wybiera najlepszą drogę do zwycięstwa? Nasi mężowie opatrności — i nie tylko nasi — upierwotnili się, powiedziałbym schamieli i nic więcej nie wymagają od siebie jak tylko—trwać. Trwać, to teraz słowo najwyższej mądrości, zaklęcie magiczne na naszą bezradność, niemoc, na cały chaos, który nas zalewa. Są tacy, co wyliczyli, że możemy trwając tak wytrwać aż do połowy roku 1920-go — nie znam obliczeń niemieckich... I to się nazywa prowadzeniem wojny!... W tych warunkach...

Eva, słuchając tych wywodów, nudziła się, siedziała zadumana i smutna, patrząc na gościa spojrzaniem dalekiem i nieodgadnionem, co podniecało go do coraz głębszych wynurzeń, do coraz dosadniejszych syntez.

Myślała o swoich dziwnych losach, gdy fortuna zawsze ją prowadziła z usługnym uśmiechem i o tem pierwszym załamaniu się, które mogło być przelotne i minąć, ale stało się ono już dla niej jakby złym znakiem, groźbą. Znalazła się w okropnem ponizniu, jej ukochany Paryż, jedyna ojczyzna, zamierza ją zmiażdżyć i gorzej niż zabić. Z tych świetnych tłumów, ze wszystkich wielbicieli i przyjaciół został jej ten kapitan-psycholog, który nie miał żadnego znaczenia, i śmieszny bonhomme senator, który obie-

kuje wszystko, a nie potrafi nic i na dobitkę zdaje się spodziewać dla siebie jakowejś nagrody.

Fortuna odwróciła się od niej. Ucieczka z Berlina—to była ryzykowna przygoda pełna uroku jak dobry epizod filmowy, podniecający, bojowy. Zaznała i strachu, ale nawet w najgorszych chwilach czuła w sobie dzielność i fantazję, wierzyła w swoją gwiazdę. Teraz była zgnębiona brutalnym afrontem ze strony przybranej ojczyzny i zdradą przyjaciół, a choć usiłowała wierzyć wraz z lekkomyślnym senatorem, że nie dziś to jutro nastąpi zwrot w opinji, to jednak trapiła się, jakby już wszystko przepadło.

Mogą ją przeproszać na klęczkach, opiewać jej sławę, nawet nagrodzić Legją Honorową, ale nic już nie wydrze z duszy tej urazy, która wbiła się i uwiązała jak cierń. Paryż, ten jej Paryż okazał jej wrogie oblicze, był zimny, obojętny, zaledwie ją znośił. A jej cudowne miasto to wszak nie tylko wspaniałość gmachów i przedziwna harmonja jego rozplanowania, nie muzea i świątynie, i nie bogactwo, i nie jego wielkie dzieje promieniujące z ulic, pomników i murów. To nadewszystko jego rodzona swojskość i uśmiech nieodpartej macierzyńskiej słodyczy, który witał ją na każdym kroku. Sprawiali to ludzie — przyjaciele, cała ich masa, rozsiana wszędzie w różnych warstwach i środowiskach po obu brzegach Sekwany, i gdy ludzie odwrócili się od niej—nie stało Paryża. Eva zawisła w pustej przestrzeni, czuła się wygnaną, bezgranicznie poniżoną. Nie podda się, będzie broniła swojej czci, ale

gdy tylko zwycięży, natychmiast porzuci na zawsze zdradliwe miasto, nawet nie obejrzy się za siebie, nie pożałuje nikogo z dawnych przyjaciół i wielbicieli. Gdzież się podzieje?

Świat był szeroki, ale choć jej sprawa się wyjaśni, a prasa, między innymi hałaśliwe, brukowe gazetki filmowe rozniosą wszędzie wieść o tem, wszędzie, bodaj w Argentynie, bodaj na antypodach w Australji wyląduje wraz z nią cień skandalu, jakaś ciemna afera wojenna. Posągowa, boska Eva Evard, kapłanka czystej sztuki, ukochanie i słodycz wszystkich pięciu części świata — tajną agentką? Wmie-szana w jakąś intrygę szpiegowską, sama szpieg, oczywiście grubo płatny, wślizgiwała się między ludzi jak podstępna żmija, wykradała dokumenty, udaną miłością, fałszywem oddaniem zniewalała ludzi do zdrady? Mniejsza o to komu służyła i przeciwko komu — tak nie inaczej powie świat. Przedsiębiorcy filmowi uczynią z tego kolosalną reklamę, wy-twórnice będą się licytować o nią, może zarabiać miliony, ale straci się na zawsze jej wyjątkowy typ, jedyny na kuli ziemskiej, bo dużo jest zdolnych artystek, popularnych gwiazd filmowych—Eva Evard była wśród nich nieporównaną, postacią najwyższej miary tak samo na ekranie jak i w swojej istocie ludzkiej. Powstanie o niej cała nowa literatura i poważna, artystyczna i ta nierównie głośniejsza, obrzydliwa, sensacyjna, tandetna. I jedna i druga nie pominą jej nieszczęsnej „afery szpiegowskiej“, będą się w niej nurzać, będą jej bronić, będą o niej pisać

paszkwile... To zdejmowało ją wstrętem.

Nie zabraknie jej reklamy i chwalby, ale nigdy nie odzyska dawnej szczytnej chwały. Do tego Niemcy i daleko sięgające wpływy niemieckie będą ją prześladować do końca życia jako najgorszego wroga. Pocóż nieszczęsna wdała się w te sprawy? Co ją pokusiło?

Kapitan Percin nie pokazywał się, senator przychodził dwa razy dziennie, musiała słuchać jego tyrad politycznych, jadać z nim obiady, znosić jego umizgi. Rozwinął on wielką akcję, dotarł wszędzie, ale wszędzie przyjmowano oziębłe jego niewyczerpane krasomówstwo, niezbite dowody niewinności Ewy i jej krzywdy. Wszędzie powtarzano mu, że dopóki nie wyjdzie odnośny komunikat wyjaśniający, bodaj półurzędowy, ze strony Ministerstwa Wojny, dopóty opinia musi zachować ostrożną rezerwę, to też poważne dzienniki milczały o powrocie Ewy Eward, jakgdyby nikt jej nie znał w Paryżu, a różne świstki sensacyjne zaczęły na dobre kampanję oszczerstw w feljetonach o przygodach Ewy Eward w Berlinie. Chciwie czytali je wszyscy.

Ministerstwo Wojny odmówiło wręcz wszelkiej interwencji. Senator biegał po piętrach, wysiadywał godzinami po poczekalniach, wytrwale obijał progi niezliczonych biur, przeniówł się gorzko z niejednym oficerem o wielu galonach, pokłócił się z dwoma generałami, starymi przyjaciółmi, i nic nie wskórał. Wszędzie wymawiano się brakiem informacji o rzeckomej misji pani Eward. gdzieniegdzie oznajmiono

mu, że właśnie czynią się w tym względzie poszukiwania, wreszcie w pewnym wydziale zapowiedziano mu wręcz, że choćby „ta pani“ rzeczywiście miała powierzoną sobie przez zmarłego generała Dubreuil poufną misję wywiadowczą, to choćby była naprawdę bohaterką narodową, i w takim razie II Biuro jednym słowem nie odezwałoby się w jej sprawie, chyba w jakiś czas po wojnie a nawet po zawarciu pokoju.

— A to co znaczy, panie pułkowniku? Dlaczego? Na miły Bóg!

— Ma to swoje bardzo poważne uzasadnienia. Gdybyśmy oznajmili wręcz, że pani Eva Evard była wysłaną przez nas, mogłoby to skompromitować niektóre osoby, które służą nam w Niemczech.

— A więc stwierdza pan nareszcie, że pani Evard została wysłana do Berlina?!

— Nie, panie senatorze, proszę mnie nie chwytąć za słowa, ja tego nie powiedziałem!

— Jakto nie?

— Wymieniłem jej nazwisko w formie prostego przykładu.

Wobec tego senator Guillet-Goudon uczynił krok bohaterski i zażądał audjencji u samego ministra wojny, zapisał się w jego sekretarjacie i z niezmiernym strachem w duszy, nie śpiąc po nocach, czekał na wyznaczenie mu dnia i godziny przyjęcia przez drapieżnego „Tygrysa“.

— Ja mu powiem! Już ja mu powiem... Powiem mu, jak nikt w tych okropnych czasach dyktatury

wojennej i powszechnego poniżenia nie ośmieliłby mu się powiedzieć... Powiem — panie ministrze...

I Eva musiała wysłuchiwać po dwa razy na dzień jego groźnej przemowy do boga wojny i największego potentata Francji, senator odgrażał się srodze i wplatał coraz nowe warjanty do swojej mowy, przewidywał gwałtowną dyskusję i zgóry obmyślał zabójcze repliki.

— Klika wojskowa... Słepy upór figur zawodowych z tajnych zakamarków... Ich inkwizycyjne „obyczaje“, wyznawane z jawnym cynizmem... Zguba szlachetnej kobiety, oddanej Francji... Niczem nieusprawiedliwione morderstwo moralne... Panie ministrze — obaj pamiętamy dobrze sprawę Dreyfusa i wówczas staliśmy po tej samej stronie barykady...

W istocie senator truchlał przed tą straszną godziną. Bał się brutalnego przyjęcia, bodaj zniewagi, bał się jeszcze bardziej, że się zmiesza i nie zachowa się jak przystało na senatora Republiki — o osobliwych przyjęciach petentów, zwłaszcza parlamentarzystów w gabinecie ministra wojny krążyło mnóstwo opowieści i anegdot.

Eva zupełnie podupała na duchu, nie chciało jej się nawet chodzić za sprawunkami, choć przybyła do Paryża w jednej sukni i w jednym jedynym okryciu wiosennem z małą podręczną walizeczką. Bała się spotkać kogoś znajomego, wychodziła na miasto ukradkiem, przeważnie wieczorami, Paryż jej obrzydł. Nie miała żadnej chęci ani woli do walki — niech będzie co chce — przegrała sprawę i już. Najlepiej

wyrzec się wszystkiego i ruszyć w świat. Uciec? Tak jest, ucieknie od tych brudów.

Oszczercze feljetony o romansie generała Sittenfelda, o tajnej agenturze niemieckiej pod firmą Mundus-Filmu, o ultra szpiegu, niejakim van Trothene, znanym filmiarzu, z którym pani Eva Evard była w najpoufniejszych stosunkach, o kino-komedji romantycznej „ucieczki“ przez granicę szwajcarską (przez lodowce!), o owych pięciu milionach marek, które „znakomita przyjaciółka Francji“ rozważnie zdeponowała po drodze w Banco Commerciale Italiana w Bernie...

Były to już zupełnie wyraźne insynuacje, niemal denuncjacje — senator wystraszył się do tego stopnia, że mimo wrodzonego skąpstwa udał się do spelunki szantażu w odnośnej redakcji i po godzinie targów wyłożył z własnej szkatuły niezbyt wygórowany haracz i przeciął radykalnie dalszy ciąg przyczynków do „Peregrynacji wojennych znakomitej gwiazdy ekranu“.

Szantaż był oczywisty dla każdego z gorliwych czytelników tych sensacyjnych elukubracji, krzywdą Ewy Evard aż nazbyt krzycząca, a jednak we wrogiej lub obojętnej opinii nie nastąpił żaden zwrot.

Jakto?! Nikt, ale to nikt a nikt nie przyszedł do niej po tem wszystkim, nie napisał do niej paru słów, nie złożył jej bodaj karty wizytowej? Eva była tem bardziej jeszcze zdumioną niż zgnębioną.

— Snać nie miała pani w tym naszym kochanym Paryżu prawdziwych przyjaciół — prawili sena-

tor Guillet-Goudon, — czyli chcę powiedzieć, że miała pani ich zbyt wielu, to też waga gatunkowa każdego z nich musiała okazać się przy pierwszej potrzebie zbyt nikłą... Zdarza się to nieraz osobom znakomitym, podziwianym i nadmiernie otoczonym w dniach pomyślności... Ludzie naszej sfery, tej tak zwanej elity społecznej są wraz ze swemi perfumami i kulturą stadem nierównie bardziej wstrętnem, niż ciemny plebs cuchnący brudem, potem i wyziewami „ordinaire’u“ w cenie trzydziestu centimów za litr... Ci przynajmniej czasami zdobywają Bastylję a teraz bez szemrania kładą się pokotem na polach Francji, gdy tamci... Ach, pani Evo!...

W swem tragicznem osamotnieniu powinna była tem bardziej cenić wypróbowaną ofiarną przyjaźń senatora, cóż, kiedy mimo wszystko stał się on dla niej tak nieznośny, że musiała się przed nim wyklamywać, zamykać, a nieraz wprost uciekać. Urościł on sobie prawo do pewnych poufałości, które z dnia na dzień nabierały tendencyj obrzydliwie ewolucyjnych i posuwały się coraz dalej. Minął tydzień od spotkania z kapitanem Pércin a nie dawał on znaku życia, przepełniało to Evę ciężką goryczą, gdyż na niego miała prawo liczyć z całą pewnością. Śnać niedoszły z przed pół roku kochanek zdążył w ciągu tego czasu ochłonąć i zobojętnieć tak samo jak ona względem niego — znowu porażka, gdyż nigdy jeszcze nie spotkał jej podobny afront ze strony mężczyzny. Wiadać i on poszedł za resztą, i jego odstraszyło od niej piętno skandalu.

W godzinach największego przygnębienia zjawiały się momenty jakby ocknienia ze złego snu i wówczas Eva nie tylko ufała w przyszłość, ale mogła nawet śmiać się ze swojej tragedji, która była właściwie jeno komedją z pomyłek. Samo spiętszenie się jej niepowodzeń było oznaką, że chodziło tu jakby o osiągnięcie maximum efektu, zostawionego na sam koniec, gdy „sprawa Ewy Evard“ rozbłyśnie wielkim tryumfem prawdy na podziw całemu światu. Tak właśnie ułożyłby tę rzecz zdolny reżyser, ale i w życiu absurd nie może być osią losu człowieka, absurd może tylko odegrać pewną rolę aby ustąpić wreszcie przed logiką, zdrowym sensem.

Budziła się w niej ochota do życia, układała plany na najbliższą przyszłość. Gdy tylko w opinji zajdzie zwrot na jej korzyść i gdy fala „przyjaciół“ wzbierze i toczyć się będzie w kierunku hotelu „Lutetia“, uprzedzi ich w porę i wymknie się z Paryża. Zachowała w pamięci tydzień samotności, spędzony przed wojną w Szwajcarji w samej czeluści gór — w Mürren. Zamieszka w tym samym hotelu, w tym samym pokoju o wielkiem szerokim oknie, zajmującym całą ścianę. Hotel wisi nad dziką przepaścią, do której dna nie dotrze oko, a po drugiej stronie piętrzą się nagie czarne ściany, porysowane żlebami, szczelinami, strasznemi pionowemi kominami, przez które prą i przeciskają się w fantastycznych skrętach lodowce. Wprost w okno patrzą białe Silberhorn i ponure Czarny Mnich, a ponad tem, gdy podnieść oczy, w górze zasłaniają świat i wystrze-

lają w niebo spowite w wiecznej białości szczyty Jungfrau, Mönch i Eiger. Tam odgrodzi się od całego świata, zapomni o wojnie, będzie się wpatrywała w chaos lodów, w nieprzejrzaną pustynię białej śmierci, zagubi się w tajnikach krawędzi, przesmyków skalnych i śnieżnych dolin zawieszonych na wyżynie, kędy nie stąpił jeszcze i nie dostąpi nigdy okuty but i czekan najśmielszego alpinisty. Upoi się lazurem lodowcowych załomów i purpurowym pożarem śniegów o zachodzie słońca a w noc księżycową przeniknie ją dreszcz grozy i ekstazy, gdy cały świat gór powlecze się martwym całunem śmierci. Z piorunowym pogrzmotem w niezliczonych echach załomoce po nocy lawina i wytrąci ją ze snu na długie dumania i zapatrzenie się w zagadkę świata gór. Nadciągną chmury i poczną przewlekać się przez szczeliny, przewalać się przez przełęcz, uczynią z każdego szczytu wyspę na szarem morzu mgieł, ujawnią i ożywią niedostrzegalne, zlewające się w jedno ze wszystkim iglice, żebra skalne i zręby. Wyżej, niżej, tu i tam w ruchomych i zmiennych postaciach między chmurami jak w oknach i ramach będą się ukazywać i przechodzić ułamki straszliwych spadów, osypisk, grzbietów wyźębionych jak piły, przesuną się tajemnicze twory kamienne, stojące na graniach, posągi wielkoludów, zamczyśka i twierdze nadpowietrzne, baśnie zaskrzepłe w granicie...

Tam odpocznie, opamięta się. Żadnych znajomości, żadnych gazet! Odbędzie kilka wypraw w skały i lody bez żadnego przygodnego towarzystwa,

które zawsze i wszędzie przyczepia się do niej, pójdzie z jednym przewodnikiem, umęczy się, odetchnie czystym szczytowym powietrzem. A potem będzie usiłowała pracować.

Dawno już marzył jej się własny film, utwór w wielkim stylu, potężny a prawdziwy i szczerzy, to znaczy w niczem nie podobny do wszystkich dramatów i dramacideł, w których dała swe nieporównane kreacje i uzyskała sławę światową. Oddawna obrzydły jej te głośne serje przygód, niespodzianek, banalności i okropności, historie zbrodniarzy i aniołów, nędzarzy i bogaczy, detektywów, sądów, więzień, ucieczek i pogoni, nie mówiąc już o ciężkiej nudzie romansów, zazdrości, zdrad i pocałunków. Eva występowała tylko w najpierwszych wytwórniach Europy i Ameryki a jednak i tam produkowano nieraz tandetę, skleconą na efekt, okrywając pustkę i nicość treści bogactwem wystawy, sztuczkami kinowemi i grą Ewy Eward. Postanowiła sama zabrać się kiedyś do rzeczy i pokusić się o to, by dać światu w jednym utworze pełnię piękna i szczyt wyrazu, wykorzystać nieograniczone możliwości ekranu. Przy swoim fachowem doświadczeniu, ze swoją kulturą, wyobraźnią, mogłaby stworzyć dzieło znakomite. Temat? Tematów miała mnóstwo, ale jej ruchliwe, rozpętane życie, ciekawość świata, mnóstwo znajomości oraz żmudna praca zawodowa nie dały jej nigdy skupić się nad tym starym już zamiarem. Kiedyż jak nie teraz będzie mogła oddać się pracy?

Niech się wlecze wojna, niech wreszcie zdycha

aż zdechnie w jakimś okropnym paroksyzmie agonji... Niech się roją i trapią jej niezliczeni „przyjaciele“ w Paryżu, w Londynie, w Rzymie, w Wiedniu, w Berlinie... Niech cały świat zapomni o Evie Evard... A ona w ukryciu zasklepi się w sobie, pograży się w swoim dziele, będzie mozolić się, studjować, badać, będzie przerabiać je po tysiąc razy, by osiągnąć to, co zamierzyła — doskonałość. I kiedyś, za rok, może za dwa lata wyjdzie z ukrycia, założy wytwórnię i pod własnem kierownictwem zgromadzi wielkie kapitały, najlepsze siły artystyczne, pierwszorzędnych fachowców, sama obejmie główną rolę i olśni i zdobędzie świat — stworzy epokę w dziejach sztuki filmowej.

Pocieszyło ją to znacznie, radaby odrazu wyjechać i zabrać się do pracy, rzucić obrzydły Paryż i sprawę swojej rehabilitacji, nie czekając na skutek zabiegów senatora. Pewnego dnia zjawił on się ze zmienioną twarzą, która bladła i czerwieniała naprzemian i drżącym głosem bełkotał jakieś ogólnikowe, złowróźbne zdania, przepłatane słowami obelżywemi pod niewiadomym adresem. Trząśł się, odgrażał się i o mało nie płakał. Błagał o szklanekę wody, wreszcie wypił pół syfona zanim Eva odgadła raczej niż zrozumiała, że senator wraca wprost z posłuchania u ministra wojny.

— To zbrodniarz, człowiek skalany... Ten intrygant, osiwiały w świństwach, ten brudny panami-sta!... Jak on śmiał?! Pani Evo, dla pani poniosłem najcięższą ofiarę mego życia... Ale godnie stawilem

mu czoło! Zacząłem dostojnie, niemal serdecznie — panie premierze — powiedziałem, — nie przychodzę do pana jako do władcy Francji i kierownika wojny... Staję tu jako długoletni kolega pański, jako senator przed senatorem... A on mi przerywa i tym swoim nieznośnym skrzekliwym głosem.. Mniejsza o to. Wówczas i ja zacząłem inaczej.

— Niechże pan mówi do rzeczy — cóż on ostatecznie powiedział?

— Ostatecznie? Nic nie powiedział! Gdybym chciał przedstawić to posłuchanie w przesadnej karykaturze, mógłbym przypuszczać, że mnie już po pierwszych słowach poprostu wypędził. Trwało to niedowiary krótko—parę minut... Nazywają go tygrysem... Za wiele honoru! To zwierzę nieczyste, raczej krokodyl, wyszczerzający paszczę z cuchnącej wody..

— Panie senatorze, na miłość boską!

— Powiedział ot temi samemi słowy, które pani tu odemnie słyszy i właściwie poza wielu przykrościami, skierowanemi w moją stronę, aż dziw, że się to zmieściło w tych dwóch minutach czasu—było to jedyne, co wogóle powiedział. Ten zbrodniarz ośmielił się powiedzieć, a raczej zagrozić: — Niechno ta pani siedzi cicho bo ja się do niej dobiore...

— Doprawdy?!

— A na moje pytanie, wie pani, w tonie jaknajbardziej kategorycznym — co to ma znaczyć, odpowiedział...

— No co?

— Nie mogę tego powtórzyć w pani obecności,

zresztą skierowane to było raczej do mnie jednego...

— Ale co, nareszcie?!

— Myślę właśnie nad konsekwencjami tej zniewagi... Mógłbym to zataić, gdyż rozmowa była we cztery oczy, ale nie wiem, czy mi wolno... Muszę się naradzić z przyjaciółmi...

— Więc?

— Niepodobieństwo, pani Evo... No, postąpił sobie ze mną jak zwyczajna kanalja... Wśród wielu innych jest pewne rynsztokowe słowo—zresztą bardzo krótkie. Takie było nasze pożegnanie, nie mogłem nawet trzasnąć drzwiami, na co miałem ogromną ochotę, gdyż zaledwiew dotknął klamki, drzwi otworzyły się przedemną same, a trzymał je z tamtej strony jakiś drab. Oto, pani Evo, obraz Francji pod obcasem Clémenceau. I gdyby to się wkońcu na coś przydało, ale pożał się Boże...

Eva czuła się w Paryżu coraz bardziej nieznośnie, znajomi spotykani na ulicy udawali, że jej nie widzą, a nigdzie nie mogła zachować swego incognito, bo obcy poznawali ją na każdym kroku. W Wersalu w parku grupa zwiedzających śnać z prowincji zrobiła jej huczną owację z okrzykami i oklaskami, od których uciekła, w pawilonie leśnym w St. Cloud publiczność podniecona przez jakąś patryotyczną jejmość z nieodgadnioną opaską na ramieniu obrzuciła ją obelgami, więc znów musiała ratować się ucieczką. Pocziwa Yvonne opiekowała się nią jak umiała, urządziła na jej cześć wieczorynki w swoich dwóch

pokoikach na Grande Chaumière, spraszając fantastyczną zbieraninę, resztki dawnej paryskiej bandy z Montparnassu z dodatkiem nowych typów z epoki już czysto wojennej. Śpiewano Madelon i Internationale, deklamowano utwory skreślone przez cenzurę wojenną, odczytywano listy przesyłane drogą tajemną przez przyjaciół zza kraty z „Santé“, z frontu, z więzienia wojskowego na Cherche-Midi i wychylano toasty na ich cześć. Połowa z gości byli to cudzoziemscy studenci, poeci, malarze, poniewierający się na bruku paryskim od początku wojny, a wśród cudzoziemców przeważali Rosjanie, typy znędniałe i ziejące goryczą, ni to ofiary rewolucji, ni to z rozpacz i pijaństwa niemal pół-bolszewicy. Zaglądali tam żołnierze urlopowani na parę dni z frontu, ozdrowieńcy ze szpitali paryskich, bywał zawsze i grał rolę gospodarza, który finansował te libacje, hrabicz Yvonny, nihilista i dekownik z opaską W. C. Eva i tam nudziła się, jedyną ozdobą i urokiem tych nocy był oślepy na froncie od gazów piosenkarz i gitarzysta, młodzieńczy Emile Rouchon, który głosem zgaszonym, pełnym rezygnacji deklamował swe śmiertelnie posępne utwory. Gdy wśród pijanego gwaru zabrzękły jego struny cichło wszystko w skupieniu. Słuchano „Mensonge de la Gloire“, „La Guerre après la Guerre“, „Les morts de Châlons“ — piosenki poświęconej pamięci żołnierzy rozstrzelanych rok temu w obozie w Châlons. Dziś ociemniały poeta przyniósł nową piosenkę o niemieckich gazach pod tytułem „Ballada o pięciu krzyżach“ na nutę

znanych pobudek i fanfar wojskowych z wtórem akordów żałobnego marsza.

*La croix bleu te fait tout vert,
La croix verte te peint en bleu.
Et la jaune plonge tout en noir
En brulant tes yeux.*

*Soldats, garde à vos masques!
Il est permis de choisir...
Soldats, garde à vos masques!
C'est pour vous faire plaisir...*

Evie zdawało się, że słucha niemieckich piosenek okopowych na zebraniu „Kassiopei“ w Berlinie przy akompanjamencie „banjo“, zdobytego na murzynie francuskim pod Arras. Gwałt i zamęt były takie same, taka sama rozhukana młodzież wojskowa, urlopnicy, szpitalnicy inwalidzi, tylko mundury były nie „feldgrau“ a „bleu horizon“. Te same anegdoty, dowcipy, bunty, przekleństwa i drwiny ze wszelkich świętości a w gruncie wieczyście to samo młodzieńcze ofiarne męstwo.

I tu i tam wojna zużyła już wszystkie szczytne hasła, modlitwy, zaklęcia. Oficjalni poeci, dziennikarze nawołujący do wytrwania, owi zniechęceni zawodowcy, którzy robią zapal bojowy, „les bourreurs des crânes“, wyszargali już do cna wielkie słowa, proklamacje, manifesty, ody bohaterskie, epitaphia żałobne, produkowane masowo w ciągu czterech lat,

obrzydliły żołnierzom uroczyste wzniosłości. Oddawna już są one przedmiotem drwin po obu stronach frontu, zato i tu, i tam w okopach zrodziła się nowa swoista poezja w samorodnej gwarze żołnierskiej, pełna nagiej prawdy o wojnie i w grubych cynicznych słowach i zwrotach, które są nie do powtórzenia na papierze, przemawia jakowymś sposobem do znękanych serc i dusz. Ona budzi śmiech, podnosi humory, gdy okopy toną we wszach i w błocie, jej najgłupsza jakaś na pozór zwrotka jest powtarzaną z uniesieniem przez wszystkich i biegnie przez okopy od kompanji do kompanji, od pułku do pułku, od korpusu do korpusu, od armji do armji przez setki kilometrów, poprzez całą pokręconą linię frontu. W bezimiennej twórczości żołnierskiej w steku bezeceństw, urągają, wyśmiewiska zdarzają się i głębie przedziwnej poezji z której bije mimo rewolty poczucie ojczyzny i powaga wojny, i dostojeństwo poświęcenia, i prostota bohaterstwa a nawet wśród obelg, drwin i wyzwisk — szacunek dla nieprzyjaciela i jego męstwa.

Eva patrzyła na tych złych żołnierzy, na tych „sans patrie“, którzy jutro za nierozważne słowo, za jeden gest mogą stanąć przed sądem polowym, słuchała ich pogróżek i kawałów i wiedziała, że ci jednak do końca spełnią swój obowiązek, jak i tamci z niemieckiej „Kassiopei“. Zadumała się. Ileż to czasu, ile lat przeminęło od chwili, gdy opuściła Berlin, rzecz nie do wiary — niespełna trzy tygodnie...

*Voilà la science
Qui travaille pour toi.
Si tu as de la chance,
Elles seront à la fois
Toutes les trois
Elles seront à toi
Les plus belles croix.
Puis celle „de Guerre“
Et enfin une de bois...*

I nagle tamte twarze, które gdzieś zostały, jej tamtejsze dzieje, które napróżno szukają swojego miejsca w prądzie niepojętego czasu, wydały jej się nieprawdą, przyśnieniem, wizją wyobrażoną, która przeminęła i nie może mieć nic wspólnego z jej obecnym życiem. Któż to ją ściga posądem i oszczerstwem? Kto się waży oceniać i karać ją za czyny fikcyjne wśród ludzi nieistniejących? A jeżeli to była zwyczajna powieść cieni, które dawno już zgasły na ekranie? A jeżeli to była tylko zabawa w wojnę dla rozrywki Evy Evard?

*Soldat, le Christ te regarde
Du haut de sa croix.
Vois, soldat, comme il est pauvre,
Est-ce qu'il n'est pas trop pauvre
Auprès de toi?
Lui, il n'en a qu'une —
Il n'a qu'une seule croix...*

XIX.

Nareszcie po niezliczonych konferencjach, ceremonjach, namowach i zabiegach senatora Guillet-Goudona, który pracował z całą furją fanatyzmu, przełom w opinji zaczął zdradzać pierwsze objawy jakowychś zaczątków realizacji. Oto trzech matorów opinji, zdręczonych do ostateczności przez senatora, z dobrą wiarą, ale kto wie, czy nie dlatego jedynie, żeby się od niego raz odczepić, zgodziło się zapoznać ze sprawą Ewy Evard, ale bynajmniej jej nie rozpatrywać, na wstępnej komisji poufnej, która nie miała mieć charakteru sądu honorowego ani praw orzecznictwa, ani — i t. d., i t. d. Pomimo tylu zastrzeżeń, było to jednak dźwignięcie sprawy z martwego punktu i jakowyś przecie początek rzeczy. Byli to panowie: René Sanson — były członek Trybunału Kasacyjnego, bardzo stary, patryarcha radykalizmu, Michel Dugast, historyk, mumja apolityczna z Akademji Napisów i Ernest Dunoyer, głośny adwokat, jedyny młody człowiek między czcigodnymi starcami, gdyż dobiegał zaledwie lat sześćdziesięciu. Senator nastawał, żeby Eva była przesłuchaną protokularnie,

ale kolegium po dłuższym zastanowieniu odrzuciło to żądanie i uchwaliło, że pani Evard może być co najwyżej zwyczajnie „wysłuchaną“ bez żadnych notatek, co nie naruszałoby charakteru prywatnego całej procedury. Konferencja zbierze się prywatnie w mieszkaniu senatora, zaproszona przezeń wraz z osobą zainteresowaną na filiżankę herbaty.

Senator tryumfował, Eva dziękowała mu ze łzami, które go tak wzruszyły, że padł przed nią na kolana i przypił się do jej rąk. Nie wiedział, że były to gorzkie łzy poniżenia. Oto do czego doszła ulubienica fortuny, rozpieszczona przez ludzi Eva Evard... Wierzyła, że to dopiero początek wielkiej akcji, ale nie była przygotowaną na tak upakarzające ostrożności ze strony trzech matadorów z których liczył się zaledwie jeden były członek Trybunału Kasacyjnego, ale i ta była gwiazda najwyższej magistratury była jeno echem czasów sprawy Dreyfusa i ci, którzy go jeszcze pamiętali, byli pewni, że René Sanson od dawna już umarł. Teraz zacny senator wygrzebuje go dla niej z mogiły zapomnienia... Cóż, widać nikt z większych powag nie chciał się mieszać w te sprawy, każdy się boi rozjuszonej opinii. Eva postanowiła jeszcze zaczekać co z tego wyniknie, ale nie opowiadając się senatorowi złożyła dokumenty w prefekturze policji z podaniem o pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii „w celach artystycznych“.

Tymczasem Niemcy uderzyli potężnie i znów nieoczekiwanie, tym razem w Szampanji. Bohaterskie Reims, które wraz ze swoją katedrą w ruinach

ostało się tylekroć przed najzacieklejszymi szturmami, miało być lada chwila ogarnięte przez nieprzyjaciela. I udręczony Paryż, zanim zdążył odetchnąć po minionej nawałnicy, znowu zbudził się pewnego poranka z koszmarem klęski w duszy. Nanowo ze drżeniem oczekano na gazety, złe wieści, alarmujące pogłoski przebiegały przez wspaniałe avenues, przez bulwary, mosty, ulice, i uliczki i najnędniejsze ślepe zakątki potwornego mrowiska ludzkiego, na które z wyżyny trzech tysięcy metrów spoglądali lotnicy nieprzyjacielscy, miotając w ten zamęt swoje pociski. Ludzie znowu nie wierzyli komunikatom, oskarżali wodzów, domagali się całej prawdy i truchleli przed nią.

W trzecim dniu ofensywy Eva otrzymała tajemniczy telefon, czyjś niewyraźny głos męski prosił ją w tonie dziwnie nakazującym, żeby zechciała być dzisiaj jeszcze, o godzinie czwartej w Jardin d'Acclimatation w głównej alei — sprawa niesłychanej wagi — mówi przyjaciel, sądzi, że go pani Evard pozna po głosie?

— Nie przyjmuję podobnych zaproszeń.

Znowu dzwonek.

— Pani Evo, to jeszcze ja — czy pani nie pozna je? La gueule cassée...

— Ach, to pan, tak, teraz poznaję.

— Więc bardzo proszę być!

— Będę, ale dlaczegoż...

— Proszę nie pytać o nic!

W cywilnem, nieszczęśliwym ubraniu kapitan Percin wyglądał obco i niemiło. Ze swoją pokiere-

szowaną jednooką twarzą zdawał się być złoczyńcą, który wylizał się po jakiejś strasznej bójce z podobnymi sobie. Był zdenerwowany, w zapomnieniu powitał ją po wojskowemu, przyłożywszy dłoń do swego słomianego „canotier’a“. Wparł w nią złe, jadowite spojrzenie—Ewę ogarnęło zdumienie, że ten pan kiedyś mógł ją zachwycić i porwać.

— Panie kapitanie, co za ostrożności? Czyżbym była aż tak zapowietrzona w Paryżu, że szanujący się oficer...

— Tak trzeba. Nie będziemy mówili o głupstwach, nie pora na to. I niech się pani śpieszy, niema godziny do stracenia!

— Na Boga, z czymże mam się śpieszyć?

— Dziś, jutro, w ostateczności jeszcze pojutrze może pani przejechać przez granicę, później już pani nie przepuszczą. Pojutrze wydane będą rozkazy i zaczną panią śledzić. Niech pani natychmiast rozpocznie starania w biurze gubernatora wojennego Paryża... Wiadomo mi, że Pani paszport już tam leży, przesłany z prefektury policji. Biuro paszportowe gubernatorstwa nie otrzyma żadnych instrukcji co do pani w ciągu najbliższych trzech — czterech dni, niech pani uzyska pieczętkę wojskową a potem już tylko wiza helwecka... I niech pani jedzie! Niech pani unosi głowę z tej nieszczęsnej afery!

— Niechże mi pan da chwilę do opamiętania... Co się stało? Co mnie grozi? Dlaczego pan na mnie patrzy tak strasznie?

— Nie patrzę strasznie, staram się tylko spraw-

dzić, przeniknąć w pani nagą prawdę, poznać po tych pani oczach...

— Co pan chce przeniknąć?

— To, co i tak zgóry wiedziałem. A teraz jestem zupełnie przekonany, że pani jest niewinną. Inaczej, proszę mi wierzyć, nie ostrzegałbym pani.

— Któż mnie posądza? O co?!

— Jeszcze się pani nie domyśla? Nasz kontrwywiad ma poważne poszlaki, że pani jako kochanka generała Sittenfelda...

— Nie byłam jego kochanką! Zbliżyłam się do niego dla ułatwienia sobie mojej misji... Wykrałam mu plan pierwszej ofensywy wiosennej...

— O tem wiadomo, oczywiście plan był fałszywy i mógł wprowadzić w błąd naszą Główną Kwaterę...

— To nie moja wina.

— Słusznie, to też nikt pani o to nie oskarża, albowiem niema dowodów, żeby pani ze złą wiarą...

— Więc o cóż?!

— O to, że pani, zmieniawszy swe antypatje na sympatje, tudzież odwrotnie, nie mówiąc już o ogromnem wynagrodzeniu pieniężnem, podjęła się działać przeciw Francji, wydobywając dla Niemców tajne informacje...

— Ależ od tych Niemców, od tego samego właśnie generała Sittenfelda zmuszona byłam uciekać nagwałt w tem, w czem stałam... A przez granicę w okolicach Bazylei przeprowadziła mnie nasza tajna agentura graniczna, a ostrzegł mnie i poma-

gał mi we wszystkim szef naszego wywiadu i jego zastępca.

— Tamtejszy szef już nie żyje...

— Van Trothen umarł?

— Zwarjował i był niebezpieczny, więc umarł w porę.

— To Abbegglen go zgładził, jego zastępca!...

— Nie wiem, ale ten siedzi już w więzieniu zdradzony przez... Posądzają o to właśnie panią.

— To obłąd! Temu człowiekowi zawdzięczam moją ucieczkę a może życie!

— I cóż to znaczy? Kontrwywiad twierdzi, że cała ucieczka pani była mistyfikacją w celu odzyskania w Paryżu dobrej opinii i prestiżu, nadwątlonych przez pani germanofilskie wystąpienia i afiszowanie się z generałem Sittenfeldem.

— Dobrze, a pomoc Abbegglena?

— Był w rękach prowokatorów.

Eva roześmiała się, a widząc ponurą, straszną twarz kapitana Percin, która zaskrzepła i nawet nie drgnęła, zaczęła się śmiać w najlepsze.

— O, pani Evo... Popamięta pani kiedyś ten niewczesny śmiech... W jakiejś strasznej godzinie... Obym był złym prorokiem... Niechże pani będzie poważną!

— Jakże, na Boga, mam być poważną, kiedy pan, mój dawny przyjaciel i tak wybitny uczony psycholog oskarża mnie...

— O nic pani nie oskarżam! Ja panią chcę ratować! Powiedziałem już raz, że jestem przekonany,

że pani nie zawiniła w niczem, chyba w zdumiewającej lekkomyślności z jaką pani wtrąciła siebie w najokropniejsze powikłania dla głupiej zabawy, dla sportu!

— A więc choćby dla sportu -- ale z całej duszy chciałam dopomóc Francji...

— Ja wierzę, ale cóż ja tu znaczę? Są inni a w ich rękach jest pani wolność a nawet życie, ci widzą poszlaki, pozory, ci szukają winowajcy straszliwego krachu centrali wywiadu francuskiego na całe Niemcy. Zostaliśmy bez wywiadu jak ślepi w najokropniejszej fazie wojny, a zresztą cała gromada ludzi zaufanych, prawdziwych bohaterów wpadła tam w ręce nieprzyjaciela i żaden z nich nie wyjdzie żywy. Teraz ze zrozumiałą wściekłością poszukują sprawcy tej klęski a pozory wskazują na panią. Wisi nad panią okropne niebezpieczeństwo! A pani się śmieje...

— Już się nie śmieję. Rozważam moje czasy berlińskie i napróżno szukam owych pozorów, staram się pojąć, skąd urodził się ten kolosalny absurd...

— Na dociekania ma pani czas! Teraz trzeba myśleć tylko o jednym, jak się wymknąć, bo gdy panią raz chwycą...

— Więc pan przypuszcza, że sądy francuskie na podstawie jakichś pozorów...

— Dopuszczam wszystko, mogą panią nawet uwolnić, ale równie dobrze mogą panią zasądzić na dziesięć lat albo skazać na śmierć i wyrok wykonać w dwadzieścia cztery godziny! Nikt nie zdoła prze-

widzieć jak się rzecz obróci, to zależy od tysiąca okoliczności. Nie znam aktów pani sprawy, ale jeżeli w owym fatalnem „dossier“ znajdują się czyjeś kategoryczne zeznania? Jakiś nieostrożny list, pisany pani ręką? Jeżeli na dobitkę ma pani gdzieś tam ukrytego wroga? A pierwszy lepszy zbieg wydarzeń, zaobserwowany przez kogoś, przypadkowe zetknięcie się dwóch faktów, lub fakcików, z których każdy jest niczem, a w połączeniu stanowią szkopał, z którego się pani nigdy nie wyplącze? Mogła pani popełnić lekkomyślnie jakiś drobny błąd, który przy swojej minimalnej wadze, w splocie pewnych okoliczności może panią śmiertelnie obciążyć i pociągnąć na dno... Mniejsza o to, zadanie pani na teraz jest proste — trzeba uciekać zagranicę, ma pani przed sobą trzy dni i ani godziny więcej!

— Więc dla jakichś fantastycznych przypuszczeń tych nieciekawych panów z waszego kontrwywiadu mam złamać cały mój program na ten sezon, mam uciekać a więc wyrzec się nazawsze rehabilitacji wobec opinii francuskiej i poddać się bojkotowi towarzyskiemu? Właśnie grupa bardzo poważnych osobistości przystępuje do akcji w celu oczyszczenia mnie z zarzutów germanofilstwa... Dlaczego pan się śmieje?

— Śmieję się, bo cóż mam z panią począć... Chcę panią ratować a pani jak głupie dziecko, jak jakieś bezrozumne stworzenie, nie widzi okropnej grozy położenia... Nie alarmowałbym, gdybym nie miał niezbitych danych, że zaciąga się dokoła pani

śmiertelna sieć, a gdy ona się raz zamknie... Wszak nie przychodziłem do pani od tylu dni, bo natknąwszy się na samym początku mych zabiegów na wyraźną niechęć ku pani ze strony pewnych bardzo miarodajnych czynników, postanowiłem zbadać rzecz dokładnie. Nie poszło mi to łatwo, ale gdy przychodzę teraz i ostrzegam panią, to wiem co mówię.

— Niechże mi pan przynajmniej powie coś bardziej konkretnego... Ja tak nie mogę...

— Proszę poprzestać na tem, co pani wie. Nie mogę zdradzić pewnych szczegółów, powierzonych mi w tajemnicy przez kolegę z II Biura na słowo oficcerskie. Rozpacz mnie bierze, bo może toby panią przekonało, ale muszę milczeć.

— Dziękuję panu kapitanowi za tak daleko posuniętą życzliwość... A może jednak wyjawiłby mi pan tę straszną rzecz, bo gdybym wiedziała, że jakaś wstrętna intryga wymierzona jest przeciwko mnie... Kto wie, możebym się zdecydowała posłuchać pańskiej rady...

— Nie! Proszę zawierzyć memu słowu!

— A więc i ja powiadam—nie! W każdym razie jestem szczerze wdzięczna. Do widzenia!

Odwróciła się szybko i poszła w głąb parku. Była oburzona, ogarniała ją nienawiść do wrogiego paryskiego świata, który ją dręczy i prześladuje, rzucała wyzwanie wszystkim jawnym i tajemnym mocom tego miasta, zawzięła się — nie tak to łatwo zahukać i zastraszyć Evę Evard! Szła porywczo prosto przed siebie aż w końcu alei padła na ławkę.

Poczuła swoje osamotnienie i bezsilność, zdawało jej się, że bezmierny ciężar przytłacza ją do ziemi. Z oddala przez zarośla dochodziły ją skrzeczenia i wrzaski egzotycznych ptaków. Coś tam beczało monotonnie, tęsknie, melancholijnie, jakieś stworzenie boże porwane z końca świata, zamknięte w klatce rzucało w przestrzeń swą beznadziejną nostalgię. Ozwał się ze zgłuszoną potęgą daleki chrapliwy ryk, to lew libijski dusił się w niewoli, nawet za żelazną kratą nieposkromiony i groźny.

Całą swoją dzielną naturą buntowała się przeciw przemocy jakiegoś głupstwa, choćby ono miało nawet kosztować ją wiele kłopotów i przykrości. Nie jest dzieckiem, które ucieka z ciemnego pokoju od tak zwanych „strachów“ — kapitan Percin nakrył się prześcieradłem i udaje upiora, ten psycholog ma chorą imaginację albo dostał manji prześladowczej w jej imieniu — kto wie czy jej jeszcze nie kocha...

Niepodobna brać poważnie całego alarmu, najwyżej są to jakieś biurokratyczne kawałki manjaków, zasiedziały w kontrwywiadzie z dodatkiem psychozy wojennej, przez którą wszędzie dopatruje się „niemieckiej ręki“ i „infiltracji“ wpływów nieprzyjaciela. Wyrosło to oczywiście na gruncie nie-szczęsnego bojkotu towarzyskiego i kampanji feljetonowych szantażystów a wzmogło się jeszcze podświadomie w skutku zwycięstw niemieckich i ich ponawianych mistrzowskich zaskoczeń. Powietrze tu-tejsze jest wprost zatrute podejrzliwością, byle konsjerżka, byle gap bulwarowy wszędzie widzą szpie-

gów i zdrajców i ustawicznie niepokoją władze bezpieczeństwa — Eva czytała już artykuły, które wyzierały na tę plagę.

Tak rozumując Eva uspakajała się, otrząsając się z ciężkiego wrażenia i z niejakiego przelotnego strachu po rozmowie z kapitanem Percin. Cóż, kapryśnica fortuna przez całe jej życie tak wierna narazie odwróciła się od niej, trzeba to umieć przetrwać i przeczekać—i tak ma dość trosk z głupią i tchórzliwą „opinją“ Paryża, zniosła kampanję oszczerstw, przewycięży i fantasmagorję jakichś komicznych kontrwywiadowców. Swoją drogą dużo by dała, żeby znaleźć się o tej porze w zacisznej Helwecji, w swoim wymarzonem oknie w hotelu w Mürren.

I nagle ujrzała wizję swego zamierzonego filmu. Sypnęła się na nią nawała obrazów, scen, gestów, wyrazistych twarzy. Chwilami mknęły przesuając się jak na ekranie harmonijne, powiązane ze sobą, jakaś przyciszona orkiestra nuciła melodie wybrane i film żył, biegł, kipiał, tchnął prawdą. To znowu z chaosu pomysłów i kształtów wynurzała się—w formie jakowegoś wpatrzonego w nią oblicza, w formie szalonego ruchu i tłumy na skrzyżowaniu ulic wielkiego miasta, w formie dymów z kominów fabrycznych, w formie drzew szamocących się na wicherze i w tysiącu jeszcze postaci — główna idea utworu, jego dusza, jego cała przyczyna.

Cóż to ma być?

Musiała odpędzać z pamięci niezliczone podobieństwa, analogje, wzory obrazów, w których grała lub które widziała kiedykolwiek, bo wszystko już było i powtarzało się po stokroć, zda się, że film zużył i wykorzystał do dna każdą możliwość ludzką i że już nic dla niej nie zostało. Gubiła się w swem doświadczeniu i erudycji, wynurzała się, przedzierała się przez obcy gąszcz i wreszcie znalazła się jakby w pustce — chwila nicości — i ujrzała przed sobą wyraźnie coś niebywałego jeszcze, co było jej własne, jak dziecię z niej zrodzone, raz na zawsze jedyne, niepowtarzalne.

Natychmiast musi śpieszyć do domu i zanotować na paru kartkach bodaj sam rdzeń pomysłu, obawiała się, że zanim zdąży to uchwycić wizja rozwieje się jak przedziwny zapomniany sen.

Posiadła skarb, ogarnęła wymarzone dzieło swoje. Co jej znaczy wroga opinia Paryża, co znaczą warjackie podejrzenia kontrwywiadowców... Co tam senator Guillet-Goudon ze swymi matadorami, co tam złowróźbny kapitan Percin...

Ale ten czekał już na nią w pobliżu Porte Dauphine, spotkali się przed stacją Métro. Eva spojrzała nań swoim promiennym uśmiechem, czuła w tej chwili całą radość życia, była szczęśliwa.

— A więc, pani Evo, łamię słowo dane przyjacielowi i zdradzam jedną z tajemnic armji...

— Ach, niechże pan tego nie czyni! Poco? Ja i tak pana nie posłucham...

— Pani usłucha. Proszę mi dać powiedzieć!

— Cóż, niech pan mówi, ale jeżeli to dla pana jest takim dramatem...

— Proszę mi zostawić moje dramaty, to moja rzecz, co z nimi uczynię. Otóż między innymi oskarża panią pewna wybitna agentka nasza, osoba absolutnego zaufania, przekazana nam przez kontrwywiad brytyjski. Pani ją zna z Berlina, choć nie wiedziała pani, że pozostaje ona w naszej służbie. Ta osoba znajduje się obecnie w Paryżu po ucieczce z pogromu naszej berlińskiej centrali. Dalej, wykradła ona i przywiozła ze sobą dokumenty, obciążające panią w sposób zdecydowany.

— I któż to taki?

— Niejaka pani Lamande, podobno pani bywała nieraz w jej domu na Lutzowstrasse...

— Nie znałam tej pani, nigdy jej nie widziałam na oczy, ani jej domu na Lutzowstrasse. Panie Percin, co za bajki?... Doprawdy że pan jest już śmieszny! Kto się poważy wpierać we mnie podobne rzeczy? Co są warte oskarżenia i dokumenty takiej osoby? Przecież to pryśnie przy pierwszej naszej konfrontacji. Albo jest to najgłupsze i najzwyczajniejsze *qui pro quo*, czyli bierze mnie ona za kogo innego...

— To niemożliwe, Eva Evard jest znana wszystkim i jest jedyna na świecie!

— A zatem pani... Jak ona się nazywa?

— Pani Lamande.

— Więc chyba jest warjatką, agentką obłąkaną z gorliwości... Albo też... O Boże... Jeżeli wszystko

co pan mówi jest prawdą, to wygląda to na jakąś podłą intrygę Sittenfelda!

— Prawdopodobnie tak jest, pani Evo, i to jest właśnie najgorsze co panią mogło spotkać!

— Ten niktzemnik ściga mnie aż tu swoją zemstą, ale cóż to za tępe i głupie Niemczydło!... Któż da wiarę podobnym bredniom? I czyż nie jasne, że owa pani Lamande udając, że służy nam, służy wyłącznie Niemcom? Czyż to nie oczywiste nie tylko dla panów „fachowców“ z kontrwywiadu, ale dla każdego rozumnego człowieka?

— To nie jest takie proste, jak się pani wydaje, zaklinam, niech pani nie lekceważy grozy położenia! Pomimo wszelkie słuszne racje i najtrafniejsze hipotezy — niech pani czempędzej ucieka!

— Więc pan przypuszcza, że sąd francuski wzięłby się na lep ordynarnej intrygi Sittenfelda?

— Intryga bynajmniej nie wydaje mi się ordynarną. Jest ona z pewnością opracowana w każdym szczególe i z niemieckim pedantyzmem zgóry już przewidziała wszystkie pani zaprzeczenia i zarzuty.

— Ależ ta pani beczelnie kłamie!

— Z pewnością, tylko trzeba jej tego dowieść.

— Ona się zdradzi przy pierwszym mojem pytaniu! Ona nie wytrzyma i załamie się haniebnie na moje pierwsze spojrzenie, tak że każdy pozna, co to za typ!

— Nic podobnego, pani Evo, już Sittenfeld dobrze wiedział co czyni i wiedział kogo nam przyśłać. To musi być zbrodniarka mądra, gotowa na

wszystko jak demon. Ta się nie zmiesza, nawet się nie zająknie w krzyżowym ogniu pytań ani w śledztwie, ani na sądzie, przeciwnie, swoją bezczelnością jeszcze skonfunduje panią. A przytem jest nauczona, wytresowana, zaopatrzona w dowody rzeczowe...

— Sfałszowane!

— Dokumenty dobrze podrobione są zazwyczaj lepsze i jeszcze bardziej przekonywujące niż autentyczne, to rzecz oddawna znana.

— Ależ ja odkryję całą intrygę, dam dowody skąd płynie nienawiść do mnie Sittenfelda, o tem wie cały Berlin! Na każde moje słowo znajdę świadków!

— Proszę pamiętać, że niema mowy o świadkach, którzy są w Berlinie!

— Mój adwokat zażąda od nich zeznań na piśmie, sto wybitnych osobistości potwierdzi moje słowa!

— Pani adwokat będzie zbyt rozumnym człowiekiem, żeby w Berlinie szukać świadków, a choćby to uczynił, ani jedna ze stu wybitnych osobistości nie napisze słowa na korzyść pani, gdyż tam rozgłoszono już, że pani była agentką francuską.

— I tę własną agentkę prześladowają sądy francuskie? Moi Niemcy nie są znowu tak strasznie głupi.

— Pani Evo, niech się pani nie upiera, niech pani zostawi na boku drażliwości honoru i najśluszniesze ambicje. Zdradzę pani, że moja hipoteza o intrydze niemieckiej była nawet rozważana gdzie należy...

— A więc sprawa jest na najlepszej drodze i narzeczcie dajmy temu spokój!

— Hipoteza ta została stanowczo odrzuconą! Tak orzekli ludzie poważni i rzetelni, ci, w czyich rękach znajduje się pani los, a więc — biada pani! Pani wie co to jest sąd wojenny, nasz conseil de guerre? To straszliwa, ślepa machina, powołana do tego, żeby tępić zdradę, żeby ścigać i mordować sam jej cień! Niech pani wie, że z chwilą, gdy pani zostanie uwięziona, cała opinja Francji i krajów sprzymierzonych obróci się przeciw pani! Podczas śledztwa i sądu wszyscy jednym wielkim głosem będą się domagać pani głowy! Niech się pani postawi na miejscu członków sądu, którzy ponadto będą mieli przeciw pani fakty, zeznania, dokumenty.

— Ależ chyba oni są od tego sędziami, żeby odróżnić prawdę od fałszu? Żeby się oprzeć naciskowi ogłupionej opinji! Kimkolwiek będą ja zgóry ufam ich rozumowi i sumieniu, zresztą nie skazuje się tak łatwo Ewy Eward, ulegając jeno pozorom — i zbrodniczej zachciance niemieckiego generała. Niech pan już nic nie mówi, to się na nic nie zda. Przyjmuję wyzwanie losu! Doprawdy, byłabym niepełna rozumu, gdybym uległa pańskim namowom.

— Ależ ja wybłagałem, wyzebrałem dla pani trzy dni zwłoki, ręcząc za panią honorem... Może tam w duszy radziby byli nawet dać pani uciec... A gdy minie ten czas...

— Panie kapitanie, ja panu powtarzam, że musiałabym być chyba obłąkaną, żeby usłuchać pana.

Niedalej jak przed trzema tygodniami nieszczęsny van Trothen błagał mnie, żebym uciekała przed zemstą niemiecką i usłuchałam go. A teraz oficer francuski nagli mnie, bym uciekała przed pomstą Francji. Ależ to się nie mieści w głowie! To wojna pana zmogła, panie Percin, pan cierpi na urojenia!

— Kochałem cię, Evo — odrzekł kapitan głosem zduszonym i beznadziejnie smutnym — i chciałem cię ocalić. Ty wspaniała!... Ty gwiazdo!... POCO ci ginąć marnie w poniżeniu, w hańbie, twójże to los?

— Proszę się nie obawiać, nic mi nie będzie — i doprawdy już do widzenia!

— Ejże... Ejże... Opamiętaj się! Nie igra się z wojną, Evo Evard!...

XX.

Praca nad filmem szła opornie, ale Eva przema-
gała wytrwale trudności, piętrzące się u samego
wstępu do dzieła. Zalewało ją bogactwo materiału,
na każdą myśl przybiegało niewołane mnóstwo róż-
norodnych jej wcieleń i wyrazów a wybór był trud-
ny, gdyż wszystkie były trafne a jeden lepszy od
drugiego. W fabule roiło się od postaci, trzeba było
powściągać natłok i z żalem gubić w nicości nie-
jednego człowieka, który bronił swego istnienia i wy-
mownie wykazywał swoją niezbędnosć. Początku-
jącą autorkę ogarniał chaos szczegółów, ale nigdy
nie traciła z oczu głównego celu, owej wizji pier-
wotnej, która, jak mniemała, uczyni z jej pracy dzie-
ło wyjątkowe.

Nasunął jej się tytuł „Opętane Miasto“, rzecz
dzieje się w milionowem rojowisku jakiejś nowoczes-
nej stolicy, przewija się mnóstwo ludzi, na tle życia
tłumu i mas wielkomiejskich, ich powszedniego
dnia, ich doli i niedoli. W ulotnych momentach od-
słaniają się tajemnice czyichś losów w różnych środo-
wiskach, nawiązują się sploty wydarzeń, zatargów,

smutków, dramatów, radości i wnet urywają się nazawsze, toną w zamęcie i rozgwarze bezmiennego zbiorowego bytu. W opowieści brak bohatera, brak indywidualnej intrygi, jedyną siłą działającą nieprzerwanie z potęgą i logiką żywiołu jest tętno wielkiego zbiorowiska, jego dech, jego rytm. Gorączkowy pośpiech i natłok ulic, tłumy, zatory samochodów, bogate sklepy, kawiarnie, hotele, parlament, giełda, fabryka, dworzec kolei podziemnej, lotnisko, kościoły, koszary, szpitale, sale sądowe, więzienia, gabinety uczonych, pracownie artystów, jaskinie złoczyńców, muzea, galerje obrazów, przytułki nocne, komisarjaty policji, szynkownie, salony, teatry, spelunki, stadjony i boiska sportowe, domy publiczne... Od świtu do późnej nocy kotłuje się w mieście zamęt ludzki, bezcelowy i opętany, na podobieństwo niepojętego dla nas bytu mrowiska.

Na to olbrzymie tło, pozostające w ciągłym ruchu, wstępuje na początek nieznacznie i zrzadka postać kobieca i przemyka się wśród odmętu obrazów, a dalej raz po raz ukazuje się przelotnie a zawsze z niezapomnianą swoistą wyrazistością w splocie indywidualnych wydarzeń, to w tłumie ulicznym, to wśród fotografii na szpaltach świeżego dziennika, to w złotych ramach portretu na wystawie sztuki. Jest panną sklepową, bogatą damą, żoną robotnika, głośną artystką, świetną kurtyzaną, mówczynią na mitingu, sponiewieraną ulicznicą, kochanką bandyty, rekordzistką sportową, jedzie we wspaniałej limuzynie, siedzi od wielu lat w więzieniu. W mnóstwie prze-

brań, przeobrażeń i masek jest zawsze tą samą, jest w bezlitosnej, zimnej przepaści tego miasta uosobieniem sprawiedliwości, dobra, miłosierdzia, jej gniewne spojrzenie powściąga złych i okrutnych, jej uśmiech krzepi znękanych i zbłąkanych, jej łza spada na stygnące oblicze nieszczęsnego samobójcy — to ona, Eva Evard, jedyna bohaterka „Opętanego Miasta“, jego dobry duch, symbol przyszłego, przyjść mającego człowieczeństwa, które kiedyś, gdy wypełnią się czasy, zdejmie ze stolic świata przeklęte znamię dzikiej puszczy i opętania.

Nie dbała o to, czy jej film nazwą tendencyjnym, czy kameralnym, czy eksperymentalnym, co na to powiedzą fachowcy, czy ją poprze reklama, nie dbała nawet, czy przemówi do szerokich mas, znieprawionych i ogłupionych pustką i szablonem przeciętnego filmu.

Zapamiętała się, nic jej nie odrywało od pracy, czasami pojawiała się poczwarna jednooka twarz kapitana Percin i Eva odpędzała ją uśmiechem. Na trzeci dzień po ich rozmowie przyniesiono jej pneumatykę.

— Pani Evo, na legalny przejazd granicy już zapóźno, pozostaje jeszcze jedno — jechać dziś wieczornym pośpiesznym pociągiem o godzinie 9.15 z gare Austerlitz na Bordeaux — Pau do końcowej stacji Oloron St. Marie u podnóża baskijskich Pirenejów. Tam w oberży „Pod Pic d’Ani“ odszuka pani przewodnika nazwiskiem François Trescazes, powoła się pani na mnie i zamówi go pani na kilkodniową

wycieczkę w góry i zaraz następnego dnia bez trudu przez jakąś przełęcz, którądy nie przechodzi żadna droga jezdna, przekroczy pani bardzo słabo pilnowaną granicę hiszpańską. Treszazes zgodzi się panią doprowadzić nawet do Pampeluny. Zaklinam jeszcze raz! Ani chwili do stracenia!

— *G. c.* —

— Co za wzruszająco uporczywy manjak... Trapi się i dręczy, gdy mnie jest tak dobrze — a teraz znowu wyprawia mnie do Pampeluny...

Kłopotał się, latał po Paryżu i pocziwy senator Guillet-Goudon, gdyż pierwsze posiedzenie komisji trzech matadorów odwlekało się wciąż z powodu nagłej niedyspozycji sędziwego patriarchy radykalizmu, byłego członka Trybunału Kasacyjnego.

— Obawiam się, że René Sanson umrze nam poprostu — biadał senator, napróżno poszukując odpowiedniego zastępcy. — Ci nasi wielcy starcy żyją zdumiewająco, dopóki są nikomu niepotrzebni, ale gdy nadarza im się ostatnia wyjątkowa sposobność do odegrania zaszczytnej roli, zawodzą w sposób nieprzyzwoity i jeszcze każą nam wlec się przez całe miasto za swoim pogrzebem i słuchać godzinami okropnych przemówień...

Eva śmiała się, senator postrzegał ze zdumieniem, że walka z opinią jakgdyby przestała ją interesować. Nie była ciekawą nowin z frontu, ani paryskich plotek. Ostatnia wielka ofensywa niemiecka załamała się i utknęła już w trzecim dniu. Szef gabinetu ministra wojny, generał Mordacq powie-

dział do prasy — panowie, mam zaszczyt wam oznajmić, że wygraliśmy wojnę! A oto nowina najbardziej przełomowa i wprost oszałamiająca! Stara margrabina de Lambesc, zmordowana i zdręczona przez senatora do ostatnich granic odporności ludzkiej, zgodziła się wreszcie przyjąć u siebie Evę!

— Proszę podziękować pani margrabinie za ten zaszczyt, ale gdy mnie raz odprawiła z niczem, nie będę jej się więcej narzucać.

— Pani Evo, na miłosierdzie boskie! Wszak to rzecz ogromnej wagi! Nazajutrz po tej wizycie cały Paryż...

— Wiem, ile zachodu kosztowało to pana, ale doprawdy, nie mam czasu, pan wie jak mnie pochłania mój film. Jestem początkującą autorką, byle co może mnie wytrącić z natchnienia...

Zamknęła się. Pracowała całymi dniami i długo w noc. Stopniowo zaczęło się w niej zacierać poczucie realnego życia i ten Paryż, i wojna, i jej własne troski i zawody. Była upojona, była szczęśliwa. Fikcja porwała ją i wplotła w swoje nieogarnione, stubarwne tworzywo. Zapamiętała się w samotności, zatraciła się w rozpętaniu wyobraźni, zwłaszcza cichą nocą ulegała nieraz złudzeniu, że ona sama, kobieta imieniem Eva Evard przestała istnieć i tak, jakby umarła, a rozproszone pierwiastki jej duszy krążą i błakają się kędyś w przestrzeni po olbrzymim, zagadkowym obszarze nieznanego miasta.

W rozkosznem utrudzeniu, z zamętem w głowie

oderwała się od pracy. Spojrzała na zegarek — dochodziła siódma rano. Przez spuszczone story i kotary słabo przenikał słoneczny dzień czerwcowy. Paryż, oddawna obudzony, już huczał głucho, sprawując swój codzienny myt. Eva wypuściła pióro i zasłuchiwała się w ten głos, w którym imieniem milionów istnień odzywał się do wszystkich jej wcieleń i postaci — Paryż, stolica świata — Ope-tane Miasto...

— Kto tam?

Stukanie było stanowcze, niemal natarczywe.

— Kto tam?

— W imieniu prawa...

Co za banalny epilog! Ileż tysięcy razy grany na wszystkich ekranach świata! Eva widziała ich skroś drzwi — wszystkich trzech, trzech panów w czarnych ubraniach, w melonikach... Une equipe de cinéma... Ten pierwszy, to będzie komisarz okręgu lub jego zastępca, przepasany trójkolorową wstęgą, w każdym razie zmiętoszoną i brudną, a za jego plecami dwie barczyste postacie bez twarzy. Odemknęła drzwi — oto są!

— Fillard, podkomisarz VI okręgu, czy pani Eva Evard?

— Tak, to ja.



Część trzecia

ŻÓŁTEGO KRZYŻA

p. t.

OSTATNI FILM EVY EVARD

w druku

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A | 19010 | 2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171620